

Głód

Margit Sandemo

Książka XXXII z Saga o Ludziach
Lodu



calibre 0.9.27

Margit Sandemo

GLÓD

SAGA O LUDZIACH LODU

Tom XXXII

1

ROZDZIAŁ I

Dziewiętnastowieczni emigranci do Ameryki... Czy wiedzieli, ile cierpień przysparzają tym, których zostawiali w domu? Czy mieli świadomość, jakie tragedie rozgrywają się w ich opuszczonych rodzinach?

Wielu z kraju wypędziła nędza. Dzieci w rodzinie było najczęściej za dużo, a tylko jedno mogło odziedziczyć jałową ziemię przy komorniczej zagrodzie. Pozostali musieli wędrować za chlebem. Jedynie nielicznych stać było na wybudowanie własnego domu.

Emigracja często bywała ostatnią deską ratunku.

Co najmniej jednak tylu samo wyruszało do Ameryki na poszukiwanie przygód. Kusila wizja łatwego szczęścia, możliwość zarobku i zdobycia bogactwa, o jakich ubogi chłopski syn mógł jedynie śnić. Wyjazdy nikogo nie dziwiły, ale opuszczający rodzinne strony często nie byli, lub nie chcieli być, świadomi ran, jakie zadawali swoim najbliższym.

Marit z Grodziska należała właśnie do tych, którym przyszło cierpieć z powodu egoizmu wyjeżdżających.

Była ostatnim dzieckiem w rodzinie, urodziła się znacznie później niż liczne rodzeństwo.

Najpierw wyjechało dwóch braci. Pisali do domu i w pełnych zachwyty słowach opowiadali o mlekiem i miodem płynącej krainie na zachodzie. Pozostałe rodzeństwo pospieszyło za nimi; pierworodny syn, który miał odziedziczyć zagrodę, także. Czy kamieniste, strome zbocza w położonym na odludziu Grodzisku były coś warte, zwłaszcza w porównaniu ze złotem, które wabiło za morzem?

Matka nie żyła, ojciec był stary i zgorzkniały. Protestował, groził, że odbierze sobie życie, ale syn upierał się przy swoim. Zdążył już dorobić się licznej rodziny, która tłoczyła się w chylącej się ku ziemi chałupinie i którą w starym kraju z wielkim trudem przyszłoby mu utrzymać.

- Masz przecież Marit - stwierdził przed wyjazdem najstarszy syn. - Ona się tobą zajmie, jak będziesz stary. I w dodatku będziesz mógł tu mieszkać.

Marit miała wtedy dziesięć lat. Była chudą, nieśmiałą dziewczynką; jeszcze dzieckiem, któremu zabraniano zabierać głos. Ale śmiertelnie się bała ojca i, prawdę mówiąc, nie bez powodu. Nie wyjeżdżajcie, nie jedźcie, nie zostawiajcie mnie z nim samej, błagała niemo.

Nikt jednak nie miał czasu, by dostrzec rozpacz w jej oczach. Wyjeżdżali ze spokojnym sumieniem,

nie zostawiali wszak starego ojca swemu losowi. Przecież będzie z nim Marit.

Może i ona chciała wyruszyć do wielkiej, nieznanej krainy? Nikt jednak nie pytał jej o zdanie.

Sama z ojcem? Przecież nienawidziła każdej chwili, którą musiała spędzać w tym samym pomieszczeniu co on! Marit nie знаła oczywiście słowa „psychopata” i nie wiedziała, że jej 2

reakcja nie jest niczym dziwnym. Wielu ludzi nie znosi przebywania w pobliżu psychopaty, nie rozumiejąc dlaczego. Jej ojciec był egoistą w każdym calu, wykorzystywał wszystkie bliskie mu osoby, narzekał, użalał się i obwiniał innych, gdy tylko coś nie szło po jego myśli.

Wywyższał się nieznośnie i pogardliwie traktował otoczenie, gdy tylko był górą, pełzał zaś przed możnymi, nie dostrzegając biedaków. Chytry i podstępny, szkodził bliźnim.

Małą Marit, zawsze gdy zbliżała się do niego, ogarniały mdłości. A teraz mieli zostawić ją w Grodzisku samą z tym szybko starzejącym się despota.

Oczyrna pełnymi łez patrzyła, jak najstarszy brat i jego liczna rodzina odchodzą drogą wiodącą ku dolinie.

Marit stała się jedną z ofiar, jakie pociągnęła za sobą fala emigracji. Była też jedną z licznej rzeszy młodych kobiet, które musiały poświęcić swoje życie starym rodzicom. Któż myślał o tym, że „opiekunki” także są żywymi istotami? Że i one pragną mieć własny dom, lecz wszelkie takie marzenia muszą skryć głęboko i poświęcić się „chwalebnemu obowiązkowi”, jak nazywali to stojący z boku? Że były ludźmi, a nie praktycznymi urządzeniami, które się przydają, kiedy trzeba kogoś obarczyć odpowiedzialnością za starych rodziców.

W jasne wiosenne wieczory Marit stawała za stodołą w miejscu, z którego roztaczał się widok na dolinę, i nasłuchiwała echa dziecięcych głosów. Dochodziły ją nawoływania dzieci jej siostr i braci, płynęły z miejsc, gdzie się kiedyś bawiły, z podwórka i z otaczającego go lasu.

Nie było ich już tutaj. Odjechały do kraju tak dalekiego, że nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Na podwórzu, na ścieżce, wszędzie dookoła panowała cisza. Tylko wspomnienia wywoływały echo głosów ludzi, których już tam nie było.

Stawała tak, czując, jak tęsknota niczym głód dręczy jej ciało, i patrzyła na bezkresne lasy rozciągające się poniżej Grodziska. Widziała cztery różne rzeki, ale nigdzie żadnego domu.

Leśna dróżka wiodąca do Grodziska wiła się niewidoczna wśród świerków ku dolinie ukrytej za wzgórzami. Daleko, daleko w dole leżała wioska, a także dwór, do którego należała komornicza zagroda Grodzisko. Tam musieli stawiać się jej bracia na odrodek, w istocie przypominający niewolniczą pracę, by rodzinie wolno było pozostać w Grodzisku. Tam trafiała także duża część zbiorów z małego poletka; taka była ich forma zapłaty za czynsz.

Gdziekolwiek odwróciła głowę, rozglądając się dokoła, wszędzie widziała porośnięte lasem dzikie pustkowia. Wiedziała jednak, że najbliżsi sąsiedzi mieszkają w podobnych małych zagrodach na

ukrytych polanach, rozproszonych tu i tam w głębokim lesie.

Wraz z upływającymi latami bledły wspomnienia, dziecięce głosy pobrzmiwały coraz słabiej. Pewnego dnia przestała je słyszeć.

Z początku bracia i siostry z zapałem opisywali wszystkie swoje emocjonujące przeżycia.

'Powinnaś tu być, Marit, nie uwierzyłabyś własnym oczom!' Ale jak wszelka korespondencja, stopniowo i ta stawała się coraz rzadsza. Teraz Marit gryzmoła z wysiłkiem listy, na które 3

nie otrzymywała odpowiedzi; z wysiłkiem, bo nigdy nie udawało jej się napisać więcej niż zaledwie kilka linijek w górnej części arkusza. Nie miała przecież o czym opowiadać, w Grodzisku nic się nie działo. Jeden dzień był jak dwie krople wody podobny do drugiego.

Listy z Ameryki z czasem ograniczyły się do krótkich pozdrowień z okazji świąt Bożego Narodzenia dla „drogiego ojca”. 'Mamy nadzieję, że Marit troszczy się o Ciebie, że masz co jeść i miewasz się dobrze. Marit nadal opisywała codzienne zdarzenia, opowiadała o ranach na nogach ojca, które nie chciały się porządnie zagoić, o kiepskim urodzaju czarnych jagód, o sowie, która usiadła na dachu...

Nie skarżyła się na swój los. Nie mówiła o wstręcie, jakim napełniało ją przebywanie w pobliżu ojca, ani o tym, jak pochłaniał owsiankę, nie zainteresowawszy się nawet, czy zostało coś dla niej. Przemilczała jego ciągle narzekania na wszystko: na strawę, na zaniedbanie gospodarstwa, na dawne i wymyślone krzywdy. Nie przyznawała się, że to na nią wylewał żółć, a jej nawet nie wolno było się wytłumaczyć czy odpowiedzieć.

Oczywiście mogłaby współczuć ojcu, którego zawiedli wszyscy synowie, zostawiając chorego i samotnego w nędznej zagrodzie, gdyby tylko uzalenie się nad sobą samym nie było jego ulubionym codziennym zajęciem. Sam sprawił, że litość, jaką miała dla niego, zgasła. Z czasem Marit nauczyła się reagować na jego wieczne skargi z obrzydzeniem.

Dojrzała i przeobraziła się w bardzo ładną pannę, ale sama nie śmiała w to wierzyć. Gdy osiągnęła wiek siedemnastu lat, zdarzało się, że do Grodziska zajrzał jakiś chłopak z nadzieją na chwilę rozmowy z Marit. Jeden dojrzał nawet tak daleko, że ucieli sobie pogawędkę przez płot. Trwała dopóty, dopóki nie zauważył ich ojciec. Oszalały egoista, przestraszony, że utraci gospodynię i służącą w jednej osobie, zaczął kamieniami ciskać w chłopaka i wyzywać go od dziwkarzy. Ten młodzieniec nigdy już tu nie wrócił, ale kilka lat później jakiś inny z zachowaniem wszelkich zasad przyzwoitości prosił o jej rękę. Ojciec zerwał wtedy ze ściany starą strzelbę na łosie i pogonił młodzieńca aż na skraj lasu.

Starszy wdowiec, który zamyślał wziąć sobie młodą gospodarną żonę, zrezygnował ze swych zamiarów, usłyszawszy opowieść o strzelbie.

W czasie trudnych lat dorastania, kiedy Marit z dziecka stawała się dojrzałą kobietą, jej duszę i ciało dręczył niepokój. Może spodobał jej się któryś z chłopców, może z żalem patrzyła, jak odchodzą?

Później nie przyszedł już żaden inny.

Ojciec żył jeszcze przez dwadzieścia lat po wyjeździe dzieci do Ameryki.

Przez ostatnie lata przed śmiercią nie ruszał się z łóżka, stawał się coraz bardziej wymagający i skłonny do irytacji. Na domiar złego atakowała go skleroza.

Marit od dziesiątego roku życia sama zajmowała się niedużym gospodarstwem. Z początku jakoś szło, ale kiedy ojciec wymagał opieki na okrągło przez całą dobę, nie mogła już

wywiązywać się z obowiązków wobec dworu. Za każdym razem, gdy musiała dotknąć ojca, chwytają ją mdłości, tak bardzo go nienawdziła. Musiała zbierać wszystkie siły, by się przemóc i go oporzędzić. Czasami zastanawiała się, czy ta nienawiść nie jest wzajemna.

Cieplejszych uczuć ojciec nie żywił względem żadnego ze swych dzieci, nie miał ich dla nikogo oprócz siebie, ale musiał chyba wyczuwać jej niechęć, choć starała się przemawiać do niego łagodnie i spokojnie. Spojrzenia, jakie jej posyłał, kiedy go przebierała lub zmieniała pościel, były pełne złości. Uwielbiał też wydawać jej polecenia, rozkazywać, by robiła dla niego to lub tamto, tylko po to, by napawać się swoją władzą i by ją dręczyć.

Dziewczyna uciekała wtedy na podwórze, zaciskając pięści i czując, jak płacz dusi ją w gardle.

Dwa razy w miesiącu zjawiał się wysłannik ze dworu, by zabrać masło, sery czy inne produkty. Marit oczywiście nic za to nie dostawała, bo przecież w ten sposób opłacała komorne! A kiedy zabrakło jej czasu na zbieranie siana, warzenie serów, czy inne gospodarskie zajęcia, dworscy ludzie wyrównywali sobie dług, zabierając kolejno wszystkie zwierzęta.

Nadszedł dzień, kiedy Marit i jej ojciec nie mieli już z czego żyć. Dziewczyna musiała od czasu do czasu wykraść z dnia godzinę i wybrać się w długą, mozolną drogę do sąsiadów, by żebrać u nich o odrobinę mleka lub o stary chleb.

Dziedzic od dawna już groził, że wyrzuci ich z Grodziska.

Śmierć ojca oznaczała zmianę w jej monotonnym życiu, ale było już jakby za późno. Za późno na wszystko. Nieustanna złość ojca wyrwała w duszy Marit bolesną ranę, rysy jej twarzy świadczyły o zmęczeniu, głodzie i wiecznej rezygnacji.

W dodatku wisiała nad nią groźba wyrzucenia z domu.

Żyła tak samotnie, że w końcu zaczęła bać się ludzi. Nie wiedziała, dokąd pójdzie, jeśli odebrane jej zostanie to jedyne miejsce, jakie miała na ziemi.

Na pogrzeb przyszło niewiele osób, kilkoro sąsiadów, ot, i wszystko.

Marit napisała list do rodzeństwa w Ameryce, w którym powiadomiła, że ojciec zmarł, a jej nie będzie już wolno mieszkać dłużej w Grodzisku. Czy ktoś z braci i sióstr mógłby przysłać jej choć trochę pieniędzy? Kupiłaby za nie jakieś ubranie i poszukałaby nowego miejsca.

Będzie starać się o jakąś pracę. Poza tym przez ostatnie dwa lata nie czuła się najlepiej, chyba

powinna pójść do doktora. A może mogłaby przyjechać do nich?

Żadna odpowiedź nie nadeszła.

Marit zwlekała jak tylko się dało, nie opuszczała domu, czekając na list. Nie miała od czego zacząć swego nowego życia. Wszystko, co na Grodzisku przedstawiało jakąkolwiek wartość, musiała stopniowo sprzedać. Teraz żyła resztkami jęczmienia, które udało jej się zmieścić z klepiska w stodole, zmrożonymi borówkami z lasu i wodą ze źródła.

5

Podczas pogrzebu sąsiedzi poszeptywali: „Marit z Grodziska naprawdę wygląda na chorą. A taka z niej właściwie była ładna dziewczyna!” „Tak, tak, ale teraz, kiedy ten straszny człowiek już nie żyje, na pewno będzie jej lepiej.” „Sza, nie wolno źle mówić o zmarłym!”

Z z troskaniem kiwali głowami nad schyloną nad grobem wychudzoną kobietą. Została z niej tylko skóra i kości. Później już o Marit nie myśleli, podlegali bowiem temu samemu panu i dość mieli własnych kłopotów.

Marit od mniej więcej dwóch lat dokuczały silne bóle z prawej strony brzucha. Ostatnio znacznie się nasiliły, pojawiały się też częściej.

Podczas samotnych nocy, kiedy głód dręczył jej ciało, a troski duszę, bóle wydawały się po dwakroć silniejsze. Leżała na boku, z kolanami podciągniętymi pod brodę, cicho pojękując, albo siadała skurczona, ze strachem wsłuchując się w wysyłane przez ciało sygnały.

Przeczuwała, że dzieje się coś bardzo, bardzo niedobrego. Kiedy nie pomagała już żadna zmiana pozycji, wstawała i z wysiłkiem chodziła po maleńkiej izdebce, przytrzymując się wezglowia łóżka, stamtąd przesuwała ręce na oparcie krzesła, później na okap, i z powrotem. Bała się choćby na moment pozostać bez oparcia, bo raz była bliska omdlenia, a rozumiała, że nie może leżeć nieprzytomna na ziemi.

Co mogę zrobić? myślała z rozpaczą. Co się ze mną stanie?

Właściwie nie bała się śmierci, bo na cóż jej żyć, ale nie chciała umierać tak marnie, samotna i opuszczona. Przecież mogło się zdarzyć, że długo będzie leżeć, zanim ktoś przyjdzie i odnajdzie jej zwłoki. Nie chciała cuchnąć, kiedy ją znajdą. Ale przecież wkrótce i tak przyjadą ze dworu, żeby ją wyrzucić... Takie myśli kłębiły jej się w głowie; ze strachem myślała o nawiązaniu jakiegokolwiek kontaktu z ludźmi.

Pewnego razu po wielu bezsennych, wypełnionych lękiem godzinach, kiedy wreszcie nad ranem zdołała usnąć, miała sen. Śniło jej się, że ojciec ciągle żyje, bezustannie wydaje jej polecenia, wymachując w jej stronę laską, a ona w kółko biega, by spełnić wszystkie jego rozkazy... W tym momencie się obudziła.

- Dzięki ci, dobry Boże, że to był tylko sen - szepnęła. Oddychała ciężko, w głowie jej wirowało, czuła, jak bardzo jest słaba.

Kolejny atak bólu w prawym boku sprawił, że zgięła się wpół. Choć nic nie jadła już od tak wielu godzin, że nie była w stanie ich zliczyć, i żołądek miała całkiem pusty, poczuła ostre, nieubłagane mdłości.

Tak dłużej już być nie może, pomyślała Marit i postanowiła wstać. Kurczowo zacisnęła ręce na wezglowiu łóżka. Chwiejąc się, stanęła na nogi. Teraz naprawdę była chora, musiała to przyznać. Własna wykrzywiona bólem twarz odbita w pociemniałym odłamku lustra na szafie uświadomiła Marit powagę sytuacji.

6

Co mam ze sobą zrobić? pomyślała co najmniej setny raz, teraz zdjeta już paniką. Czy nie czekała zbyt długo, łudząc się nadzieją, że wszystko się jakoś ułoży, że przyjdzie list z Ameryki?

Muszę dotrzeć do ludzi, pomyślała. Ale nie mam odwagi, nie potrafię z nimi rozmawiać, nie wiem nawet, jak mam się zachować.

Ach, pewnie tu umrę!

Ale godzinę później zdołała się jakoś pozbierać. Niemal czołgając się, zebrała najpotrzebniejsze rzeczy do podróznego kosza. Z trudem udało jej się zarzucić go na ramiona. Do brzucha nie mogła się dotknąć, miała wrażenie, że ubrania wrzynają jej się w ciało, sprawiając tak wielki ból, że brakowało jej tchu.

Wyszła z domu, a właściwie posuwała się chwiejnie od drzewa do drzewa, potykając się i odpoczywając przy każdym pniu. Ani razu nie obejrzała się za siebie, nie popatrzyła ku Grodzisku, nawet o nim nie pomyślała. Ze wszystkich sił starała się zachować przytomność.

Miała zamiar dotrzeć do najbliższego sąsiada, który mieszkał daleko za bagnami na wschodzie. Bała się wyruszyć w dół do wioski, uznała, że to za daleko, na pewno nie starczyłoby jej sił.

Była późna jesień, a właściwie już początek zimy. Stąpała po gołej, zmarzniętej ziemi, otaczał ją chłód i przejrzyste niebieskie niebo. Na tle błękitu tu i ówdzie odcinały się czerwone kiście owoców jarzębiny i Marit z żalem myślała sobie, że to przecież jedzenie!

Nie mogła jednak wyciągnąć ręki, by dosięgnąć jagód, nie była nawet w stanie się wyprostować.

Bagniska. Była już przy nich, poznała to po przestrzeni, jaka się przed nią otwierała. Wzrok mąciła jej gorączka i ból. Szron na delikatnych źdźbłach trawy porastającej mokradła połyskiwał niczym baśniowe diamenty.

Nie wchodź na bagna, gdy tak źle widzisz! Idź naokoło! Ale to tak daleko...

Nogi nie chciały jej dłużej nieść, teraz mogła już tylko pełzać. Skutki niedożywienia odezwały się z pełną mocą. Nie zdawała sobie sprawy, że jej dłoń wyciągnęła się do krzewinki moroszki, instynktownie rozpoznając rdzawobrazowe listki. Wiedziona prymitywnym odruchem włożyła je do

ust i dopiero szelest suchych listków sprawił, że się ocknęła.

Co ja robię? pomyślała z rozpaczą, plując i kaszląc. Naprawdę doszło aż do tego?

Wybuchnęła płaczem. Z piersi wydobył jej się głęboki, suchy szloch, który niczym ogień rozdarł obolałe ciało.

7

Ten ból odebrał Marit resztę sił. Nie mogła już dłużej nad sobą panować; poczuła, że traci świadomość. Ramiona przestały jej słuchać, osunęła się na ziemię i tak już została, pogrążona w głębokim omdleniu.

Jej ostatnia myśl była tak niejasna, że wprost trudno nazwać ją myślą. „Nie było dla mnie miejsca na świecie. Nie chciał mnie.” Przez zamknięte powieki ujrzała, jak czarny jerzyk zanurkował w dół, po czym z radosnym świergotem wzbił się pod niebo. W piersi Marit wezbrał bezbrzeżny żal, wszystko jednak było tak niejasne, zamglone, mógł to być tylko sen, który rozwiął się tak prędko, że nie pozostało po nim nawet wspomnienie.

Znalazło ją dwoje dzieci.

Rodzeństwo, chłopczyk z młodszą siostrzyczką, w mroźny poranek zostało wysłane na zbieranie porostów. Dzieci zaszły daleko, nastąpiła akurat najjaśniejsza pora dnia, kiedy tuż na skraju bagien dostrzegły leżącą nieruchomo kobietę. Pokrywał ją biały szron, wyglądało na to, że kobieta nie żyje.

Najpierw się przestraszyły i chciały uciekać, ale w chłopcu zwyciężyła ciekawość. Podeszły bliżej i wtedy dostrzegły, że klatka piersiowa kobiety, choć powoli i z wysiłkiem, podnosi się jednak i opada.

- Oooch, co my zrobimy? - szepnęła dziewczynka, ze strachu szeroko otwierając oczy.

Starszy od niej braciszek już zaczął potrząsać Marit.

- Hej! Obudź się, wstawaj, tu jest zimno!

Ale Marit ani drgnęła.

Rodzeństwo popatrzyło na siebie zakłopotane.

- Ona nie może tu zostać. A my nie mamy rady jej przenieść. Musimy kogoś powiadomić.

Dzieci pochodziły z wioski i nie bardzo wiedziały, gdzie leży najbliższa zagroda. Poza tym było nią Grodzisko, a tam i tak nie uzyskałyby żadnej pomocy. Pobiegły więc najprędzej jak się dało długą drogą w dół do wioski. Porosty, które zebrały, przy podskokach wysypywały się z koszyczków i padały na ścieżkę niczym białe piłeczki.

Ponieważ droga niemal przez cały czas wiodła w dół, poruszały się szybko, czasami tak szybko, że

nie były w stanie zwolnić na zakrętach i zatrzymywały się dopiero na gęstych zaroślach.

Dzieci nigdy jeszcze nie przeżyły czegoś równie przerażającego i równie ekscytującego.

Zdyszane, podniecone i wystraszone dotarły do pierwszych zabudowań wioski. Ich własny dom położony był jeszcze niżej, ale sklep był tuż, tuż i chłopczyk tam właśnie się skierował.

8

Siostrzyczka deptała mu po piętach, bo zawsze robiła to co on. Ledwie utrzymywali się teraz na nogach po tak długim biegu, bo stroma droga w dół zawsze nadweręża kolana i ścięgna.

W sklepie byli ludzie, a dramatyczne wydarzenia pomogły malcom przezwyciężyć wrodzoną nieśmiałość. Wszyscy zorientowali się, że dzieciom przydarzyło się coś naprawdę niezwykłego, przysłuchiwali się więc im z uwagą.

- Na bagnach... leży... jakaś kobieta - wysapał chłopczyk.

- Myśleliśmy, że ona nie żyje, ale tak nie jest.

- W którym miejscu na bagnach? - spytał kupiec.

Dzieci z zapałem wymachiwały rękami.

- Wysoko na wzgórzu.

- Potraficie wskazać drogę?

W oczach malców zapłonęły iskierki niepokoju. Czy trafią z powrotem w tamto miejsce?

- Chyba tak - nieśmiało odparł chłopczyk.

- A kto to był?

- Nie znamy jej.

- Stara?

- Tak.

Dzieci rzadko właściwie określają wiek.

Dorośli rozważali sprawę między sobą. Oczywiście musieli wyruszyć na pomoc tej biedaczce, ale kto miał iść? Droga na wzgórze zabierze co najmniej godzinę, a tyle czasu nie wszyscy mogli poświęcić. Powrót zapowiadał się jeszcze dłuższy.

A jeśli okaże się, że kiedy dojdą na wzgórze, kobieta już nie będzie żyła? Ta myśl wystraszyła sporo osób.

Nagle ktoś wpadł na zbawienny pomysł:

- Ten doktor, który przyjechał tu łowić ryby... Może jego poprosimy?
- Nie możemy zawracać mu głowy, to przecież doktor ze szpitala, przyjechał tu odpoczywać.
- Ale zapytać chyba nie zawadzi?

9

Śmiały młodzieniaszek odważył się iść do zagrody, w której doktor na kilka dni wynajął pokój. Szpital położony był niżej w dolinie, w mieście.

Miły doktor siedział przy stole suto zastawionym do drugiego śniadania. Przygotowane wędki czekały w korytarzu, tutejsza rzeka bowiem obfitowała w ryby, a to kusilo wielu turystów. O tej porze roku jednak lekarz samotnie musiał wyruszać na połów; wzdłuż brzegów rzeki na wodzie leżała cienka, krucha warstewka lodu.

Doktor, usłyszawszy o co chodzi, natychmiast zgodził się towarzyszyć wieśniakom. Na zmianę planów dotyczących spędzenia tego dnia i przygotowanie się do „wizyty lekarskiej”

potrzeba mu było zaledwie kilku minut.

Wieśniacy czekali przed sklepem - nieduża grupka zdecydowanych pójść z doktorem.

Razem z nimi czekały dzieci. Serca biły im lękliwie, no bo co będzie, jeśli okaże się, że nie potrafią odnaleźć drogi na bagna?

Martwili się jednak niepotrzebnie. Zupełnie tak jak Jaś i Małgosia pozostawili za sobą wyraźne ślady na całej drodze. Koszyki, które tak starannie napełnili porostami, były teraz prawie puste...

Dorośli ze sceptycyzmem przyglądali się nadchodzącemu młodemu lekarzowi. Co taki chłopak może wiedzieć o chorobach? Kiedy jednak się zbliżył, zorientowali się, że wcale nie jest taki młody. W surowej twarzy dało się wyczytać powagę i poczucie odpowiedzialności, chłopci więc od razu się uspokoili. Doktor był ciemnowłosy, miał twarz o ostrych rysach, proste brwi, wyrazisty profil. Był wysoki i szczupły, a nawet, można by powiedzieć, kościsty.

Przywitał się i zadał kilka pytań, przede wszystkim dzieciom, które bez przerwy przelękając się ślinę odpowiadały wystraszone.

Nagle jeden z mężczyzn oświadczył:

- To bardzo łaskawe z pana strony, że zgodził się pan nam towarzyszyć, doktorze. Ale chyba nigdy nie miałem okazji słyszeć, jak pan się nazywa?
- Och, oczywiście, przepraszam - odparł lekarz i uśmiechnął się miło. Jego surowa twarz na moment

złagodniała. - Mam na imię Christoffer. Christoffer Volden z Ludzi Lodu. Idziemy?

10

ROZDZIAŁ II

Christoffer, syn Malin, chadzał własnymi drogami.

Jego dziad Christer zmarł w roku 1893 a wdowa po nim, Magdalena, została sama z rodzinnym przedsiębiorstwem, które odziedziczyli po jej dziadku ze strony matki, Molinie.

Władze oczywiście zatroszczyły się już o to, by Molinowe imperium zostało zredukowane do całkiem zwyczajnej firmy, ale Christer nieźle prowadził swoje interesy. Kiedy w roku 1895

zmarła Magdalena, zgodnie z jej testamentem majątek odziedziczył jej wnuk, dwudziestojednoletni Christoffer.

Spadek był rzeczywiście pokaźny, ale chłopak nie wiązał z nim swoich planów. Nie zamierzał zostać kapitalistą ani też nie miał najmniejszej ochoty przenosić się do Szwecji.

Jego zainteresowania skupiały się na czymś zupełnie innym.

Pragnął zostać lekarzem, a rodzice gorąco popierali ten wybór. Widzieli wszak, jakie ma zdolności. Chłopiec zaczął się więc kształcić w wybranym przez siebie kierunku.

Po długich naradach rodzinnych postanowiono, że spadkiem po Molinie zajmie się ojciec Christoffera, Per Volden. Jednakże ani on, ani Malin nie mieli zamiaru wracać do Szwecji, zlecieli więc kierowanie przedsiębiorstwem zaufanym ludziom. Na dłuższą metę okazało się to jednak zbyt kłopotliwe, sprzedali zatem całość poważnym zainteresowanym. Przyniosło im to wcale pokaźną sumę, mogli więc wybudować nowy dom i zainwestować w inne przedsięwzięcia w Norwegii. Per Volden miał nowe zajęcie, jak się okazało, bardzo dla niego odpowiednie.

Ze Szwecji przyjechał ogromny transport rzeczy, cały wagon kolejowy. Były to ostatnie szwedzkie ruchomości Ludzi Lodu i było ich niemało. Rodzinę czekała też inna niespodzianka. Saga, opuszczając Szwecję, pozostawiła swój majątek pod opieką Christera.

Jej kapitał leżał na koncie bankowym i procentował. Teraz pieniądze i wszystkie rzeczy Sagi przypadły jej jedynej wnuczce, córce Ulvara, Vanji. Marco, rzecz jasna, także miał otrzymać swoją część, ale gdzie on mógł teraz być? Nikt tego nie wiedział.

Vanja z zachwytem przyjęła spadek. Była wtedy jedenastoletnią kokietką i bezgranicznie radowała się wszystkimi pięknymi meblami i drobiazgami, które przyjechały z domu babci.

Henning pozwolił, by co nieco ustawiła w swoim pokoju, resztę rzeczy oddano do magazynu. Gdy jednak w roku 1899 zmarł Viljar, a rok później Belinda, Vanja przejęła ich część domu i pozwolono jej umeblować ją jak chciała. Miała wtedy szesnaście lat i urządziła prawdziwe orgie zakupów - kupowała głównie stroje i artykuły luksusowe. W

końcu Henning i Agneta musieli ją otrzeźwić i dziewczyna z westchnieniem przyznała, że ma ubrań dość na wiele lat naprzód. A to straszne, przecież później też będzie chciała coś kupić!

Christoffer Volden ukończył tymczasem studia.

11

Znalazł pracę w średniej wielkości szpitalu w jednej z dolin w Norwegii. Uznał, że tam się przyda bardziej niż w Christianii, gdzie trafiała większość lekarzy.

Christoffer świetnie sobie radził. Przystąpił do pracy z gorącym pragnieniem niesienia pomocy, a jego poważnemu stosunkowi do obowiązków towarzyszyła niezwykła dokładność w ich wykonywaniu. Nie żałował czasu na rozmowy z pacjentami, traktował je bowiem jako istotny element ich kuracji, dlatego też był bardzo przez wszystkich lubiany. Nazwisko doktora Voldena z czią wymawiane było i przez skurczone samotne staruszki, lękające się o swe życie, przerażone swą małością w obcym świecie wielkiego szpitala, i przez wstydlivych chłopaków z połamanymi nogami, którzy nie chcieli używać kaczki na mocz, a także przez wielkich panów i panie, chętnie omawiających z kimś, kto miał ochotę ich wysłuchać, niezwykle przypadki, za jakie uznawali własną chorobę.

Osobiste życie Christoffera nie było jednak tak proste. On sam, co prawda, uważał się za nadzwyczajnego szczęściarza, ale jednak nie wszystko układało mu się idealnie, skoro postanowił spędzić urlop w samotności nad rzeką.

Na pozór sprawy przybrały szczęśliwy obrót. już podczas pierwszego roku spędzonego w Lillehammer - tam właśnie znajdował się szpital - spotkał Lise - Merete, młodą damę, która go zafascynowała. Miała niespotykaną cerę, złocistobrązową i tak czystą, tak gładką, jak wypolerowane drewno. By jeszcze podkreślić swoją niezwykłą karnację, zaczesywała włosy do góry, układając je w wysoki wałek, fryzurę nowoczesną, ostatni krzyk mody w mieście.

Wałek otaczał całą głowę, a koafiura utrzymywała się dzięki papilotom lub też - w razie konieczności - starannie ukrytym skórkom chleba, ale o tym mężczyźni oczywiście nie wiedzieli. Wałek na głowie nosiły wszystkie szanujące się damy, a kapelusze mocowano za pomocą szpilek, zdaniem wielu mężczyzn iście morderczej broni.

Lise - Merete była córką jednego z członków rady miejskiej. Poza przepiękną cerą nie wyróżniała się może szczególną urodą, ale miała nieodparty wdzięk, który zaślepił

wszystkich mężczyzn. Otaczało ją całe mnóstwo wielbicieli, ale po kilku spotkaniach z Christofferem Voldenem jemu oddała serce.

A Christoffer był po prostu szczęśliwy. Uważał, że Lise - Merete to kobieta doskonała.

Łagodna, życzliwa, troskliwa, miła dla innych, inteligentna i odważna, obdarzona poczuciem humoru i własnym stylem.

Lise - Merete nie potrzebowała skórek chleba do układania włosów, nigdy nie przyszłoby jej do

głowy używanie czegoś tak niehigienicznego. Poruszała się dostojnie, z godnością, ale też suknie szyte według ówczesnej mody były tak obcisłe, że kobiety po prostu zmuszone były trzymać się prosto. Lubiła pokazywać Christoffera na przyjęciach urządzanych przez szanowanych obywateli miasta, ale zawsze zachowywała się bez zarzutu. Jej czarujący uśmiech podbijał serca wszystkich.

Przez osiem miesięcy żaden cień nie mącił pełnego szczęścia Christoffera. Wspólnie snuli plany na przyszłość, wierzyli, że będą razem, spotykali się, kiedy tylko jemu pozwalał na to 12

czas, czyli nieczęsto, gdyż szpital wiele wymagał od swego pracownika i o żadnych regularnych godzinach pracy nie było mowy.

Nie wiedział, co sprawiło, że nagle zaczął czuć się cokolwiek nieswojo. Dopóki nie nadszedł

list od Vanji.

List sam w sobie nie miał żadnego szczególnego znaczenia, ot, taki sobie zwyczajny list opisujący nowinki z domu.

Nie, to reakcja Lise - Merete zasiała ziarno niepokoju, jej ostrożne pytanie: „A kto to taki Vanja?”

Christoffer powrócił myślą do miesięcy, które spędzili razem, i powoli otwierały mu się oczy.

„Tytko ty i ja” - to stwierdzenie, ciągle powtarzane przez Lise - Merete, na początku bardzo mu się podobało. Jej dyskretne, łagodnie podejmowane próby powstrzymania go od spotkań z kolegami, kolacje dla dwojga przy świecach i kwiatach, ostrożne wypytywanie o pielęgniarki zatrudnione w szpitalu. Gdy bywali na przyjęciu u kogoś z jej znajomych, z początku nastrój bywał wspaniały i utrzymywał się taki, dopóki Christoffer zajmował się tylko i wyłącznie nią. Kiedy jednak zagłębił się w rozmowie z kimś innym... mógł to być jeden z kolegów czy też w ogóle jakikolwiek mężczyzna, Lise - Merete natychmiast zjawiała się przy Christofferze, wsuwała mu rękę pod ramię i prowadziła w drugi koniec sali. Gdy natomiast zdarzało mu się rozmawiać z jakąś kobietą...

Mój ty Boże, że też wcześniej się nie zorientował! W takich wypadkach Lise - Merete od razu nawiedzał uporczywy ból głowy i natychmiast musieli wracać do domu. Christoffer zwykle drwił z niej, że to z pewnością wymyślna fryzura przyprawia ją o cierpienie, ale ona nie chciała tego słuchać. Pozostawała chmurna i milcząca, dopóki nie zajął się nią troskliwie jak lekarz swoim ulubionym pacjentem. Samopoczucie w jednej chwili jej się poprawiało i on mógł wracać do domu. Nigdy nie nocował u niej, o, nie, to było nie do pomyślenia! Lise -

Merete pragnęła pozostać białą panną młodą, a Christoffer szanował jej wolę. Otwarcie nigdy nie rozmawiali o małżeństwie, ale oświadczyzny były właściwie jedynie formalnością, oboje wiedzieli, że muszą nastąpić już niedługo.

Osiem miesięcy...

Ocknął się z zamyślenia i odpowiedział na jej pytanie:

- Vanja? Przecież dobrze wiesz, kto to jest Vanja!

- Owszem - odparła Lise - Merete łagodnym głosem. - Wiem, że to twoja krewna. Ale kim jest w stosunku do ciebie? Jak wygląda? A twoja druga przybrana siostra, jak je obie nazywasz? Ta Benedikte? Jaka ona jest? Zawsze, kiedy o niej mówisz, w twoim głosie słychać jakieś ciepło. Taka jest piękna?

Christoffer roześmiał się.

13

- Benedikte? Tak, dla mnie ona jest piękna jak mało kto.

Uśmiech na twarzy Lise - Merete zamarł. Usta wykrzywiły się jak do płaczu. Christoffer pospieszył z wyjaśnieniem:

- Ale w oczach innych ludzi absolutnie nie jest pięknością. Jest bardzo topornie zbudowana, wysoka jak ja, a poza tym ma pozamałżeńskiego syna.

- Czy to ten Andre, o którym mi mówiłeś? - dopytywała się Lise - Merete, zmarszczywszy brwi. - Jeśli ona rzeczywiście wygląda tak, jak ją opisujesz, to jak, na miłość boską, zdołała dorobić się syna - bękarta? Bo to chyba nie ty...?

- Bardzo proszę, nie nazywaj Andre bękartem! Ależ, doprawdy, ja nie jestem ojcem dziecka!

Nigdy się nie dowiedziałem, kto jest ojcem Andre, w tamtym czasie byłem małym chłopcem, a zresztą w domu nikt o nim nie wspominał. Nie, Benedikte jest dla mnie jak starsza siostra, Vanja natomiast jest rzeczywiście niespotykane piękna.

W tej samej chwili zorientował się, że palnął głupstwo, nigdy nie powinien był wypowiedzieć tych słów. Lise - Merete zerwała się gwałtownie i przez następną godzinę w jej głosie pobrzmiwał chłodny ton, który, jak Christoffer nagle zdał sobie sprawę, słyszał już wiele razy wcześniej. Przypomniawszy sobie, że kiedyś jeden z kolegów lekarzy ze śmiechem wyznał

mu, że Lise - Merete wypytywała go o życie Christoffera w szpitalu, o jego stosunek do zatrudnionych tam kobiet. Christoffer czuł się wtedy mile polechtany, teraz nie był już wcale pewien, czy to takie przyjemne.

Postanowił przeprowadzić eksperyment. Lise - Merete w końcu odzyskała humor. Christoffer przeprosił ją więc na chwilę i wyszedł do swej maleńkiej kuchenki, żeby nastawić kawę.

Zaraz jednak na palcach przekradł się z powrotem na korytarz i przez szparę przy zawiasach, między ścianą a drzwiami, obserwował Lise - Merete. Panna stała przy biurku, otworzyła list od Vanji i bardzo była zajęta czytaniem.

Zatopiony w myślach wrócił do kuchni.

Ponieważ i tak czuł się bardzo zmęczony długą, nieprzerwaną pracą w szpitalu, poprosił o kilka dni urlopu, podczas których miał zamiar przemyśleć swoje postępowanie.

Przecież tak bardzo kochał Lise - Merete, to ona zmieniła jego życie w ciekawą przygodę.

Będzie jednak musiał odbyć z nią poważną rozmowę, to nieuniknione. Oczywiście rozumiał, że ona nie jest go pewna, biedna dziewczyna, właśnie dlatego zdecydował się na wyjazd.

Pragnął się zastanowić, jak mógłby pozyskać jej zaufanie. Wiedział bowiem na pewno: pragnął Lise - Merete, to ona była kobietą jego życia i przyszłości bez niej nie potrafił sobie wyobrazić.

Powiedział jej, że musi się na trochę oderwać od pracy, wyrusza więc na ryby dalej w dolinę, i wtedy dostrzegł w jej oczach błysk podejrzliwości. Od nowa zaczął się zastanawiać. A kiedy odkrył, że ukochana dokładnie sprawdziła bilet, chcąc przekonać się, czy rzeczywiście 14

chodzi o wyjazd na północ, a nie na południe w rodzinne strony, poczuł, że sytuacja naprawdę jest nieprzyjemna. Dłużej nie może tak być, musi dobrać odpowiednio piękne słowa, może nawet napisać wiersz, by zrozumiała, że nikt inny, tylko ona sama ma całą jego miłość.

Ale pisanie poezji nigdy nie należało do mocnych stron Christoffera. Kiedy próbował swoich sił w tej dziedzinie, czuł się po prostu śmiesznie.

Nie mógł pojąć, jak taka śliczna młoda dziewczyna, do której należał cały świat, mogła być tak niepewna siebie!

Biedne ukochane dziecko!

Był to ostatni dzień, jaki miał zamiar spędzić w wiosce. Zdołał już ułożyć przepiękną mowę, którą miał zamiar wygłosić Lise - Merete. Taktowną, lecz na pewno przekonującą. Był

pewien, że gdy dziewczyna ją usłyszy, nigdy już nie zwątpi w jego miłość.

Dziś także przejdzie się nad rzekę. Nie należał, co prawda, do zapalonych wędkarzy, a prawdę powiedziawszy, wcale nie łowił ryb. Odbieranie życia nie leżało w jego naturze, nawet jeśli chodziło „tylko” o ryby. Zwykle odkładał wędkę gdzieś na brzegu rzeki i wędrował

nad wodą, zatopiony w rozważaniach, albo też rozmyślał przysiadłszy na zwałonym pniu.

Nic nie zakłócało mu spokoju, w szumie rzeki rozpływały się wszelkie odgłosy z wioski, tutaj był tylko on, rzeka i pokryty szronem brzozy las. Tu do woli mógł rozmyślać o swoim stosunku do Lise - Merete, czuł się niemal chory z tęsknoty za nią. Nazajutrz znów ją zobaczy, obiecała, że wyjdzie po niego na stację, jak żywa stanęła mu przed oczami, i...

Akurat skończył jedzenie, był gotów do wyprawy nad rzekę, kiedy wszedł młody chłopak, międląc w rękach czapkę, i zapytał, czy doktor nie zechciałby wybrać się z nimi na wzgórze.

Gdy Christoffer usłyszał, w czym rzecz, natychmiast się zgodził. Nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby odmówić. Człowiek w potrzebie oznaczał dla niego człowieka, któremu należy pomóc. Rzeka tego ostatniego dnia poradzi sobie i bez niego, tym bardziej ryby.

Doszedł do grupy zgromadzonej przed sklepem. Dwoje dzieci - wielki Boże, ile nędzy było wśród komorników w Norwegii? Christoffer wypytał dzieci o staruszkę. Czy miała jakieś rany? Nie, ale ona prawie już nie żyła, wyjaśnił chłopiec. I była bardzo chuda.

Chyba nie chudsza od ciebie, chłopczyku, pomyślał Christoffer ze współczuciem. Chciałbym zabrać cię ze sobą do zagrody, w której mieszkam, żebyście mogli z siostrzyczką porządnie się najeść. To by było jak spełnienie najpiękniejszego marzenia.

Na marzenia nie było jednak czasu. Zamiast tego Christoffer wszedł do sklepu i kupił kilka dużych pszennych ciastek, świeżych i miękkich, takich, w jakie aż przyjemnie wbić zęby.

Rozdzielił je w grupie, której miał towarzyszyć, kupił też bańkę mleka do popijania. Nikt nie odmówił poczęstunku, a już na pewno nie dzieci.

15

Białe kłębki chrobotka reniferowego najlepiej wskazywały drogę. Jeden z chłopów zabrał konia i wóz, żeby zwieźć chorą na dół. Niełatwo jechać wozem wąską ścieżką, ale popychając go jakoś posuwali się pod górę. Mieli też siekiere, by w razie potrzeby rąbać cieńsze drzewka.

Grupka składała się z czterech dorosłych mężczyzn i wszyscy pomagali dzieciom zbierać rozsypane porosty, aby malcy nie wrócili do domu z pustymi rękami.

Dzieci wędrowały przestraszone. Nie bały się już, że nie trafią, kępki porostów dokładnie wskazywały drogę. Pozostawało jednak pytanie, czy kobieta nadal tam będzie? Czy nie okaże się, że na próżno fatygują tych wszystkich ludzi, a na dodatek pana doktora? A jeśli ona była nie z tego świata? Czarownica lub coś jeszcze straszniejszego?

Dotarli wreszcie na szczyt wzgórza i tam było już łatwiej iść. Kępki chrobotka nadal wyznaczały kierunek i doprowadziły ich na brzeg bagnisk.

Szli już blisko dwie godziny, dzień miał się ku końcowi, zaczęło się zmierzchać. O tej porze roku wcześniej zapadał zmrok.

Co powiedzą rodzice? ze strachem myślały dzieci. Jeśli nie wrócimy na czas, czy znów czeka nas łanie?

Ale czy mogły postąpić inaczej?

Brak poczucia bezpieczeństwa był nieodłącznym towarzyszem wszystkich dzieci biedaków.

Czuły się niepewnie w świecie niepojętych reguł dorosłych czy też raczej braku jakichkolwiek zasad. Trudno było przewidzieć, kiedy zostanie wyciągnięta różga, bo nie miało to związku ze staraniami, jakich dokładały, by postępować właściwie.

Na razie jednak dzień jeszcze się nie skończył, ale czy zdążą wrócić przed zapadnięciem ciemności?

Niepewnie posuwały się wśród moczarów. Niedługo już chyba będą na miejscu...

Mężczyźni prowadzący konia z wozem szli za nimi. Słysząc było tylko skrzypienie nie naoliwionych kół.

Dzieci stąpały coraz wolniej i wolniej.

W końcu się zatrzymały. Białych kulek chrobotka nie było już nigdzie widać.

- To tutaj - oznajmił chłopczyk, nie śmiał podnieść oczu na mężczyzn.

Wyraźny ślad na ziemi wskazywał, że ktoś na niej leżał. Na dywanie szarobiałego szronu rysowała się ciemniejsza plama wielkości ludzkiego ciała.

16

Po dość długiej chwili wymownego milczenia jeden z mężczyzn rzekł wreszcie cierpko:

- No, cóż. Ale teraz już jej tu nie ma. Może po prostu tylko spała? A potem na własnych nogach ruszyła dalej?

Policzki dzieci zapłonęły wstydem.

- Ona była bardzo chora - nieśmiało rzekł chłopczyk.

Siostrzyczka z zapalem pokiwała głową.

Mężczyźni podnieśli głowy i rozejrzeli się dokoła. Przed nimi rozciągały się moczary, puste i zimne. Dwóch z nich przeszło kilka kroków w bok.

- Jest! - zawołał nagle jeden, wskazując ręką. - Jest tam, leży między drzewami!

- To znaczy, że mogła się poruszać - mruknął inny. - Nie jest więc całkiem bezradna.

Odwołał jednak te słowa, gdy podeszli bliżej kobiety.

- Ach, mój Boże - szepnął ktoś.

Christoffer poczuł, jak wzruszenie ściska go w gardle. W szpitalu widział wiele nędzy, ale z trudem przyszło mu uwierzyć, że ktoś może być tak zabiedzony jak ta kobieta.

- To przecież istny szkielet - stwierdził jeden z mężczyzn.

- Ale to nie jest żadna staruszka! - zdziwił się inny. - To dość młoda kobieta!

- Czy to nie Marit z Grodziska? - z niedowierzaniem zapytał trzeci. - Gdyby nie te jasnobrązowe włosy, nigdy bym jej nie poznał. Ale, na miłość boską, co się z nią stało?

Christoffer już klęczał u boku leżącej i stwierdził, że kobieta jeszcze żyje, choć trudno było mu zrozumieć, jak to możliwe.

- Marit z Grodziska? - powtórzył pytająco, pragnąc uzyskać więcej informacji.

Człowiek, który ją znał, odpowiedział jakby się tłumacząc:

- To kobieta z jednej z komorniczych zagród w okolicy. Od dzieciństwa zajmowała się swym złym ojcem. Reszta rodziny wyjechała na zachód, do Ameryki. Ona nie przywykła do ludzi, widziałem ją ze dwa razy we wsi, mruknęła tylko, co miała do powiedzenia, i od razu umknęła chyłkiem. Właściwie szkoda mi jej.

- Tak, można tak powiedzieć - mruknął Christoffer.

17

- Była nawet dość ładna - ciągnął mężczyzna. - Ale nikt jej nie chciał ze względu na tego okropnego ojca. No i też była z niej dziwaczka.

W głosie Christoffera zabrzmiało przerażenie.

- Ona ma trawę w ustach!

- Listki moroszek - poprawił go ktoś, kucając przy kobiecie. - Naprawdę to jadła?

- Nie, wygląda na to, że natychmiast wypluła - stwierdził Christoffer. Był tak wstrząśnięty, że ledwie mógł mówić.

- Na pewno była niedożywiona - stwierdził najroztropniejszy z wieśniaków. - Umarła z głodu.

To znaczy jeszcze nie umarła, ale...

- Jest coś jeszcze - odparł Christoffer. - Kiedy jej dotykam, kuli się cała jakby z bólu.

- Ale chyba jedno z drugim ma związek? Głód i bóleści?

- Nie do tego stopnia, że reaguje się na dotyk nawet przy omdleniu. Zobaczcie!

Delikatnie musnął wychudzone ciało i wszyscy zobaczyli grymas bólu na twarzy kobiety i gest, jak gdyby chciała obronić się przed dotknięciem.

Christoffer wyprostował się i westchnął zamyślony.

- Oczywiście musi jak najprędzej znaleźć się w szpitalu. Ale przecież jest całkowicie wyczerpana, potrzeba jej czegoś na wzmocnienie. A jeśli prawdą jest, że ma chory żołądek, nie powinna niczego jeść.

- A bez tego umrze - sucho podsumował jeden z mężczyzn. - To ci dopiero kłopot.

- No cóż, spróbujmy - zdecydował Christoffer. - Czy zostało jeszcze trochę mleka?

Ktoś podał bańkę. Dzieci, którym po odnalezieniu kobiety wróciła odwaga, nie wyglądały już na takie zalęknione. Na buziach z wolna zaczęła malować się duma. Może zdołały uratować komuś życie?

Niestety, za wcześnie jeszcze było, by mieć taką nadzieję.

Ku radości Christoffera kobieta nagle otworzyła oczy. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, nie chcąc jej przestraszyć, bo okoliczności, w jakich się budziła, były doprawdy niecodzienne.

- Proszę - powiedział łagodnie. - Spróbuj wypić odrobinę mleka. Chciałbym też się dowiedzieć, gdzie cię boli.

18

Kobieta była krańcowo wycieńczona, skóra na jej głowie naciągnęła się niczym na trupiej czaszce, ale mimo to Christoffer dostrzegł, że jej twarz zachowała jeszcze resztki urody.

Nawet jej zgasłe, naznaczone piętnem śmierci oczy były w jakiś patetyczny, wzruszający sposób piękne. Na myśl o tym, jak bardzo musiała cierpieć w samotności, znów poczuł

wzruszenie ściskające go za gardło i uśmiech stał się o wiele bardziej niepewny.

Marit ocknęła się, znów czując dojmujący ból. Gdzie ona jest? Otaczało ją zimno, marzła, całe ciało drżało. Nie widziała wyraźnie, ale dostrzegała wokół siebie wielu ludzi.

Ktoś zadawał pytania, ale jej umysł nie był w stanie przyjmować słów, były całkiem pozbawione znaczenia.

Wreszcie zdołała skupić wzrok w jednym miejscu. Jaki piękny mężczyzna! Ale taki surowy!

Nie, to tylko ostre wyraziste rysy twarzy sprawiały wrażenie surowości, on sam wcale nie był taki srogi.

Taki przystojny! Jak anioł dnia sądu. Czyżby znalazła się w niebie? Nie, to niemożliwe, przecież nigdy nie mogła znieść ojca. Może więc jest w tym drugim miejscu?

- Przepraszam - wymamrotała i przymknęła oczy.

Prośba o wybaczenie najlepiej charakteryzowała nastawienie Marit do życia i całego świata.

Głos jednak był uparty. Mówił o mleku, teraz nareszcie dotarło to do niej. Mleko? Wiele miesięcy upłynęło już od czasu, gdy...

Dotknął jej? Akurat w tym miejscu, gdzie najmocniej bolało. Marit zgięła się wpół, chciało jej się krzyknąć z paraliżującego zmysły bólu, ale z ust wydostał się jej ledwie pisk.

- Tak jak przypuszczałem - stwierdził głos. - To najprawdopodobniej zapalenie ślepej kiszki.

Może już pękła, a to znaczy, że nic nie da się zrobić. Ale musimy natychmiast przewieźć ją do szpitala.

Do szpitala? To tam, gdzie się umiera. Zapalenie ślepej kiszki? Nic nie da się zrobić?

Nie chcę, boję się, próbowała powiedzieć, ale Marit nigdy jeszcze nikomu się nie sprzeciwiła, milczała więc.

Przyłożono jej coś do ust.

- O, tak. A teraz spróbujemy się napić.

Kiedy płyn wypełnił jej usta, odruchowo przełknęła.

Mleko! Jakie cudowne, chciała pić jeszcze, ale naczynie natychmiast zabrano. Dostała zaledwie kilka kropeł, to okrutne, prawdziwa tortura!

19

Żołądek zareagował natychmiast, skurczył się boleśnie. Widać ten człowiek wiedział, co robi. Ale udało jej się zatrzymać tę odrobinę, którą wypła, miała wrażenie jakby spłynęło w nią samo życie.

Mężczyzna zwrócił się do kogoś innego, stojącego w pobliżu.

- Będę jej w równych odstępach podawał po parę kropeł, inaczej to może źle się skończyć.

Ale ona musi przyjąć jakieś pożywienie, żeby nabrała choć trochę sił.

- Czy będzie pan operował, doktorze? - zapytał ktoś z szacunkiem.

Mężczyzna odparł:

- O tym zadecydują w szpitalu, ale osobiście zadbam by miała jak najlepszą opiekę.

- W to nie wątpię - odparł ktoś z takim samym szacunkiem jak wcześniej. - Tutaj leży jej kosz, chyba także go zabierzemy.

Doktor? A więc ten piękny mężczyzna jest doktorem? Marit uniosła powieki i spojrzała nań innymi oczami. Owszem, od razu zrozumiała, że jest on wysoko urodzonym człowiekiem, ale żeby doktor? Tu, w tej głuszy?

Przez moment spokoju, kiedy bóle nieco przycichły, miała wrażenie, że zapada się w miękkie

posłanie życzliwości i poczucia bezpieczeństwa. Wiedziała, że temu człowiekowi może zaufać. Szpital już jej tak nie przerażał.

Marit po raz pierwszy poczuła, że chciałaby jeszcze żyć. Byle tylko nie zasmucać doktora.

Dla niego gotowa była podjąć walkę, aby on nie starał się na próżno.

W tym momencie Marit, z Grodziska była bardziej pokorna niż kiedykolwiek, a to wcale nie znaczyło mało. I tak ogromnie wdzięczna! Tak wdzięczna, że gdyby miała dość sił, wybuchnęłaby płaczem.

- Spróbujmy ułożyć ją na wozie - powiedział jej doktor. - Tylko ostrożnie, bardzo ostrożnie!

Najmniejszy ruch sprawia jej nieznośne cierpienie.

Tak wiele wiedział! Jak to możliwe, że zna jej ból?

Kiedy jednak zaczęli ją podnosić, wszystko rozplynęło się w bezkresnym morzu nieznośnego cierpienia, które rozlało się po ciele. Wreszcie znalazła się w wozie, a doktor i jeszcze jeden mężczyzna siedzieli obok i przytrzymywali ją, chcąc złagodzić najsilniejsze wstrząsy, kiedy wóz kołysał się na nierównościach.

Marit niewiele zapamiętała z tej podróży. Jedynie jakieś urywki.

20

Słabość. Straszliwe bóle. Od czasu do czasu kilka orzeźwiających kropel mleka na języku. Życzliwe, pełne współczucia oczy doktora. Dłoń, którą mogła trzymać, kiedy męka stawała się nie do zniesienia.

I rozmowę mężczyzn.

- Ciągle jeszcze znać po niej urodę, biedactwo.

- Ile może mieć lat?

- Marit z Grodziska? Zaraz, zaraz... Koło trzydziestu. Tak, chyba dokładnie trzydzieści.

Jeszcze nie skończyłam, chciała wtrącić, ale nie była w stanie.

Mężczyzna mówił dalej:

- Ale widzi pan, doktorze, nikt nigdy się z nią nie zadawał. Powiadają, że pomieszało jej się w głowie. Boi się rozmawiać z ludźmi. To przez ojca zwariowała, tak mówią. Straszny był z niego łajdak. Strzelał do chłopaka, który chciał się zaznajomić z córką, ale to już było całe wieki temu.

I znów kilka kropel mleka na języku. Żołądek już tak strasznie od nich nie bolał.

Niewyraźne obrazy z wioski. A więc nareszcie zjechali na dół. Rozmowa o pociągu. Dopiero następnego dnia.

„Wozem to potrwa za długo”, to głos doktora. „Konieczny jest pośpiech.”

Powtarzało się jakieś nowe słowo, dreżyna. Marit nigdy wcześniej go nie słyszała, nie wiedziała, co znaczy.

Ale przeniesiono ją, co trwało długo i było bardzo bolesne, do innego pojazdu. Miejsce u jej boku zajął jakiś obcy mężczyzna w mundurze.

Wieśniacy i dzieci życzyli jej powodzenia. Marit uśmiechnęła się z wysiłkiem, podziękowała zduszonym głosem.

Doktor wręczył coś dzieciom, tyle pieniędzy, każdemu! Najwidoczniej jest bardzo bogaty!

Nie mijają się z prawdą. Christoffer Volden był w istocie zamożnym człowiekiem. Jeszcze jeden walor który nie umknął uwagi Lise - Merete.

Doktor miał jej towarzyszyć w podróży tym dziwacznym wózkiem. Wspaniale! Z nim Marit czuła się bezpieczna. Znalazło się też miejsce na jej koszyk i na cały bagaż doktora, bo i on miał zamiar opuścić już wioskę.

21

Kiedy dreżyna zaczęła się toczyć, Marit gwałtownie drgnęła. Jak szybko jechali! I jak równo!

Choć, co prawda, w regularnych odstępach następowało szarpnięcie. Rozlegało się stuk -

stuk, a każde „stuk” niczym ostrze noża wdierało się w jej obolałe ciało. Mężczyzna w uniformie pompował drągiem w przód i w tył.

Czy to właśnie jest pociąg? Nie, kiedyś z daleka widziała pociąg. Ten wagonik był o wiele mniejszy i całkiem otwarty.

Zapadł już głęboko zmrok, ale ciemność nie była gęsta. Z przodu wagonika wisiała latarnia.

Jechali szybko, Marit owiewał chłód, marzła okropnie. Doktor zdjął płaszcz i owinał nim jej żałośnie wychudzone ciało. Niechcący brzegiem płaszcza zawadził o jej prawy bok, krzyknęła z bólu.

- Najbardziej boli z prawej strony, prawda? - spytał doktor.

- Tak - odszepnęła.

- To dobrze.

Choć ojciec zabronił jej zadawania pytań, z wysiłkiem jęknęła:

- Dlaczego dobrze?

- Bo gdyby cały brzuch bolał cię tak samo, mogłoby to oznaczać, że ślepa kiszka już się rozlała.

Zastanawiała się nad tym, pomagała sprawdzając, czy wszędzie boli ją równomiernie.

Chyba nie.

Miała wrażenie, że wracają jej siły, mleko najwidoczniej dobrze jej zrobiło.

- To kara boża - oświadczyła nagle.

Christoffer drgnął.

- Nonsens - odparł. - Za co miałabyś zostać ukarana?

- Nie lubiłam ojca. Teraz, kiedy mam stanąć twarzą w twarz przed Bogiem, najlepiej będzie, jeśli oczyszczę moje sumienie.

- Gdybyś wiedziała, ilu ludzi nie może znieść jednego lub nawet obojga swoich rodziców, ilu nie potrafi się z nimi pogodzić, nigdy byś tego nie powiedziała. Miałaś pewnie swoje powody, by go nie lubić?

22

Kolejny atak bólu przeszył jej ciało. Poszukała dłoni doktora, jak chyba wielokrotnie się zdarzało podczas jazdy ze wzgórze. I zawsze tę dłoń znajdowała.

Tym razem także dodała jej sił.

- Czy on był dla ciebie niedobry? - spytał doktor.

- To ja nie potrafiłam radzić sobie ze wszystkim, nic więc dziwnego, że musiał się na mnie gniewać - odparła wymijająco. - Trzeba zrozumieć...

- A więc nie był dobry - orzekł doktor.

- To prawda - odparła Marit, wzdychając ciężko, jak gdyby nagle zelżał jakiś ogromny ucisk.

- Nie był dobry, lubił... mnie dręczyć. Robił wszystko, co sprawiało mi przykrość. Kopał psa, zamykał mnie w domu. Dokuczał mi mówiąc, że jestem brzydka. I głupia.

Niespodziewany wybuch odebrał jej siły. Przymknęła oczy i oddychała szybko, wycieńczona.

- Proszę mi wybaczyć - poprosiła.

- Nie możesz czuć się odpowiedzialna za błędy innych ludzi. I nie jesteś ani brzydka, ani głupia. Nie powinnaś też mieć wyrzutów sumienia dlatego, że go nie lubiłaś. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, żeby

jemu było dobrze. A co on zrobił dla ciebie?

Zastanowiła się.

- Nic.

Ach, jak cudownie wszystko z siebie wyrzucić! Całą długo skrywaną gorycz... Rozpaczliwie starała się zwalczyć wyrzuty sumienia, bo ojciec naprawdę był niedobry. Oczywiście wina leżała po jej stronie, ale...

- Tak właśnie myślałem, że on nic dla ciebie nie zrobił - życzliwie odezwał się doktor. - Nie mów więc o karze boskiej. Twojemu ojcu nieźle się żyło, prawda?

- Tak, w każdym razie...

Nie bardzo wiedziała, jak ma się wyrazić, doktor jej pomógł:

- Przynajmniej na zewnątrz? Tak, tak, nikt nie wie, jak radził sobie z sobą samym. Ale tobie na pewno było bardzo trudno, prawda? W jakiego ty właściwie Boga wierzysz? Takiego, który nagradza zło, a karze tego, kto niesie pomoc? To przecież nijak się nie składa!

Próbowała zrozumieć jego punkt widzenia, ale umysł miała teraz zamglony, myśli wirowały jej w głowie jak szalone.

23

- Miałam zamiar pojechać z nimi.

- Za ojcem?

- Nie, nie. Za moim rodzeństwem. Do Ameryki. Ale oni nie odpowiadali.

- A więc masz rodzeństwo aż w Ameryce! Dawno wyjechali?

- Dwadzieścia lat temu.

Christoffer milczał przez chwilę.

- Byłaś bardzo samotna, prawda?

Nie powinien był tego mówić! Nie powinien był wypowiadać tych słów tak serdecznym tonem. Lodowa bryła łez w przemarzniętej duszy Marit stopniała, a głęboki szloch sprawiał

jej okrutny ból. Miała wrażenie, że ciało rozsypuje się na kawałki, krzyczała z bólu, a Christoffer Volden przerażony starał się powstrzymać to, co sam poruszył. Za te nierozważne słowa gotów był odgryźć sobie język.

Gorączkowo próbował naprowadzić ją na inne myśli, opowiadał o tym, co nastąpi w szpitalu, o tym, jak będzie mogła odpocząć, nabrać sił, nie będzie się musiała niczego bać, bo on się nią zajmie.

Świadomość odpływała z wirującym prądem myśli, co tłumilo ból.

- Nie odchodź ode mnie - szepnęła. - Tak się boję, nie zostawiaj mnie!

Wydawało jej się, że odparł: „Nie odejdę”, ale równie dobrze mogła sobie to tylko wyobrazić.

Miała wrażenie, że otaczający ją mrok gęstnieje, światło latarni gdzieś się rozpląnęło, jakby zapadła się w ból, przytępiony teraz, lecz dławiący niczym wata w ustach.

Christoffer przymknął oczy w poczuciu bezsilności. Zdawał sobie sprawę, że życie tej kobiety wisi na cieniusieńkim włosku.

- Dobry Boże - szepnął ledwie słyszalnie. - Jeśli znane Ci jest pojęcie „sprawiedliwość”, to pozwól jej żyć jeszcze trochę. Pozwól, by żyła dla siebie, nie dla innych. Ona nie powinna teraz umrzeć, nie mając nic, żadnej radości z życia.

Ale tu Christoffer się mylił. W ciągu ostatnich godzin bowiem Marit zetknęła się z czymś, czego do tej pory los jej poskapił: z poczuciem więzi z innym człowiekiem, z życzliwością i troskliwością. Jej bezwładna dłoń nadal spoczywała w jego ręce, która była niczym kotwica utrzymująca ją na bezpiecznych wodach.

24

ROZDZIAŁ III

Kiedy przemarznięci dotarli do szpitala, był już ranek, chociaż ciemny jak noc. Dochodziła siódma, szpital powoli budził się do życia. W korytarzach i pokojach, gdzie czuwano nad chorymi, nadal paliły się lampy.

Jak wszystkie inne szpitale, tak i ten składał się z oddzielnych pawilonów. Budowano tak, by zapobiec rozprzestrzenianiu się zarazków. Dla każdego rodzaju chorób przeznaczono odrębny pawilon. Główny budynek był większy, ale za to parterowy.

Christoffer pospieszył na izbę przyjęć i bez zbędnych wstępów poprosił, by natychmiast przygotowano salę operacyjną.

W pół zdania przerwał mu kolega, który nadbiegał pędem, aż rozwiewały się poły fartucha.

- Och, Christoffer, dzięki Bogu, że już jesteś. W szpitalu panuje kompletny chaos, możesz mi wierzyć...

- Dobrze, ale nie mam czasu...

- Ordynator leży złożony grypą, ty więc natychmiast musisz przeprowadzić operację!

Nieobecność ordynatora oznaczała, że Christoffer jest jedynym chirurgiem w szpitalu.

- Nic na to nie poradzę, tej kobiecie należy się pierwszeństwo przed wszystkimi innymi.

Wskazał na nosze, na których leżała Marit z Grodziska, całkiem teraz nieprzytomna.

- Ale nie wiesz jeszcze, o kogo chodzi - cicho uprzedził go kolega.

Na spotkanie z nimi szedł jakiś mężczyzna. Był to ojciec Lise - Merete, rajca Gustavsen.

Lise - Merete? Ach, mój Boże, to chyba nie ona?

Ale nie, nie o nią chodziło, a nawet gdyby tak było, to Christoffer z pewnością jako pierwszej pomógłby Marit z Grodziska.

- Och, dzięki Bogu, że jesteś, Christofferze - przywitał go rajca, poczerwieniały na twarzy ze wzburzenia i strachu. - Mój syn Bernt... On... Och, Boże, chyba tego nie zniosę! Że też ordynator musiał zachorować akurat teraz! - Przyszły teść Christoffera zakrył twarz dłońmi, ale zdołał się opanować i podniósł wzrok na młodego lekarza. - Musisz natychmiast operować Bernta. Natychmiast, powiedziałem. W tej chwili.

Z poczekalni dla odwiedzających wyszła Lise - Merete.

- Christoffer, najdroższy... Zrób, co w twojej mocy.

25

Uścisnął ją szybko i zapytał:

- Co dolega Berntowi?

Znał swego przyszłego szwagra, ale nie mógł powiedzieć, by mieli ze sobą wiele wspólnego.

Ojciec pospieszył z wyjaśnieniem:

- Najechał na mur automobilem.

- Automobilem?

Nie był to pojazd często spotykany na drogach. Właściciele samochodów w całej Norwegii dało się zliczyć na palcach jednej ręki.

- Tak, pożyczył od jakiegoś kolegi. No i źle się to skończyło, biedny chłopiec! Obie nagi...

Przywieźliśmy go przed kwadransem.

Christoffer wciągnął głęboki oddech.

- Zaraz obejrzę Bernta. Ale najpierw muszę przeprowadzić inną operację. Trzeba zająć się tą kobietą.

- Co to za jedna? - opryskliwie zapytał Gustavsen. I on, i córka ze złością spojrzeli na nosze.

- Młoda kobieta z zagrody komorników. Ze względu na nią wróciłem do szpitala wcześniej, niż zamierzałem. Trzeba ją natychmiast operować, tu liczą się minuty. Siostrzo, proszę powiadomić o operacji wyrostka i wezwać personel operacyjny.

Pielęgniarka się zawahała.

- Wszystko gotowe, personel już czeka na operację Bernta Gustavsen. Brakowało nam tylko pana. Co za szczęście, że pan już jest, spodziewaliśmy się pana później, doktorze.

- Proszę najpierw wydać polecenia związane z operacją wyrostka.

Pielęgniarka odeszła. Lise - Merete przyglądała się Marit z nieskrywaną niechęcią.

- Przecież to tylko szkielet! W dodatku córka komorników...?

Christoffer zacisnął szczęki. Zaczął już zdejmować - wierzchnie okrycie.

Rajca zbliżył się do niego i oświadczył cicho:

- Dostaniesz dodatkowe pięć tysięcy, jeśli najpierw zajmiesz się Berntem.

26

- Panie Gustavsen, zaraz go obejrzę. Ale jeśli postanowię operować go jako pierwszego, to dlatego, że jego stan okaże się bardziej krytyczny, a nie po to, by na tym zarobić. - Sam usłyszał, jak chłodno zabrzmiał jego głos. - Chodźcie, pokażcie mi, gdzie on jest.

Sytuacja Bernta Gustavsen przedstawiała się nie najlepiej, wręcz źle, miał liczne złamania obu nóg. Bez wątplenia konieczna była szybka operacja.

Christoffer poinformował o tym Lise - Merete i jej ojca.

- Chwilowo jednak jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, natomiast Marit z Grodziska może umrzeć. Nią więc trzeba zająć się najpierw. Bernt dostał morfinę, teraz śpi.

Rajca podszedł do niego blisko, tak blisko, że Christoffer zobaczył, że jego zęby wymagają leczenia.

- Christofferze, jeśli zrobisz to, o co cię proszę, dopatrzę, aby moje datki na szpital nie ustały. W przeciwnym razie...

A więc groźby. Sytuacja zaczynała stawać się bardzo nieprzyjemna.

- Panie Gustavsen... Obiecuję, że uczynię dla Bernta wszystko, co w mojej mocy, ma pan na to moje słowo. Ale zrobię to ze względu na chłopaka i na was, jego rodzinę, a nie przez finansowy... - Na końcu języka miał już słowo „szantaż”, ale w czas się powstrzymał. - Nie ze względów finansowych.

- Mogę odciąć wszelką pomoc dla szpitala!

Christoffer odwrócił się i zaczął myć ręce.

- Ja sam dysponuję pewnymi środkami i nie zawaham się użyć ich tam, gdzie okażą się naprawdę niezbędne. Na przykład w takim szpitalu jak ten. A teraz, jeśli zechcecie mi wybaczyć, to zaczniemy. Im szybciej uporamy się z wyrostkiem, tym prędzej zajmiemy się Berntem. Nie, Lise - Merete, nie powinnaś teraz mnie dotykać, muszę unikać wszelkich zarasków.

Uśmiechnął się do ukochanej, ale dziewczyna odwróciła się na pięcie i wyszła. Ojciec bez słowa pospieszył za nią.

Christoffer westchnął ciężko. Rozmowa tak go zdenerwowała, że drżały mu dłonie, a tak teraz być nie powinno. Niedobrze też, że w nocy w ogóle nie spał. Powinien być wypoczęty.

Wydał kilka poleceń dotyczących Bernta i był już gotów do operacji Marit.

Tak chudego ciała nigdy jeszcze nie kroił. Kiedy patrzył na ten wrak człowieka, składający się z samej tylko skóry i kości, ogarnęło go gwałtowne wzruszenie. Na szczęście wyrostek robaczkowy nadal był cały, choć Christofferowi trudno było pojąć, jak to możliwe.

27

Wahał się w kwestii znieczulenia. Marit była tak głęboko nieprzytomna, że właściwie nie było ono wcale konieczne. Ale co będzie, jeśli się ocknie?

Wtedy nastąpiłaby prawdziwa katastrofa.

Nie był pewien, czy jej organizm w takim stanie zniesie działanie eteru, najlepszego środka znieczulającego, jakim w tamtych czasach dysponowano. Był bezpiecznym i pewnym środkiem do narkozy podawanym w otwartej masce. Na razie jednak nie odkryto, że jego zastosowanie może prowadzić do uszkodzeń wątroby i zaburzeń pracy mózgu, ale użyty jednorazowo jest absolutnie niegroźny. Christoffer natomiast niepokoił się o skutki uboczne.

Eter wywoływał zwykle silne mdłości, a tego Marit z Grodziska mogła nie wytrzymać. Rana może się otworzyć i...

W jednej chwili jego myśli musiały zająć się czym innym.

Ledwie dotknął straszliwie obrzmiałego wyrostka, a już to wystarczyło, że pękł mu między palcami i w otwartą ranę wylała się ropa.

- Do kroćset! - mruknął pod nosem. - Sostro szybko, musimy oczyścić, zanim rozleje się dalej.

Długo w skupieniu zajmowali się wychudzonym ciałem Marit. Dobry Boże, modlił się w duchu Christoffer przez cały czas. Dobry Boże, pamiętasz, o co prosiłem, prawda? O to, byś pozwolił tej kobiecie zaznać choć trochę szczęścia na ziemi, zanim ją opuści. Nie pozostawiaj wszystkiego mnie, pomóż mi odrobinę, tak bardzo Cię proszę! Mówi się, że nawet wróbel nie spadnie na ziemię tak, byś Ty nie miał w tym udziału. Nie, nie, to nie tak.

Tak, byś Ty tego nie widział, tak to brzmi, a to zmniejsza poczucie bezpieczeństwa. A może to było: „tak, że o tym nie wiesz”? Wcale nie lepiej. Ale teraz rusz się i zrób coś! Jakiś nieduży cud, to chyba Cię nic nie kosztuje.

Opanował się i poprosił Boga o wybaczenie za te zuchwałe słowa. Jestem zbyt zmęczony i wzburzony, nie wiem, co mówię, próbował się tłumaczyć.

Nareszcie, starannie sprawdziwszy, czy nic nie zostało zapomniane, mógł zaszyć Marit.

Zastanawiał się, ileż to razy w czasie operacji zadawał pytanie: „żyje jeszcze?”, na które odpowiadano mu skinieniem. Nigdy jednak nie było ono energiczne, lecz wahające się, pełne zatroskania.

No, skończone. Oddał Marit w sprawne ręce pielęgniarek i poszedł się umyć.

Na miłość boską, jakież był zmęczony! A czekała go jeszcze jedna operacja, być może nawet bardziej skomplikowana. Nigdy nie lubił operować złamań, zawsze było tyle nieprzewidzianych okoliczności. Idealne zrośnięcie złamania było w zasadzie niemożliwe.

Na kości zawsze tworzyła się wypukłość albo nierówność, której nie dało się wyprostować.

Kiedy wyszedł do poczekalni, Lise - Merete i jej ojciec natychmiast poderwali się z miejsc.

28

- To trwało - burknął rajca.

- Komplikacje - mruknął Christoffer, uściskawszy Lise - Merete.

- Komplikacje? To mogło kosztować mego syna życie!

- Nie sądzę. Przed chwilą dowiadywałem się o jego stan. Jest zadawalający. Muszę teraz napić się kawy i...

- Kawy? Masz zamiar jeszcze coś jeść, zanim zabierzesz się do roboty?

- Muszę. Nie spałem przez całą noc.

Rajca zacisnął szczęki.

- Lepiej dla ciebie, żeby z Berntem obyło się bez komplikacji. Jeśli nie, to będziesz musiał

rozejrzeć się za innym zajęciem.

- Ależ, ojcze!

- Milcz, Lise - Merete! Nie mam zamiaru tolerować takiej nonszalancji, jaką okazał ten Christoffer.

Wyszedł do poczekalni, zatrzasnął za sobą drzwi tak mocno, że pobudzili się wszyscy pacjenci.

- Nie przejmuj się ojcem - łagodnie powiedziała Lise - Merete. - Jest nieswój, bo tak bardzo niepokoi się o Bernta.

- Świetnie to rozumiem - uśmiechnął się do niej.

Lise - Merete odgarnęła kosmyk włosów z czoła Christoffera.

- Ale to było bardzo niemądre z twojej strony zajmować się najpierw tamtą kobietą. Zwykłą komornicą!

- Lise - Merete, to do ciebie niepodobne. Zawsze jesteś taka wielkoduszna. Ta kobieta przez dwadzieścia lat żyła w piekle. Zasłużyła na to, by wreszcie ktoś potraktował ją jak pełnowartościowego człowieka.

- I to musiałeś być koniecznie ty?

W jej łagodnym głosie znów wyczuwał chłód.

- Tak, ja i wszyscy ci, którzy uratowali ją od pewnej śmierci. Dwoje dzieci znalazło ją wycieńczoną, nieprzytomną z głodu i bólu, na bagnach.

29

- To doprawdy wzruszające - oświadczyła Lise - Merete, odchodząc od niego. Zaraz jednak wróciła. - Christofferze, taka jestem z ciebie dumna! Wszyscy mówią, że zdobyłam najatrakcyjniejszego kawalera w mieście.

Te słowa bardzo go zawstydziły.

- Muszę już iść, najmilsza. Za kilka minut Bernt znajdzie się na stole operacyjnym, powiedz o tym ojcu.

Wystudiowanym ruchem posłała mu w powietrzu pocałunek, Christoffer odchodząc poczuł, jak robi mu się ciepłej na sercu.

Złamanie nóg Bernta Gustavsena okazało się o wiele bardziej skomplikowane, niż Christoffer przypuszczał, operacja trwała więc bardzo długo. Christoffer był

odpowiedzialnym i zdolnym chirurgiem, choć wcale nie gwiazdą w swej specjalności. Jego

największą zaletą była dokładność i precyzja.

Z pewnym niepokojem Christoffer musiał przyznać, że Bernt Gustavsen czekał zbyt długo.

Jego obrażenia wyglądały groźnie. A gdyby bakterie przypuściły atak, byłiby całkowicie bezbronni. Mogli z nimi walczyć tylko jodyną.

Christoffer nie najlepiej znał Bernta. Młodszy brat Lise - Merete miał osiemnaście lat i podobno jako dziecko był wyjątkowym nicponiem. Christoffer nie mógł powiedzieć, że młodzieniec z wiekiem się poprawił. Był rozpieszczany przez rodziców, często widywano go na mieście, wiedzano o jego licznych nocnych wypadach i w miarę możliwości wyciszanych wizytach na posterunku policji, gdzie nieprzytomny musiał trzeźwieć do rana. Rozbicie samochodu należącego do przyjaciela - to było idealnie w jego stylu.

Jednak zasługiwał na uczciwe leczenie, zarówno przez wzgląd na jego rodziców, jak i na niego samego, mógł przecież jeszcze wyrosnąć na porządnego człowieka. A poza tym był

młodszym bratem Lise - Merete. Już sam ten fakt powinien mu zapewnić szczególne traktowanie.

Ale szczególne traktowanie kogokolwiek nie leżało w zwyczaju Christoffera. Gdy w zatroskaniu składał, kawałek po kawałku, zmiażdżone kości lewej nogi chłopaka, wiedział, że mimo wszystko ustalił odpowiednią kolejność zabiegów. Życie ludzkie miało dla niego jednakową wartość, ale szanse na przeżycie Marit z Grodziska były znacznie mniejsze, gdyby to jej zabieg odłożono na później.

Operacja głęboko uspiętego Bernta trwała wiele godzin. Pod koniec Christoffer był już tak zmęczony, że zaszybie i prace kończące musiał pozostawić swoim współpracownikom.

Lepiej było, by on sam tego nie robił.

Zajrzał jeszcze tylko do Marit z Grodziska, gdzie czuwająca pielęgniarka oznajmiła mu szeptem, że kobieta nadal pozostaje nieprzytomna, lecz gorączka przestała rosnać.

30

- To świetnie - stwierdził Christoffer.

Potem nigdzie już nie wstępując poszedł do swego mieszkania, położonego tuż poza ogrodzeniem szpitala. Rozmowa z Lise - Merete musiała poczekać, teraz pragnął jedynie snu.

Następnego dnia rano Christoffer wybrał się na obchód. Wypoczęty i energiczny, a przygotowany na mającą się odbyć wieczorem rozmowę z Lise - Merete. Co prawda teraz nie bardzo wiedział, a czymż to tak niezwykle ważnym miał z nią mówić. Ona była przecież prawie chodzącą doskonałością, a zresztą on chyba nie chciał mieć idealnej żony? Czy nie powinien być wyrozumiały wobec tej jednej jedynej jej słabości?

Choć czy można nazwać to słabością? Czy ta jej niepewność, ten strach przed utraceniem go nie był

wzruszający?

Tak, ale właśnie o tym musiał z nią porozmawiać, przekonać ją, że w pełni może na nim polegać. Jej i tylko jej oddał całe swe serce. Nie będzie nawet musiał wspominać o tym, co w niej zauważył, swoją mowę obrończą miał już gotową.

Mowa obrończcza? A cóż to za dziwne sformułowania używa w tych okolicznościach!

Christoffer zdążył już się zapytać o stan dwojga swoich nowych pacjentów. Przełożona pielęgniarek oznajmiła, że oboje, stosownie do swojego stanu, czują się dobrze.

Tak, tak, pomyślał z gniewem. Już z daleka dochodziło żalosne zawodzenie Bernta Gustavsena. Nikt najwidoczniej nie cierpiał bardziej niż on.

Ból trudno określić. Ludzie mają różne progi odporności na ból i niejednakową potrzebę skarżenia się na cierpienia. Bernt Gustavsen najwidoczniej należał do tych, którzy lubią wszem i wobec głośić o swoich mękach. Christoffer nie wątpił wcale, że biednego chłopaka musi straszliwie boleć, lecz inni, odczuwający równie silne dolegliwości, potrafili zacisnąć zęby i milczeć.

Christoffer bardzo pragnął, by ordynator jak najprędzej powrócił do pracy. Odpowiedzialność za Bernta i jego rodzinę ogromnie go przytłaczała.

Ponieważ pawilon, w którym leżał Bernt, usytuowany był najbliżej, od niego rozpoczął obchód.

Najpierw Christoffer przywitał się z wieśniakiem, którego przywalił ładunek gruzu. Człowiek ten od dawna przebywał w szpitalu, ale przez cały czas nie opuszczał go dobry humor.

- A cóż to za zarzynany wieprzek przyszedł się leczyć? - zaśmiał się. - Trudno mi przychodzi uwierzyć takim, co bez przerwy wrzeszczą: „Och, rak mnie boli! Jak boli, jak strasznie boli!”

Christoffer stłumił śmiech i odparł życzliwie:

31

- Ten młody chłopak naprawdę cierpi, ale mógłby przynajmniej spróbować trochę się pohamować z uwagi na innych pacjentów. No, a jak ty się czujesz?

- Chcę wrócić do domu.

- Słyszę to już od dwóch tygodni. Ale poczekamy jeszcze parę dni.

- To z kolei ja słyszę już od dwóch tygodni. Muszę wracać do domu na świniobicie.

- Poradzą sobie bez ciebie. Ale mogę cię pocieszyć, że idzie ku lepszemu.

Christoffer odwrócił się do sąsiedniego łóżka. Leżał na nim młody naukowiec, któremu w ranę na rękę wdała się paskudna infekcja. Nie chciała ustąpić, choć zakładali sączki i bez końca zmieniali opatrunki.

- Oczywiście ty także chciałbyś wrócić do domu?

- Jasne - odparł młody człowiek. - Niemniej jednak rozumiem, że moja wolność jest na razie ograniczona.

- Robimy, co możemy. Z pewnością wkrótce nastąpi poprawa.

O tym jednak Christoffer nie był wcale przekonany. Zwalczenie uporczywych infekcji należało do rzeczy prawie niemożliwych.

Wędrował po niewielkiej sali od łóżka do łóżka, ale większość pacjentów wyrażała na ogół

tylko dwa życzenia: po pierwsze, móc wrócić do domu, a po drugie, zatkać gębę temu szaleńcowi z sąsiedniego pokoju.

Christoffer przeszedł więc prosto do Bernta Gustavsena. Kiedy chłopak dostrzegł lekarza na horyzoncie, okrzyki bólu przybrały na sile.

- Dobrze już, dobrze - uspokajał go Christoffer miłym, acz stanowczym głosem. - Jak się czujesz?

- Umieram! Wiem, że umrę, bo nikt nie wytrzyma takiej męki!

Christoffer zerknął na kartę Bernta i powiedział beznamiętnym tonem:

- Wiem, że cię boli, bo tak być musi. Ale zaraz dostaniesz trochę morfiny, zobaczysz, że ci to pomoże. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, teraz musimy czekać, co przyniesie czas.

- Czy mama z ojcem przyjdą niedługo?

- Przyjdą w porze odwiedzin, jestem pewien. Do tego czasu musisz odpocząć.

32

A raczej dać odetchnąć innym, pomyślał Christoffer, głośno jednak tego nie powiedział.

Kontynuował obchód.

Wreszcie dotarł do Marit z Grodziska. Leżała w całkiem innym pawilonie.

Po drodze jedna z pielęgniarek szepnęła mu na ucho alarmującą wiadomość:

- W jednym z pawilonów wybuchła jakaś epidemia, doktorze! Kilku pacjentów ma już wysoką gorączkę.

Christoffer mruknął coś przez zęby. Epidemii wewnątrzszpitalnych obawiały się wszystkie tego rodzaju placówki. W tym czasie, w roku 1901, nie bardzo było czym się bronić.

Pozostawało jedynie szorowanie ścian, podłóg i łóżek karbolem oraz surowe obostrzenia.

- Proszę natychmiast odizolować ten pawilon - polecił. - I nie muszę chyba przypominać o przestrzeganiu jak najsurowszych zasad higieny.

Po raz kolejny pomyślał: Oby ordynator wrócił jak najszybciej! Spoczywa na mnie zbyt wielka odpowiedzialność!

Marit z Grodziska rozejrzała się dokoła ze zdumieniem. Zrozumiała, że leży w sali razem z wieloma innymi pacjentkami, ale przy jej łóżku ustawiono parawan, niczego więc nie widziała, słyszała tylko przytłumione, wyrażające rezygnację głosy leżących kobiet.

W jednym rogu zauważyła, że ściany pomalowano na szarobrązowy kolor. Sufit był kiedyś biały, teraz przybrudził się i poszarzał ze starości, pokrył go kurz i popstrzyły muchy.

Jak się tutaj znalazła? Próbowała sobie przypomnieć.

Dziwne... Ten nieznośny, rozsadzający ból w prawym boku ustał. Zamiast niego pojawił się inny, wyraźniej umiejscowiony, czysty i kłujący, jakby od rany. Spróbowała się poruszyć, ale nie udało jej się, tak mocno zapiekło.

Elegancka dama, cała w bieli i czerni, w dziwnym czepcu na głowie, natychmiast poderwała się z krzesła stojącego tuż przy jej łóżku.

- Spokojnie, tylko spokojnie - przemówiła anielsko łagodnie. - Nie możesz się ruszać, bo puszczą szwy po operacji.

Operacja?

- Czy ja jestem w szpitalu? - szepnęła przerażona.

- Tak. Zostałaś zoperowana i wszystko jest jak najlepiej. Niedługo wrócisz do zdrowia.

33

Marit, która wyrosła w zagrodzie komornika, pamiętała o twardych wymogach życia.

- Ale ja nie mam czym zapłacić!

- To na pewno da się jakoś załatwić - uspokoiła ją miła kobieta. - Nie możemy przecież odkręcić tego, co już zostało zrobione.

Marit aż jęknęła na myśl o pieniądzach, jakie na pewno była teraz winna.

Z wolna nasuwały się wspomnienia.

Moczary... Zimno... Boleści i słabość.

Ludzie, którzy nagle znaleźli się przy niej. Czyjaś twarz...

Przez jej ciało przepłynęła fala gorąca. Widziała twarz samego archanioła, trzymała go za rękę.

Życzliwy, pełen zrozumienia, zawsze cierpliwy głos.

Czy on nie był przypadkiem doktorem?

Otworzyła usta, żeby zapytać, ale natychmiast znów je zamknęła. Nie, to zbyt osobiste, jej nie wypadało zadawać pytań.

W ustach jej zaschło, wargi także miała suche. Pielęgniarka natychmiast była przy niej i zwilżyła jej usta kilkoma kroplami wody.

- Pić - szepnęła Marit ochryple.

- Nie wolno ci nic pić. Ale possij to.

Wsunęła jej do ust patyczek owinięty watą nasączoną wadą. Marit ssała zachłannie, ale było tego za mało.

Pielęgniarka wyglądała na zatroskaną. Marit nie mogła odczytać jej myśli, które niezmiennie zatrzymywały się na westchnieniu: „Mój Boże, jeśli ta kobieta wkrótce nie dostanie czegoś do jedzenia, to może się okazać, że cała operacja nie na wiele się zdała.”

Do sali w pośpiechu zajrzała inna siostra.

- Obchód!

Za parawanem rozpoczęła się jakaś gorączkowa krzątanina, poprawiano pościel, przesuwno łóżka. We wzroku pielęgniarki czuwającej przy Marit także pojawiła się jakaś nerwowość, ułożyła inaczej kołdrę, stanęła na baczność i nasłuchiwała.

34

W sali rozległo się szuranie nowych kroków i szmer głosów. Marit rozpoznała głos, który zdawał się przewodzić całemu orszakowi.

To był on, mogła przysiąc. A jeśli przyjdzie także do niej? Ale dlaczego miałby to zrobić?

Bezradnie zaczęła się zastanawiać, jak też wygląda, ale i tak nie mogła zrobić nic, po cóż więc niepotrzebnie się dręczyć?

Zbliżali się. Usłyszała, jak doktor mówi do kogoś, że może już wracać do domu, a ktoś inny musi jeszcze parę dni poczekać.

- Bardzo chętnie! - rozległ się kobiecy głos. - Z przyjemnością zostanę u doktora!

Po sali poniósł się śmiech.

Potem głosy przycichły. „Przenieść do izolatki”. „Dobrze, doktorze”, stłumionym głosem odparła pielęgniarka. Z ich tonu Marit zorientowała się, że nie oznaczało to nic przyjemnego.

Pacjentka także nie odpowiedziała, inaczej niż inne. Może nie mogła? Pozostałe chore także umilkły.

Ale Marit już zdążyła zauważyć radość i zadowolenie w ich głosach. Najwidoczniej jej doktor był tutaj ogromnie lubiany. Ogarnęło ją niemądre poczucie dumy, jakby i ona miała w tym swój udział.

I nagle on stanął za parawanem! Serce w piersi Marit gwałtownie podskoczyło. Jakiż on niebywale wysoki!

Po części było to złudzenie, bo przecież patrzyła na niego od dołu, ale Christoffer Volden był rzeczywiście mężczyzną roslym i przystojnym, przyjemnie było na niego patrzeć.

- Jak się czujesz, Marit?

Wiedział, jak ona się nazywa, zwracał się do niej po imieniu!

- Bardzo dobrze, dziękuję - zachrypiała w odpowiedzi. Odpowiedziałaby tak, nawet gdyby jedną nogą stała już w grobie.

- Obejrzymy ranę, sprawdzimy, czy nie ropyje - oznajmił, a pielęgniarka odsunęła przykrycie.

Ach, przecież mężczyzna nie może patrzeć na jej ciało, to nie uchodzi! Marit uczyniła gest, jakby chciała się zasłonić, ale on natychmiast mocno chwycił ją za ramię i rzekł stanowczo:

- Ostrożnie, nie rób żadnych gwałtownych ruchów!

Jej pełne rozpaczy oczy musiały zdradzić wszystkie myśli.

35

- Droga Marit, to ja cię wczoraj operowałem. Miałem więc już okazji cię oglądać.

On? Operował... Ach, mój Boże, co za wstyd, czy on widział ją... całą?

Zaraz jednak, kiedy delikatnie unióśł bandaż, z Marit coś się stało. Nie było to nic niezwykłego, właściwie dość typowa reakcja dla wielu pacjentek. Marit pokochała swego lekarza. Nawiązała się między nimi intymna więź. On miał autorytet i siłę, której ona mogła się poddać, ona zaś była tą

oddaną, uwielbiającą.

Uczucie to napłynęło gwałtownie, zalała ją ogromna fala szczęścia. Nie wiedziała, że wiele pacjentek doktora Voldena przeżywało to samo, choć nie tak intensywnie. Ona bowiem była bardzo samotną małą dziewczynką, która wyrosła na równie samotną kobietę.

Marit nosiła w sobie głębokie pokłady niewykorzystanej miłości.

Nie przeszkadzało jej już, że on jej dotyka. Ciało Marit należało do niego, ta myśl podniecała ją, jednocześnie sprawiała przyjemność i przerażała.

- Tak, całkiem niezłe to wygląda - powiedział, nakrywając ją kołdrą. Uśmiechnął się do niej uśmiechem, któremu trudno się było oprzeć. - Teraz będziesz tu sobie leżeć i odpoczywać, a my już zadamy o to, byś nabrała trochę ciała. Potem będziesz mogła wrócić do domu.

Nie mam już domu, chciała odpowiedzieć, ale nie miała sił na tak żalosne wyznanie.

On jednak jakby mimo to zrozumiał, poznała to po jego nagle posmutniałej twarzy. Ach, oczywiście, widział przecież jej kosz z tymi paroma rzeczami, które ze sobą zabrała. I na pewno zorientował się, że na zawsze opuściła dom.

Doktor nieoczekiwanie wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku. Dla Christoffera Voldena był

to gest całkiem naturalny, ale dla Marit równał się rewolucji, był wielkim krokiem do świata ludzi. Nie pamiętała, by kiedykolwiek obdarzono ją pieszczotą. Rozkazy i połajania, to jedno spotykało ją od czasów, do których zdolna była sięgnąć pamięcią.

Zanim zdążyła się pozbierać, wszyscy odeszli, kierując się ku następnej sali.

A Marit została w podniosłym nastroju. Wiedziała, że nie wolno jej płakać, bo może się to okazać szkodliwe dla rany, a tak wielką miała ochotę uронić choć parę łez szczęścia! Pierś rozsadzała jej radość, zadowolenie i błoga nadzieja.

Christoffer zaprosił Lise - Merete na kolację. Gdy się spotkali, dziewczyna uśmiechnęła się ciepło, a jej uśmiech trafił mu prosto do serca. Taka była pociągająca, taka śliczna, aż trudno było od niej oderwać.

Gdy szli do restauracji, Christoffer powiedział:

- Twój brat miewa się lepiej.

36

- Słyszałam, że bardzo cierpi?

- O, to całkiem normalne - sucho odparł Christoffer. - Tak wiele pozrywanych nerwów, to musi sprawiać ból!

Ujęła go pod ramię. Lise - Merete zawsze ogarniało szczęście, kiedy mogła wejść do pełnej sali mając u boku Christoffera. Nie było drugiego młodzieńca, który byłby tak przystojny, tak pociągający, tak wyróżniający się w swoim zawodzie i na dodatek tak bogaty!

- I poskładałeś Bernta! - zawołała. - Taka jestem z ciebie dumna!

Zawsze, gdy mruczając tuliła się do niego, napawała go to cudownym uczuciem szczęścia.

Roześmiał się zawstydzony.

Kiedy prowadzono ich do stolika, Lise - Merete oświadczyła impulsywnie:

- Właściwie to chciałabym dzielić z tobą szpitalne życie. Zawsze podziwiałam Florence Nightingale. Czy nie znalazłaby się tam dla mnie jakaś praca?

Christoffer roześmiał się. Usiedli, ujął ją za ręce nad stolikiem.

- Chyba nie, najdroższa. Na dłuższą metę raczej by ci to nie odpowiadało.

- To znaczy, że mnie nie znasz. Pragnę być z tobą, czy tego nie rozumiesz? Czy nie mogłabym na przykład przecierać czoła tym nieszczęśnikom albo robić coś podobnego?

- Taki ktoś nie jest nam potrzebny. Musiałabyś raczej opróżniać baseny albo szorować podłogi. Albo też kształcić się przez wiele lat.

Skrzywiła się ze śmiechem.

- No, to chyba zrezygnuję.

Przestudiowali menu i złożyli zamówienie. Kiedy czekali na jedzenie, Christoffer odetchnął głęboko i zaczął:

- Lise - Merete, chciałbym, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie polegać.

Natychmiast wzmogła czujność.

- Nie uważasz chyba, że chciałabym rozpocząć pracę w szpitalu dlatego, że wątpię w twą wierność?

Ta myśl nie przyszła mu do głowy, ale teraz ziarno niepokoju zostało zasiane.

37

- Nie, oczywiście, że nie - odparł prędko. - Ale czasami wydajesz mi się taka delikatna, taka bezbronna i niepewna jak mała dziewczynka. Tak bardzo chciałbym cię chronić, Lise -

Merete! Na całą przyszłość.

Nie były to dokładnie te same słowa, których uczył się na pamięć siedząc nad rzeką. Ale cała ich rozmowa od samego początku potoczyła się inaczej niż zakładał.

- Wcale nie jestem niepewna - uśmiechnęła się Lise - Merete. Jej uśmiech był taki cudowny, taki łagodny. - Po prostu lubię być blisko ciebie, zawsze!

- To wspaniale. A nawet kiedy jesteśmy daleko od siebie, możesz być pewna, że moje myśli są przy tobie, zawsze i na wieki. Wiesz o tym, prawda?

Popatrzyła na niego niemal w uniesieniu.

- Tak, Christofferze, dziękuję ci za te słowa! I za te które powiedziałeś wcześniej, o przyszłości. Czy mam je rozumieć jako... ?

- Oświadczyny? Tak, tak właśnie myślę.

- Ach, Christofferze - szepnęła, ściskając go za rękę. - Kocham cię, wiesz, jak bardzo cię kocham!

Nie zdążył odpowiedzieć, bo zjawił się kelner. Czekali aż skończy ich obsługiwać i odejdzie.

Lise - Merete pochyliła się do przodu.

- O czym myślisz? Wydajesz się taki szczęśliwy.

Christoffer wziął do ręki sztucce.

- Myślałem o tym, jak świetnie udała mi się operacja tej biednej dziewczyny z leśnych pustkowi.

Dłoń Lise - Merete zatrzymała się w pół ruchu, ale zaraz znów zabrała się za dzielenie mięsa. Powiedziała lekko:

- Wydawało mi się, że dopiero co twierdziłeś, że twoje myśli zawsze będą tylko przy mnie.

Potraktował to jako żart. Zaśmiał się perliście.

- Bo tak też jest. To były tylko przechwałki.

Lise - Merete zrobiła się jednak niezwykle milcząca. Gdy Christoffer podniósł wzrok, spostrzegł, że wokół jej ust rysuje się wyraz napięcia, ale nie przerywała jedzenia wpatrzona w stół.

38

Chwilę jedli w milczeniu, a potem Lise - Merete rzekła:

- Ona była przerażająco chuda. Jak trup.

- Kto taki?

- Twoja komornica. Ona musi być o wiele starsza od ciebie.

- Aha, mówisz o Marit z Grodziska - odparł Christoffer ze spokojem, starając się stłumić uczucie irytacji. - Owszem, ona ma dwadzieścia dziewięć lat, sprawdzałem to w karcie. I najwidoczniej w całym życiu nie przeżyła jednego szczęśliwego dnia.

- Tak dokładnie orientujesz się w wieku swoich pacjentów?

- To konieczne. Muszę wiedzieć, na ile są odporni. A Marit z Grodziska wygląda na o wiele starszą, niż jest w rzeczywistości.

Nie było to do końca prawdą, lecz intuicyjnie wyczuwał, jaka odpowiedź uspokoi i zadowoli Lise - Merete.

Mój Boże, pomyślał. Chyba nie będę zmuszony do kłamstw, wtedy wszystko legnie w gruzach. Muszę znaleźć jakiś sposób na uwolnienie się od tej ciągłej nieuzasadnionej...

Pierwszy raz świadomie nazwał rzecz po imieniu: od tej nieuzasadnionej zazdrości.

39

ROZDZIAŁ IV

Nazajutrz poranny obchód nie należał do jego obowiązków, ale mimo to poświęcił chwilę, by zajrzeć do Marit z Grodziska. Po wizycie odczuwał coś na kształt wyrzutów sumienia. Nie mógł pojąć, skąd się one biorą, lecz gdyby się dłużej nad tym zastanowił, doszedłby do wniosku, że wypływają ze strachu przed reakcją Lise - Merete.

Do takich wniosków jednak Christofferowi było daleko. Sądził raczej, że sumienie nie daje mu spokoju, bo nie chce, by inni pacjenci uznali, że faworyzuje Marit. A wcale przecież tak nie było, on po prostu się o nią niepokoił, czuł się za nią odpowiedzialny w całkiem inny sposób niż za pozostałych.

Poranek rozpoczął się dla Marit od wstrząsu. Parawan zniknął, zewsząd padały na nią pytające, wyczekujące spojrzenia. Ale jak miała na nie odpowiedzieć? Przez ostatnie lata prawie w ogóle nie rozmawiała z ludźmi. Kiedy ktoś się do niej odzywał, prędko zasłaniała twarz ręką, a w odpowiedzi mamrotała coś niezrozumiałego.

A teraz zetknęła się z gromadką wyczekujących kobiet. I żadna z nich niczego nie mówiła.

Zwróciła wzrok ku oknu. Na parapecie w doniczce rósł kwiat, nigdy jeszcze nie widziała równie pięknej rośliny. Kwiat był czerwonożółty, nakrapiany ciemniejszymi plamkami, miał

niezwykły, jak gdyby spłaszczony kształt. Przypominał delikatne kwiatki, które czasami znajdowała na bagnach, choć był o wiele od nich większy. Przez szybę zaglądała maleńka sikorka.

Na tabaczkowej ścianie wisiała szafka z różnymi buteleczkami i słoiczkami, oznakowanymi

etykietkami. Na pewno lekarstwa.

Ona sama leżała na żelaznym łóżku, poczuła to, kiedy ręką dotknęła krawędzi. To bardzo dziwne, nigdy jeszcze o czymś takim nie słyszała.

Nagle odezwała się do niej jedna z kobiet, Marit drgnęła przerażona. „Jak masz na imię?”, spytała. Powinna odpowiedzieć, ale jak to możliwe, gdy gardło miała zasznurowane, głos nie chciał jej słuchać, a ona sama pragnęła zapaść się pod ziemię?

Nie, nie wolno zasłaniać twarzy rękoma! Musisz, musisz teraz odpowiedzieć, nie ośmieszaj się, Marit, powtarzała sobie w duchu.

Wystraszona do szaleństwa odwróciła głowę w stronę sąsiedniego łóżka.

Po obchodzie przyszedł doktor Volden.

Na jego widok wychudzone oblicze Marit rozjaśniło się, a na policzkach wykwitły nieśmiałe czerwone plamki, przypominające rumieńce. Jakie to dziwne, pomyślał Christoffer, można by przypuszczać, że w jej ciele nie pozostała już ani jedna kropelka krwi.

40

Pielęgniarka poinformowała go wcześniej, że Marit miewa się całkiem nieźle. Oczywiście jest katastrofalnie niedożywiona, a fakt, że nie wolno jej przyjmować pokarmów, jeszcze pogarsza sprawę. Podskoczyła jej też temperatura.

To normalne, odparł Christoffer, po tak poważnej operacji zawsze rośnie gorączka.

Ale prawdę powiedziawszy, ta informacja go zmartwiła.

Przysiadł na brzegu łóżka Marit. Parawan usunięto, a pacjentki urwały przyciszone rozmowy, by lepiej słyszeć. Nie mógł temu zaradzić; uznał, że mimo to musi porozmawiać z Marit, która wydawała się zupełnie sama na świecie.

- Widzę, że idzie ku lepszemu - zagadnął najbardziej optymistycznym ze wszystkich swych lekarskich tonów i sam się tego zawstydził. Ale Marit rozpromieniła się jeszcze bardziej.

Była przeraźliwie chuda, a mimo to jej twarz miała w sobie coś pociągającego. Kręcone włosy wydawały się zaniedbane, ale siostra obiecała doprowadzić je do porządku, jak tylko Marit będzie miała dość sił. Ramiona, cieniutkie jak patyki, bezwładnie spoczywały na kołdrze. Oczy miała przygasłe, a jednocześnie w jakiś dziwny sposób promienne.

- Tak, Marit, udało nam się przejść pierwszy etap - powiedział. - Ale chciałbym wiedzieć, co masz zamiar robić, gdy opuścisz szpital. Zrozumiałem, że zamierzasz się przeprowadzić.

Twoje rzeczy są tu w szpitalu. Dokąd zamyślałaś się udać?

Z innych łóżek dały się słyszeć szept:

- Nie ma drugiego takiego jak doktor Volden. Pomyśleć tylko, jak troszczy się o swoich pacjentów!

- Tak, mnie pomógł znaleźć opiekę do dzieci...

- Dokąd miałaś zamiar iść? - powtórzył pytanie Christoffer.

- Donikąd - odparła cicho. - Musiałam odejść z domu, nie wolno mi było mieszkać dłużej w Grodzisku. Chciałam prosić sąsiadów o pomoc, bo tak mnie bolało. Musiałam iść do ludzi.

Tak się bałam...

- A potem?

Wyglądała jeszcze bardziej załóżnie.

- Ja... nie wiem. Nikt nie napisał z Ameryki. Kiedy jeszcze byłam dzieckiem, często powtarzali, że kiedyś do nich przyjadę, ale widocznie wcale tak nie myśleli.

Marit odwróciła twarz.

41

Christoffer nie wiedział, co odpowiedzieć.

- A co ty byś najbardziej chciała? Zapomnijmy na chwilę o Ameryce.

Znów popatrzyła na niego.

- Chcę pracować, ale nie wiem gdzie. Niczego nie umiem, nie mam gdzie mieszkać. Boję się pytać, nie potrafię rozmawiać z ludźmi.

- Moim zdaniem rozmawianie idzie ci świetnie.

Ogarnął ją zapał, co w jej stanie nie było szczególnie wskazane.

- Tak, ale tylko z panem, doktorze. Pan jest taki miły.

- Och, nie, nie mów tak - uśmiechnął się Christoffer. Zastanawiał się przez chwilę. - A co byś powiedziała na pracę tu, w szpitalu? Jakies mieszkanie także bez trudu da się załatwić, o ile zgodzisz się na coś skromnego. Oczywiście praca także nie będzie lekka. Szorowanie podłóg i temu podobne zadania.

Co on takiego robi? Proponuje Marit ten sam rodzaj pracy, który, jak stwierdził, był

nieodpowiedni dla Lise - Merete. Albo, ujmując to jeszcze inaczej, nie pozwolił swej ukochanej na pracę na terenie szpitala, a zaproponował ją innej kobiecie?

Ale to było coś innego. Po części ze względu na rodzaj pracy, po części zaś dlatego, że Marit naprawdę jej potrzebowała. Potrzebna jej była może nie tyle sama praca, co świadomość, że ma przed sobą jakąś przyszłość. To konieczne, by w ogóle wyzdrowiała.

Teraz przemawiał przez niego lekarz, a poza tym młody syn Ludzi Lodu od zawsze miał w sobie coś z psychologa.

Marit z radości zakręciły się w oczach łzy.

- Jeśli tylko będzie mi wolno, będę pracować dzień i noc!

- Wystarczą same dni - uśmiechnął się wstając. - Teraz musisz się tylko starać, żeby wyzdrowieć i nabrać sił, ja już zajmę się resztą. A poza tym dobrze się czujesz?

- O, tak! Wszyscy są tacy mili. Rozmawiałam dziś trochę z moimi sąsiadkami z pokoju. Są takie życzliwe.

Christoffer rozejrzał się po sali i wszędzie napotkał wyrażające sympatię, przyjazne uśmiechy.

- Bardzo się cieszę, że dotrzymujecie Marit towarzystwa - powiedział wesoło.

42

Przechodził od jednego łóżka do drugiego, dla każdej z pacjentek potrafił znaleźć dobre słowo. Taka półprywatna wizyta zdawała się kroplami sączyć życie w chore kobiety. Aż podrywały się z łóżek, chcąc okazać mu uwielbienie i szacunek. Trwało to, dopóki Christoffer nie wyszedł.

Wielką przesadą było stwierdzenie, że Marit rozmawiała z innymi pacjentkami. Wstydziła się ludzi do szaleństwa i cała konwersacja ograniczyła się do zdawkowej wymiany zdań: „Jak się nazywasz?” „Marit” „Na co tu leżysz?” „Co takiego? Ach, tak, na zapalenie ślepej kiszki”.

Wkrótce pacjentki zorientowały się, jak bardzo nieśmiała jest Marit, i przez delikatność nie pytały o nic więcej.

Teraz jednak te, które mogły, uniosły się na łokciach i zapragnęły dowiedzieć się o niej czegoś jeszcze. I Marit zaczęła mówić, z początku bezgranicznie zawstydzona, ale kiedy spostrzegła ich szczere zainteresowanie, opowiedziała im całą historię, jak to doktor i parę innych osób znaleźli ją w lesie.

Jej współtowarzyszki uznały opowieść za niezwykle interesującą. A potem Marit odważyła się na coś niesłychanego, nigdy nie przypuszczała, by kiedykolwiek było to możliwe.

Ośmieliła się zapytać, co dolega innym.

Wywiązała się ożywiona rozmowa. Niektóre pacjentki w zapale usiadły na łóżkach, inne leżały spokojnie, uszczęśliwione, że wolno im mówić o własnych przeżyciach i doświadczeniach.

Był to jak do tej pory najpiękniejszy dzień w życiu Marit. Być wśród ludzi, być jedną z nich!

Nic nie szkodziło, że rozmowy dotyczyły przede wszystkim chorób i dość drastycznych sprawozdań z sal operacyjnych i korytarzy szpitalnych.

Była jedną z nich! Czego więcej mogła pragnąć?

Ale rozmowa nadwątlila jej siły. Wieczorem pielęgniarki zganiły ją za to, że nie wypoczywała.

Nic na to nie poradzę, myślała sobie Marit. To na osłodę duszy.

Była taka szczęśliwa, taka szczęśliwa! Nawet gruba, szorstka koszula szpitalna, w której leżała, koszula, która kłuła i drapała, stanowiła dla niej źródło radości. Marit nie była bowiem przyzwyczajona do nowych ubrań. Donaszała garderobę po rodzeństwie, dopóki nie zostały z niej strzępki.

A teraz miała przyjaciół! I dane jej było spotkać tak wspaniałego człowieka, jak doktor Volden. Choć Marit odczuwała dla niego tylko dziecięcy podziw, coś jednak się w niej przebudziło, coś, do czego nie chciała się przyznać sama przed sobą i z pewnością przeraziłaby się nie na żarty, gdyby ktoś brutalnie odkrył przed nią całą prawdę. Ale kiełkujące w niej uczucie wykazywało pewne podobieństwo do głodu.

43

Słowo „głód” kryje w sobie tak wiele. Tęsknotę, pragnienie, potrzebę, pożądanie... Przede wszystkim jednak jest to uczucie dławiącego niezaspokojenia.

Na razie jednak było ono na tyle słabe, że Marit nie zauważyła, że coś zaczyna się z nią dziać. I tak chyba było lepiej, bo cóż innego mógł przynieść jej głód oprócz smutku?

Zwyczajem stało się już, że Christoffer każdego dnia przysiadał na kilka minut na łóżku Marit. Starał się sam siebie przekonać, że trzeba jej dodać otuchy, że to niezbędne do jej wyzdrowienia.

Prawdą jednak było, że on sam dobrze się przy niej czuł. Rozpierała go duma na myśl, że zdołał przywrócić Marit z Grodziska do życia w podwójnym rozumieniu tego wyrażenia.

Z każdym dniem pozwalano jej przyjmować coraz więcej pokarmów, najpierw tylko płynnych, aż wreszcie podano rzadki, wodnisty kleik.

A Marit stopniowo nabierała ciała, rozkwitała i ładniała. Robiła się ładniejsza, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

Rana nie goiła się tak prędko, jak życzyłby sobie tego Christoffer, ale miał nadzieję, że Marit z czasem wydobrzeje i nabierze sił, a wtedy szybciej będzie powracać do zdrowia.

Doszło wreszcie do tego, że cała doba upływała Marit na wyczekiwaniu na przyjście Christoffera. „Głód” na dobre pochwycił ją w swoje objęcia. Za każdym razem, gdy na korytarzu rozlegały się

kroki, całe ciało drżało jej w napięciu. Nauczyła się już rozpoznawać jego chód. Stąpił szybko i stanowczo, świadomy celu. Czasami słyszała jego głos i serce zaczynało jej walić jak młotem, a gdy wchodził do innej sali, czuła rozczarowanie.

Świadomość jego bliskości napełniała ją dręczącym niepokojem. Nie wiedziała nic o Lise -

Merete, ale też i myślała o Christofferze tylko jak o dobrym przyjacielu. Prawdą jednak było, że on wypełnił całe jej istnienie, każda jej myśl miała związek z nim, a za każdym razem, gdy przychodził i uśmiechał się do niej, była tak niewypowiedzianie szczęśliwa, jakby zaraz miała wybuchnąć, i bardzo chciała móc wyplakać swą radość.

Christoffer nic o tym nie wiedział. Dostrzegał jedynie, że Marit jest weselsza i swobodniejsza niż dawniej i poczytywał to za dobry znak.

Natomiast jeśli chodziło o brata Lise - Merete, Bernta, to zanosilo się na to, że jego pobyt w szpitalu potrwa długo. Odmawiał wykonywania poleceń, nie chciał leżeć spokojnie, wiercił

się w łóżku i próbował siadać, a to było niewskazane dla jego precyzyjnie poskładanych nóg.

Ponieważ dotykał i drapał rany, wywiązała się w nich zupełnie niepotrzebna infekcja. Ojciec Bernta stale przebywał w szpitalu, ciągle krzycząc i pomstując na złą opiekę, bo Bernt oczywiście skarżył się na wszystko, byle tylko usłyszeć choć parę słów współczucia.

Personel szpitalny zaciskał zęby i milczał. Wiedzieli, że rajca ma wielką władzę i jeśli coś mu się nie spodoba, jest w mocy zmniejszyć wsparcie finansowe dla szpitala.

44

Ordynator wrócił do pracy i nareszcie Christoffer mógł podzielić się z nim odpowiedzialnością. Przyjął to z wielką ulgą.

Niestety, jak się okazało, nie udało im się powstrzymać ataku zarazków. Powoli, lecz nieubłaganie infekcja rozszerzała się na cały szpital. Lekarze byli bardzo zaniepokojeni, zaangażowano wszystkie siły, byle tylko uchronić pacjentów, ale któż zdoła wykryć bakcyle i zwalczyć je, dysponując tak skromnymi środkami?

Pewnego wieczoru Christoffer przyszedł z wizytą do domu rajcy.

Lise - Merete w ostatnich dniach wprost kipiała energią. Układała plany związane ze ślubem, weselem i wyprawą, szczebiotała i ćwierkała, aż Christofferowi trudno było zebrać myśli.

Oskarżał samego siebie, że nawet w wolnym czasie nie potrafi zapomnieć o pracy, ale w szpitalu tak wiele się teraz działo. Nie mógł też zwierzyć się Lise - Merete z tego, co go dręczy, gdyż panna panicznie bała się zarazków i być może, gdyby opowiedział jej o epidemii stafilokoków, nie zgodziłaby się na spotkania. A jeśliby usłyszała, że jej brat znalazł

się w samym środku tych okropności, ani chybi wpadłaby w histerię. Lise - Merete była dziewczyną

wspaniała pod każdym względem, ale dla chorób miała niecodzienny respekt.

Często żartowała, że właśnie po to, by uchronić się przed najrozmaitszymi paskudztwami, wybrała sobie lekarza. Dobrze mieć kogoś takiego w rodzinie!

A tego ranka jedna z pielęgniarek oznajmiła mu, że podejrzewa, iż zarazki przypuściły atak na pawilon, w którym leżała Marit!

- Muszę oczywiście mieć sześć druhen - oświadczyła Lise - Merete. - Wybrałam już sześć średnio ładnych przyjaciółek...

Christoffer ocknął się z zamyślenia.

- Dlaczego? - uśmiechnął się.

- Jasne chyba, że muszę mieć druhen?

- Owszem, ale dlaczego średnio ładne? To dość dziwne kryterium. Czy po prostu nie powinnaś poprosić najbliższych przyjaciółek?

- Och, naprawdę tego nie rozumiesz? Druhen nie mogą być brzydkie, to zakłóci całą uroczystość. I nie mogą też być za... No cóż, w każdym razie wybrałam już dla nich materiał

na suknie. Woal w rozmaitych pastelowych kolorach. Stać nas chyba na to, ukochany?

- Co takiego? Ależ tak, oczywiście!

Obrzuciła go spojrzeniem pełnym wyrzutu.

- Nie da się od ciebie uzyskać żadnej rozsądnej odpowiedzi! Nad czym tak dumasz?

45

- Nie, nic, ja... - Musiał natychmiast coś wymyślić. - Zastanawiałem się tylko nad tym, czy nie powinniśmy poczekać, aż twój brat wyjdzie ze szpitala i będzie mógł być na ślubie?

- Ależ to oczywiste! Ja także potrzebuję czasu na uszycie osiemdziesięciu ręczników, czterdziestu par prześcieradeł z monogramem, rzecz jasna, obrusów, serwetek i...

Christoffer poczuł się nagle ogromnie zmęczony. Wstał z krzesła.

- Naprawdę jesteś słodka, Lise - Merete, ale muszę już iść, bo jutro czeka mnie ciężki dzień.

Zaplanowano dwie operacje, a dziś też od rana pracowałem.

- Ależ oczywiście, mój drogi. Czy napisałeś już do domu o naszych planach?

Nie zrobił tego jeszcze, nie miał czasu, ale nie mógł się do tego przyznać.

- Tak, tak, napisałem wczoraj.

Musi wysłać list jak najprędzej, aby kłamstwo nie było aż tak ciężkie.

- Jak myślisz, co oni na to? Czy już o mnie wiedzą?

- Tak, sporo im o tobie opowiadałem. Ich zdaniem to świetnie, że taki zatwardziały stary kawaler jak ja nareszcie znalazł sobie dziewczynę.

Bardzo jej się spodobało, że o niej wspominał.

- Ale przecież ty wcale nie jesteś jeszcze taki stary - roześmiała się.

- Mam dwadzieścia siedem lat. Najwyższy czas, by się ustatkować.

A Marit z Grodziska ma dwadzieścia dziewięć, pomyślał bez żadnego związku. Agneta także jest nieco starsza od Henninga. No a różnica wieku między Solveig a Eskilem...

Wrócił do swego mieszkania z osobliwym uczuciem niespełnienia w sercu. Mam tyle szczęścia, myślał z desperacją. Lise - Merete zgodziła się mnie poślubić. Takie z niej słodkie, kochane stworzenie. Taka spontaniczna! Przygotowania do ślubu sprawiają jej tyle radości!

Na pewno będzie doskonałą żoną, o lepszej nie można nawet marzyć!

Następnego dnia tragedia stała się faktem.

Kiedy Christoffer wraz z ordynatorem i kilkoma pielęgniarkami przyszli do męskiego pawilonu na rutynowy obchód, natychmiast dostrzegli przerażające oznaki choroby. Młody uczonec z zainfekowaną raną na ręce poprzedniego dnia wydawał się już prawie zdrowy.

Teraz brzegi rany płonęły ognistą czerwieńią, a oczy błyszczały od gorączki. Wesoly 46

wieśniak, na którego zwałił się ładunek kamieni, również nie wyglądał lepiej, tego ranka nie miał ochoty na żarty.

A w sąsiednim pokoju leżał półprzytomny Bernt Gustavsen. Kiedy zdjęli bandażę, ujrzeli, że jedna noga od stopy do kolana była niepokojąco spuchnięta. Na twarzy i szyi pokazały się wrzody.

Nikt nic nie mówił, wszyscy i tak wiedzieli, co się stało. Pomimo starannego przestrzegania zasad higieny ktoś musiał zakazić i to pomieszczenie.

Ale kiedy nazajutrz weszli do kobiecego pawilonu, w którym leżała Marit, Christoffera ogarnął nagły strach. U Marit nastąpił nawrót gorączki, dręczącej jej biedne, wychudłe ciało przez pierwsze dni po operacji. A ciała dwóch innych kobiet pokryły się paskudnymi wrzodami.

Sytuacja była naprawdę rozpaczliwa. Rajca Gustavsen nie polepszył jej wcale, publikując zjadliwy artykuł w gazecie:

Skandaliczne warunki w naszym szpitalu.

Co ma począć biedna rodzina, kiedy jej drodzy najbliżsi są atakowani przez choroby nawet w szpitalu? Ośmielamy się twierdzić, że to zakrawa na skandal!

Czy lekarze nie mają za grosz poczucia odpowiedzialności?

I tak dalej, i tak dalej w podobnym tonie. Tak zwana szpitalna zaraza nie była właściwie niczym niezwykłym, ale tym razem pod opieką lekarzy znajdował się syn rajcy, a to od razu zmieniało sytuację. Łatwiej o dramatyczny ton w prasie. Gustavsen nigdy nie wybaczył

Christofferowi, że zoperował ubogą komornicę przed Berntem, nie przejmował się więc, że jego niezwykle ostry artykuł dotknie także przyszłego zięcia. Lise - Merete była wzburzona.

Nie podobało jej się wcale, że Christoffera zaatakowano w gazecie, a jeszcze mniej, gdy usłyszała o epidemii w szpitalu. Dlaczego narzeczony nic nie powiedział? Czy nie rozumiał, że mógł przywlec zarazę do innych?

To znaczy konkretnie do niej?

Cała ta sytuacja ogromnie zasmuciła Christoffera, ale smutek utonął w prawdziwych kłopotach wewnątrz szpitala. Oczywiście nie wszyscy pacjenci zachorowali, ale trudno było przewidzieć, w kogo uderzą panoszące się zarazki. Najczęściej jednak atakowały tych o najmniejszej odporności.

A Marit z Grodziska nie miała absolutnie nic, czym mogłaby się bronić.

Z Berntem Gustavsenem sprawy także miały się nie najlepiej i rajca zaczął wpadać w histerię. Obawa o życie syna była rzeczą naturalną, ale on groził konsekwencjami, które mogły zaważyć na dalszym istnieniu szpitala. Na posiedzeniu rady miejskiej wygłosił mowę, 47

w której żądał ograniczenia dotacji, dopóki lekarze nie zwalczą epidemii. Poparł go inny członek rady, którego krewniak także leżał w szpitalu, i we dwóch zdołali przekonać radę, że osoby odpowiedzialne za sytuację w szpitalu należy trochę postraszyć. A nic nie dokucza mocniej niż bojkot ekonomiczny, stwierdził rajca z niezachwianą pewnością siebie.

Christoffer, gdy się o tym dowiedział, odbył bardzo niemiłą rozmowę ze swym przyszłym teściem. Powiedział mu wprost, że rozsądniejszym posunięciem byłoby zwiększenie dotacji, tak by mogli zatrudnić dodatkową osobę, która zajęłaby się zbadaniem źródła epidemii.

Rajca posiniały z gniewu wrzaskiem oznajmił, że spóźnione badania w niczym nie pomogą Berntowi, i tak już zarażonemu dzięki staraniom niezguł, którym gmina wypłaca bezwstydnie wysokie pensje. Uratujcie go, a otrzymacie nagrodę w postaci zwiększonych dotacji.

Christoffer, słysząc to, zaniemówił, a potem odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa. Nie chciał, by wyrwały mu się jakieś gwałtowne słowa pod adresem ojca Lise - Merete.

Nie mógł dopuścić, by jego biedna ukochana cierpiała tylko dlatego, że jej ojciec i jej narzeczony nie

mogą dojść do porozumienia. Przecież nie miało to żadnego związku z nią!

Marit z Grodziska zrozumiała, że jej stan znacznie się pogorszył. Była już taka wesoła i silna, a teraz znów nie mogła nawet unieść ręki: Co dzień przychodziła pielęgniarka, by zdrenować ranę, którą trzeba było ponownie otworzyć, gdyż na nowo wdało się zapalenie.

Wraz z dwiema pozostałymi zarażonymi kobietami umieszczono ją w osobnym pokoju, by zaraza nie przeniosła się na inne pacjentki.

Ale Marit zdawała sobie sprawę, że jest z nich wszystkich najsłabsza.

Doktor Volden zaglądał do niej codziennie. Oczy miał pełne smutku, wydawały się suche jak piasek od braku snu, przepracowania i ciągłego zdenerwowania.

Brakowało jej sił, by dłużej z nim rozmawiać, ale była jej wielką pociechą, że może przez chwilę trzymać go za rękę i słyszeć, jak mówi, że wszystko na pewno będzie dobrze, że musi być silna i myśleć o przyszłości. Cały personel szpitalny robił, co w ludzkiej mocy, by znów wydobrzała, i jej także nie wolno tracić woli walki.

I Marit kiwała głową, szepcząc, że i ona chce walczyć, nie wie tylko, skąd ma brać na ta siły.

Pewnego ranka Christoffer usiadł przy niej. Ledwie go widziała; była rozpalona i spocona od gorączki, z trudem chwytając oddech. Czuła jednak jego dłoń na czole, czuła, jak zsuwa się niżej, gładzi ją po policzku, powoli i z czułością. Marit przekręcała głowę tak, by mogła spocząć na jego dłoni. Nie cofnął ręki, poczekał, aż zmęczenie weźmie górę i dziewczyna zaśnie.

Tego dnia ocknęła się raz jeszcze. Christoffera już przy niej nie było, ale trwał obchód i przy jej łóżku stali inni lekarze.

48

Usłyszała głos ordynatora:

- Proszę przenieść ją do separatki, siostro!

Nie! błagała Marit bezgłośnie: Nie, och, nie!

49

ROZDZIAŁ V

Christoffer zaglądał do Marit z Grodziska tak często, jak tylko mógł. Wiedział, że nie ma już szans na przeżycie, i właśnie dlatego chciał poświęcić jej jak najwięcej czasu. Tragiczne wydawało mu się, że właśnie ona musi umrzeć, ona, której nigdy nie było dane zaznać szczęścia. Ale już wcześniej jasne się stało, że kontakt z nim wywiera na nią zbawienny wpływ. Rozmowa z kimś, kto się o nią troszczy, musiała mieć ogromne znaczenie dla samotnej kobiety.

Teraz sytuacja znacznie się pogorszyła. Marit nie była w stanie komunikować się z nikim, czasami tylko, w chwili przeblasku świadomości, mogła wypowiadać pojedyncze słowa. Ale jej rozpalone gorączką oczy wyrażały ogromną wdzięczność za każdym razem, gdy przychodził.

Podawano jej środki uśmierzające ból i wtedy była w stanie mówić nawet dość składnie. Na ogół jednak leżała pogrążona w śpiączce.

Christoffer siadał przy niej, kiedy tylko pozwalał mu na to czas. Starał się dodać jej otuchy i zachęcić do dalszej walki.

- Ze względu na mnie, Marit - poprosił pewnego razu. - Nie chcę, żebyś ode mnie odeszła.

Powiedział to, bo świadom był znaczenia, jakie miała dla niej jego przyjaźń. Ale przecież nie wiedział nic o jej miłości.

Udręczona próbowała głęboko odetchnąć i popatrzyła na niego.

- Pan jest taki miły, doktorze Volden.

- Mam na imię Christoffer. Wiesz, że jestem twoim przyjacielem.

Na trawionej gorączką twarzy ukazał się słaby uśmiech.

- Ma pan na imię Christoffer? To... to bardzo ładne imię.

- Mów mi ty.

Nic na to nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko z radością i przymknęła oczy.

Christoffer długo siedział przy niej, wpatrując się w jej osobliwie fascynującą twarz. Kiedyś musiała być bardzo piękna, tak piękna, że dostrzegając ślady dawnej urody za każdym razem się dziwił. Teraz choroba wycisnęła na niej swoje piętno, ale mimo to jej twarz przyciągała wzrok. Taka piękność nie powinna umierać, powinna się ukazać całemu światu.

A może świat jej nie dostrzegał? Uroda Marit była czymś trudnym do zdefiniowania, nieuchwytnym, zaczarowanym, czymś, co pochodziło raczej z wnętrza jak delikatny, ledwie 50

słyszalny ton. W porównaniu z Lise - Merete nie miała Marit w sobie nic, co przemawiałoby tak bezpośrednio, jej urok był bardziej tajemniczy i dlatego tak bardzo kusił.

Kiedy Marit nagle się odezwała, Christoffer zdał sobie sprawę, że wpatruje się w nią od dłuższej chwili.

- Nie mogę dużo mówić. Opowiedz mi... o sobie... Christofferze!

- O sobie? - roześmiał się zawstydzony. Nie przywykł do mówienia, to zawsze on słuchał

innych. - Nie mam do opowiedzenia nic szczególnego. Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem.

- Wiem o tym - szepnęła, nadal nie unosząc powiek. - To widać po twoich oczach, zawsze płonie w nich... radość życia.

Ach, gdybym mógł ci ofiarować chociaż jej część, pomyślał.

- Tak, mam już wszystko, czego pragnę - powiedział. - Miłych, kochanych rodziców, fantastyczną dalszą rodzinę...

Nie chciał mówić o Lise - Merete, uznał to za zbędne, to na pewno nie ucieszyłoby Marit.

- Czy masz rodzeństwo?

- Rodzonego nie mam. Ale dorastałem z dwiema kuzynkami, które nazywam siostrami. Obie są wspaniałe, zwłaszcza starsza. Ma na imię Benedikte.

I znów Marit powiedziała:

- To bardzo piękne imię.

- Tak. Benedikte kilka lat temu wpadła w tarapaty, „znalazła się w kłopotcie”, jak się to mówi.

Ma małego synka, którego wszyscy uwielbiamy.

- Biedna Benedikte - szepnęła Marit. - Ludzie potrafią być tacy bezlitośni.

- Tak, to prawda. Ale Benedikte jest teraz bardzo szczęśliwa i tak silna, że nigdy byś w to nie uwierzyła!

Marit zmarszczyła brwi, a Christoffer pospiesznie wyjaśnił:

- Silna duchem. Wszyscy szukają u niej pomocy.

- Ty także jesteś silny duchem, Christofferze.

Te słowa sprawiły mu radość.

51

- Naprawdę? Nie wiedziałem. Czasami czuję się taki... nieporadny.

- Nic dziwnego, spoczywa na tobie taka odpowiedzialność. - Masz rację.

Ale Christoffer myślał nie tylko o odpowiedzialności. Wiedział, że nie potrafi sobie poradzić w sprawach, mających związek z Lise - Merete. A przecież tak bardzo ją kochał!

Nagle zorientował się, że Marit zapadła w śpiączkę. Kilkakrotnie wypowiedział jej imię, cicho,

pytającym tonem, ale ona nie zareagowała. Poglądził ją więc tylko po spoconych włosach i wyszedł na palcach.

Zdjęty dojmującym smutkiem nie patrzył, gdzie idzie, i nagle zorientował się, że znajduje się w niewłaściwym pawilonie i czeka go długa droga z powrotem.

Kto właściwie decyduje o tym, kogo czeka długie życie, a kto umrze przedwcześnie? myślał w poczuciu bezradności.

Doszedł do wniosku, że jeśli miałyby się to dziać w imię miłosierdzia i przyzwoitości, to nikogo takiego nie ma.

Szukając pociechy w swym smutku, wieczorem wybrał się do Lise - Merete. Od kilku dni brakowało mu czasu, by się z nią spotkać, miała więc wszelkie powody, by czuć się zaniedbywana.

Otworzywszy drzwi, na jego widok uskoczyła w tył.

- To ty? Ale czy to wypada?

Christoffer zdumiał się.

- Dlaczego nagle miałyby nie wypadać?

- Sądziłam, że masz dość rozumu, żeby... Umyłeś się dokładnie? Zdezynfekowałeś ubranie i samego siebie?

- Oczywiście! Przychodzę prosto z łazienki, a wszystkie moje rzeczy są świeżo wyprane i wyprasowane. Jak zawsze, kiedy opuszczam szpital, przecież o tym wiesz.

Lise - Merete się zawahała.

- No, dobrze, a więc wejdź. Ale tylko na chwilę, mama i ja właśnie znaczymy ścierki do szkła i porcelany.

Matka, bardzo elegancka dama, wyszła do hallu.

- Ach, to Christoffer. Jak się miewa nasz drogi chłopiec?

52

- Bernt? Nieźle, jak na takie okoliczności. On jest silny.

- Dlaczego tak podkreślasz słowo „on”? - zainteresowała się natychmiast Lise - Merete.

- Są inni, którzy nie tak dobrze dają sobie radę z infekcją - odparł Christoffer, nie wiedząc czemu lekko poirytowany. - Poddają się zarazkom.

- To znaczy, że choroba jest śmiertelna? - pytanie Lise - Merete padło niczym uderzenie bata.

- Tylko dla tych, którzy pozbawieni są jakiegokolwiek odporności - odpowiedział Christoffer, w jednej chwili zasmucony tak, że ledwie zdołał to ukryć.

- Ale Bernt da sobie radę? - upewniała się matka. - To wspaniała wiadomość. Chciałam go odwiedzić, ale obawiałam się, czy w ten sposób nie rozniosę zarazy.

Trudno w to uwierzyć, pomyślał Christoffer, kiedy Lise - Merete prowadziła go do swego pokoju. Raczej przypuszczałbym, że to działa silnie rozwinięty instynkt samozachowawczy.

- Muszę ci pokazać, co już mam gotowe - z zapalem oznajmiła Lise - Merete, kiedy znaleźli się w jej ślicznym, białym - niebieskim pokoiku. Te kolory stanowiły doskonałe obramowanie dla jej złocistobrazowej cery. - Oszalałeś? Nie możesz mnie teraz całować! Zobacz, czy nie są precudowne?

Zademonstrowała mu kilka obszytych koronką haftowanych chusteczek do nosa. Christoffer nie bardzo mógł pojąć, dlaczego chusteczki muszą koniecznie się znaleźć w wyprawie ślubnej, ale widać było, że wszelkie te prace ją bawią, a wszystko, co jej sprawiało przyjemność, sprawiało przyjemność także i jemu.

- Oczywiście - odparł w roztargnieniu.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Dziewczyna przez cały czas pilnowała, by z nadto się do niej nie zbliżał; przecież zarazki mogły kryć się na przykład pod paznokciami, a Christoffer także zrezygnował z prób jakiegokolwiek pieszczoty. Wszystko, co przedtem tak go w niej porywało, jej inteligencja i żywiołowość, nagle zaczęło wprawiać go w dziwny stan irytacji.

Lise - Merete musiała to najwyraźniej zauważyć, bo zaraz, co prawda zachowując przyzwoitą odległość, pochyliła się bliżej i powiedziała obiecująco:

- Kiedy ta okropna epidemia się skończy, Christofferze, przyjdiesz tu chyba? Ojciec i matka tak często wychodzą i choć pragnę być białą panną młodą, wprost nalegam na to, to będziemy mogli pobawić się trochę w małżeństwo? Co ty na to?

Co miała na myśli, wypowiadając te słowa? Jeśli chodziło o uściski i pieszczoty, zawsze starali trzymać się w ryzach, ale czy w ogóle ktokolwiek mógłby posunąć się dalej niż oni, 53

nie przekraczając granicy? Lise - Merete iście po mistrzowsku potrafiła go podniecić, aż do granicy albo - albo, a on zawsze zdołał wycofać się na czas. Ale jak daleko miała zamiar teraz się posunąć? Czy miało to znaczyć, że... ?

Ta myśl była niewypowiedzianie kusząca. Lise - Merete miała wspaniałe ciało, koledzy często o tym wspominali, nazywali go dzieckiem szczęścia, a on się wtedy rumienił z radości. A teraz ona właściwie obiecała, że mogliby ukradkiem zacząć...

Słowa jej wywarły na nim tak wielkie wrażenie, że zapomniał się i przyciągnął ją do siebie.

Lise - Merete uderzyła w krzyk, zawyla jak syrena, więc Christoffer natychmiast ją puścił.

Głęboko urażona otrzepała ubranie.

- Oszalałeś? - syknęła. - Znów będę się musiała kąpać. Założyłam dzisiaj czystą suknię!

Christoffer zacisnął zęby.

- A ja nie jestem trędowaty - oznajmił i wyszedł.

- Christofferze, poczeka! - zawołała za nim, ale jego tak rozgniewało doznane upokorzenie, że nawet nie przystanął. Rajca wrócił już do domu, z salonu dobiegał jego głos, ale Christoffer nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z przyszłym teściem. Głośno zatrzasnął za sobą wejściowe drzwi.

Zachowanie Lise - Merete wzburzyło go do tego stopnia, że pragnął porozmawiać z kimś, kto nie obawiał się zarazków. Pomimo późnej pory skierował się do pawilonu, w którym leżała Marit, i dalej prosto do jej separatki.

Z początku wydało mu się, że dziewczyna już umarła; przerażony jęknął. Zaraz jednak dostrzegł, że poruszyła się nieznacznie, przysiadł więc na brzegu łóżka.

Zanim wszedł do separatki, spotkał jedną z pielęgniarek i zapytał ją o stan Marit z Grodziska. Siostra ze smutkiem pokręciła głową.

- Koniec jest już bliski i, niestety, nic nie możemy zrobić. Ale ona pytała dzisiaj o pana, doktorze, wizyta na pewno podniesie ją na duchu. Biedaczka, taka jest samotna.

Wszystkie pielęgniarki wiedziały, jaką troską Christoffer otacza swoich pacjentów, ile starań podejmuje, byle tylko uczynić pobyt w szpitalu łatwiejszym do zniesienia. A zresztą serca wszystkich siostrzyczek na jego widok biły mocniej. Pielęgniarka, którą teraz spotkał, nie widziała niczego nadzwyczajnego w tym, że doktor ma zamiar porozmawiać z umierającą pacjentką.

- Doktor Volden - powiedziała Marit z sennym uśmiechem, budząc się, bo ktoś przysiadł na jej łóżku.

54

Christoffer zorientował się, że musiała dostać silny lek na uśmierzenie bólu, wydawała się lekko zamroczone.

- Christoffer - poprawił ją.

- Ach, oczywiście, Christoffer. Właśnie śniłam o nas dwojgu. To był taki piękny sen - mówiła niewyraźnie.

- Naprawdę? Opowiedz mi.

- To nic ciekawego. Latem koło Grodziska rozciąga się piękna, ukwiecona łąka. Jeszcze zanim

zaczyna się tam paść krowy, jest pełna kwiecia wszystkich kolorów. Najpierw zakwitają mleczce i wtedy łąka wygląda jak złociste morze.

- Wiem - uśmiechnął się. - Ty i ja najwidoczniej należymy do nielicznych, którzy potrafią dostrzec piękno w mleczach. A później?

- Później łąka robi się żółto - fioletowa, Od jaskrów i bodziszków. Wtedy także jest śliczna.

- Prześliczna - zgodził się z nią Christoffer. - Te kwiatki także należą do moich faworytów.

Oddychała szybko, płytko i urywanie, jakby powietrze docierało tylko do najwyższych partii płuc.

- A później na łące robi się sucho i właśnie wtedy wybucha bogactwem kwiatów.

Christoffer znów się uśmiechnął.

- Wiem. Kiedyś próbowałem nawozić łąkę, żeby urosły na niej większe, jeszcze piękniejsze kwiaty. Niestety, urosła tylko bujna trawa i wszystkie kwiaty zagłuszyła.

- Tak - uśmiechnęła się Marit. - Zobacz, moja sikorka znów puka w szybę!

- A jakie kwiaty kwitną na twojej łące, kiedy robi się sucho?

- Wszystkich możliwych kolorów. Małeńkie polne bratki, wiesz które, jest ich całe morze! I niebieskie dzwonki, polne różyczki, dziewięciorniki i smółki, i kwiatki białe jak welon, i przetaczniki, one są niebieskie. Zatrószysz się o to, żeby moja sikorka nie była głodna?

- Dobrze. Skąd znasz tyle różnych nazw?

W oczach Marit pojawił się cień smutku.

- Matka mnie nauczyła, kiedy jeszcze byłam bardzo mała. Nigdy ich nie zapomniałam.

- Twoja matka już nie żyje?

55

- Urodziła jeszcze jedno dziecko, kiedy miałam pięć - sześć lat, nie przeżyła porodu. Umarła z dzieckiem.

Christoffer ujął ją za rękę i uścisnął.

- Ale śniłaś o nas, o mnie i sobie?

- Tak.

Nie była w pełni przytomna, zauważał to. Na policzkach płonęły rumieńce, a w wycięciu koszuli dostrzegł paskudne wrzody, charakterystyczne dla szpitalnej choroby.

- Właściwie w tym śnie nic nie było - powiedziała jakby przepraszająco. - Szliśmy razem po ukwieconej łące. A potem usiedliśmy i ty grałeś na źdźble trawy.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Wiesz, zawsze umiałem to robić. A co było potem?

- Nic więcej, ten sen już się skończył. Potem przyśnił mi się koszmar, ale to już o czym innym.

- To przez gorączkę.

Mówiła już trochę zbyt długo. Na więcej nie starczyło jej sił. Leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Christoffer wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku wierzchem dłoni. Uśmiechnęła się spokojnie.

- Bardzo pana lubię, doktorze Volden.

Znow zapomniała, że wolno jej nazywać go Christofferem. Zrozumiał, że zapada w odrętwienie.

- I ja cię lubię, Marit. Bardzo, bardzo lubię.

- Ty i ja - szepnęła na poły przez sen. - Ty i ja....

- Tak, Marit, tylko ty i ja.

- Chyba... lubię cię... zbyt...

Zdawał sobie sprawę, że zostały jej już tylko godziny życia.

- I ja także, Marit. Ja także aż za bardzo cię lubię.

Christoffer ujął jej dłonie w swoje i delikatnie ucałował.

56

Uśmiechnęła się.

- Czy wolno mi powiedzieć ci... że cię kocham? Nigdy nie miałam nikogo... komu mogłabym to... powiedzieć.

- Tak, Marit. Bo i ja cię kocham.

To nie była prawda. Żywił dla niej szczerze przywiązanie, ale to nie to samo, co kogoś kochać. Ale ona miała umrzeć, wkrótce, już bardzo niedługo. A jej życie było takie ubogie...

- Zostań ze mną, Marit - szepnął nachylając się nad nią. Słowa same spływały mu z ust, nie musiał niczego wymyślać. - Zostań ze mną, wyzdrowiej, chcę, żebyś na zawsze była moja.

Usłyszał, że Marit bierze głęboki oddech, a na naznaczonej piętnem śmierci twarzy ukazuje się błogi

uśmiech.

- Tak, Christofferze, ale nie myślisz tak naprawdę. Ja jestem tylko...

Traciła przytomność, ale on chciał, by w wieczny sen zabrała ze sobą jeszcze kilka słów:

- Nie, nie jesteś tylko Marit z Grodziska. Jesteś najbardziej kochaną kobietą na ziemi. Jesteś moja, Marit. Kocham cię. Teraz i na zawsze.

Uśmiech gościł na ustach jeszcze przez kilka chwil, nawet wtedy, gdy straciła już świadomość. Później i on zgasł. Ale Christoffer nie żałował swoich słów. Uczyniły ją szczęśliwą.

Posiedział przy niej jeszcze przez chwilę. Weszła pielęgniarka, żeby zajrzeć do Marit, spotkały się ich spojrzenia. Z jego oczu bił smutek.

- Proszę dopilnować, by ktoś siedział przy niej przez cały czas.

- Dobrze, doktorze Volden.

Wzrok pielęgniarki również przepełniony był żalem. Oboje wiedzieli, że nic już nie uratuje życia Marit z Grodziska.

Gdy Christoffer wrócił do izby przyjęć, nadbiegł właśnie jeden z kolegów.

- Stan Bernta Gustavsena dramatycznie się pogorszył!

Christoffer, zajęty swymi myślami, zrozpaczony, że nie potrafi w żaden sposób pomóc Marit, odpowiedział coś niezrozumiale.

- Ale to oznacza katastrofę dla szpitala - tłumaczył mu kolega. - Rajca oświadczył, że jeśli jego syn umrze, wszyscy odpowiedzialni za to mogą szukać nowej pracy.

57

- Czy ten Gustavsen jest Bogiem Ojcem we własnej osobie?

- Wydawało mi się, że to twój teść.

Jeszcze nie, miał już na końcu języka wzburzony Christoffer, ale w porę się powstrzymał.

Nie byłoby w porządku wobec Lise - Merete tak się unosić. A poza tym kolega nie czekał na odpowiedź, lecz mówił dalej:

- Zarząd szpitala zaczął się niepokoić po tym, jak Gustavsen napisał ten artykuł w gazecie.

Cała sprawa wygląda na okropnie nieprzyjemną. Zarząd podaje także w wątpliwość nasze kompetencje. Czy nie mógłbyś porozmawiać ze swoim przyszłym teściem i poprosić, by trochę

spuścił z tonu?

- Wykluczone - odparł Christoffer. - On właśnie mnie obwinia za zły stan Bernta.

Zoperowałem kogo innego jako pierwszego, a jego drogocenny syn musiał czekać.

Gustavsen nie może mi tego darować.

- Drogocenny! - parsknął kolega. - O większego łajdaka trudno w całym mieście. No cóż, jedno tylko może uratować szpital przed głośnym skandalem, a mianowicie utrzymanie przy życiu tego nicponia. A do tego daleko, bo na razie naprawdę z nim źle.

- Pójdę go zobaczyć - oznajmił krótko Christoffer.

Przeszedł do pokoju, w którym leżeli trzej mężczyźni: Bernt Gustavsen, młody uczonek i wesoły wieśniak. Już w drzwiach uderzył go w nozdrza odór choroby, a to, co zobaczył w środku, trudno było uznać za budujące. Uczony, jak się wydawało, radził sobie najlepiej, dwaj pozostali leżeli nieprzytomni, a twarz Bernta Gustavseny pokrywały ropiejące wrzody.

Widać było, że ma wysoką gorączkę.

To nie może się dobrze skończyć, pomyślał Christoffer. Jego także trzeba przenieść do izolatki. Niewiele ich już pozostało...

Pomimo iż Bernt był rodzonym bratem Lise - Merete, Christoffer nie potrafił wykrzesać z siebie ani cienia sympatii dla niego. Teraz jednak jego przyszłemu szwagrowi nie było lekko i należała mu się wszelka pomoc, na jaką stać było Christoffera jako lekarza.

Z bólem serca musiał uznać Marit za straconą. Z Berntem Gustavsenem nie było aż tak źle, ale niewielkie miał szanse na przeżycie.

Christoffer nie dbał wcale o groźby rajcy Gustavseny, wykrzykującego o zwolnieniu całego personelu szpitalnego czy odcięciu wszelkich dotacji dla szpitala. Niewiele wiedział o władzy swego przyszłego teścia, ale wątpił, by mogła sięgać aż tak daleko. Niemożliwe, aby społeczeństwo było do tego stopnia skorumpowane. Na pewno to jedynie czcze pogroźki, wypowiedziane w strachu o życie ukochanego syna.

Może Christoffer powinien okazać mu zrozumienie? Na to jednak nie było go stać.

58

Szpital i tak został obrzucony błotem w prasie, a to już samo w sobie było złe. Absolutnie niesprawiedliwe.

Christoffer poza tym wątpił, by rajca poprzestał na jednym krótkim artykule. Gdyby nie udało się uratować Bernta, lekarze i pielęgniarki na wszystkie sposoby zostaną obsmarowani w gazecie w łzawych artykułach, poruszających serca czytelników, opowiadających o młodym, jakże obiecującym

chłopcu, który musiał rozstać się z życiem z powodu brudu i niedbalstwa personelu.

Dobre imię szpitala zostałyby skalane.

Do tego nie wolno dopuścić.

Christoffer bardzo kochał swoją pracę i swój szpital. Nie chciał, by artykuły w gazetach zniszczyły jego przyszłość. Wiedział przecież, że wszyscy jego współpracownicy z całych sił

starali się jak najlepiej spełniać swe powinności, a często robili o wiele więcej niż do nich należało.

Rajca Gustavsen nie daruje im śmierci syna, a wedle wszelkich znaków śmierć Bernta jest nieuchronna.

Zwykle podobne infekcje nie były śmiertelne, kiedy jednak zaatakowały organizm wcześniej osłabiony, należało spodziewać się najgorszego. Tak właśnie przedstawiała się sytuacja Bernta.

I Marit.

Serce ścisnęło mu się z bólu.

Marit...

Prawdopodobnie już nie żyła. Ta myśl sprawiła mu taki ból, że musiał na chwilę zatrzymać się i przymknąć oczy, by odzyskać zdolność działania.

Wiedział, że nie jest w stanie jej uratować. Ale być może... zdoła uratować... Bernta?

Nagle nie wiadomo skąd przyszedł mu do głowy pomysł. Napłynął tak niespodziewanie, że aż trudno było mu w pierwszej chwili go zrozumieć.

Nigdy nie zdarzyło mu się wykorzystywać nadzwyczajnych zdolności Ludzi Lodu. Przede wszystkim sam takowych nie posiadał. Ale był przecież ktoś inny...

Tajemnych mocy nie należało nadużywać. Ale czy ktoś ośmieliłby się twierdzić, że sytuacja nie jest krytyczna? Nie tylko dla Bernta Gustavsen, lecz także dla wszystkich pozostałych pacjentów, no i dla całego szpitala?

59

Na zastanawianie się poświęcił nie więcej niż minutę, po czym przystąpił do zdecydowanego działania.

W szpitalu zainstalowano telefon. Aparat stał co prawda w gabinecie ordynatora, ale o tak późnej porze nie było tam żywej duszy.

Christoffer skierował się bezpośrednio do gabinetu zwierzchnika. Nie był szczególnie obeznany z telefonami, uważał je za nieobliczalne urządzenia, ale udało mu się połączyć z centralą w mieście.

Podał numer do domu matki i ojca. W Lipowej Alei nie mieli telefonu. Ale Przecież można wysłać posłańca...

Poprosił o osobistą rozmowę z Benedikte Lind z Ludzi Lodu.

60

ROZDZIAŁ VI

Benedikte Lind z Ludzi Lodu miała już dwadzieścia dziewięć lat. Trudny okres oczekiwania nieślubnego dziecka i lata upokorzeń, które po nim nastąpiły, należały do przeszłości. Nadal jeszcze musiała walczyć o prawo Andre do życia w społeczeństwie, które nie tolerowało żadnych widocznych oznak niemoralności, nadal musiała dodawać mu odwagi, by bez strachu szedł do szkoły. Ale Andre miał już dziewięć lat i lepiej radził sobie z nieprzyjawnymi uwagami starszych uczniów. Oczywiście zdarzało się, że wypłakiwał łzy goryczy, kiedy rzucała się na niego gromada większych dzieci, a jego piękne przybory szkolne lądowały w sadzawce z żabami, ale w domu nie przyznawał się do tego. Benedikte, rzecz jasna, wiedziała, co się dzieje, i starała się go pocieszać, mówiąc, że nie tylko jego spotykają podobne przykrości, a być może inne krzywdzone dzieci nie mają nikogo, kto by je pocieszył. Gdyby więc Andre zobaczył, że coś podobnego przytrafia się komuś innemu, powinien wtedy podejść do takiego dziecka i pomóc mu.

Dla małego chłopca, który czuł się wśród rówieśników niechciany, było to zadaniem prawie nadludzkim, ale Andre łkając ocierał łzy i starał się pomagać mniejszym od siebie samotnym dzieciom.

Benedikte nieustannie miała ochotę wybrać się do szkoły i porządnie wytargać dręczycieli synka za uszy, ale wiedziała, że Andre umarłby ze wstydu, a poza tym później byłoby mu jeszcze trudniej. Nie mogła też poważnie pomówić z rodzicami tych nicponi, bo przecież samotna matka właściwie nie miała nic do powiedzenia.

W ostatnim czasie jednak wszystko jakby się unormowało, nie rozumiała tylko, dlaczego.

Andre wracał ze szkoły uśmiechnięty i zadowolony, mówił o kolegach, z którymi się zaprzyjaźnił. Benedikte tak bardzo się tym radowała, że z trudem powstrzymywała łzy.

Ostrożnie próbowała wypytywać syna, co spowodowało tę nagłą fantastyczną zmianę, ale Andre uśmiechał się tylko tajemniczo.

Nie pozwolono mu mówić o tym, co się naprawdę wydarzyło. A stało się to parę miesięcy temu, kiedy bał się wracać ze szkoły do domu. Siedział skulony w kącie dziedzińca szkolnego, tam gdzie nikt nie mógł go widzieć, wiedział bowiem, że zaraz za zakrętem czeka na niego czterech dużych chłopaków i jedna dziewczyna. Wcześniej tego dnia stanął

w obronie pewnego pierwszoklasisty i zagrozili mu, że jeszcze się z nim policzą.

Dzień był zimny, chłopcu doskwierał chłód. Wiedział, że kochana mama czeka z obiadem i będzie się o niego niepokoić, ale bał się ruszyć. Pies dozorca podbiegł do Andre i obwąchał

go ze współczuciem. Chłopczyk zaczął głaskać zwierzę.

Wtedy właśnie usłyszał głos, łagodnie wypowiadający jego imię. Podniósł głowę i zobaczył, że stoi przed nim obcy mężczyzna.

61

Jaki on piękny, jak niewypowiedzianie piękny! Mały Andre w całym swym życiu nigdy nie widział tak cudownego człowieka. Czarne wijące się włosy opadały na ramiona, szare jak popiół oczy uśmiechały się do niego spod długich, jedwabistych rzęs. A uśmiech... Andre uznał, że jego uśmiech jest jak rozświetlone blaskiem słońca letnie niebo.

- Chodź, odprowadzę cię do domu - przyjaźnie zachęcił go mężczyzna.

Andre się podniósł. Chciał zapytać nieznajomego, kim jest, ale nie mógł wydusić z siebie słowa, bał się.

Jak przyjemnie było trzymać ciepłą, dorosłą dłoń! Razem ruszyli drogą.

- Jestem twoim krewnym - wyjaśnił mężczyzna. - Nie, nie, nie twoim ojcem. Ale bardzo dobrze znam twoją matkę i twego dziadka Henninga. I Malin Volden.

Andre nic nie powiedział, tylko mocniej uściśnął dłoń, dającą mu takie poczucie bezpieczeństwa.

- Sądzę jednak, że nie powinieneś nikomu mówić, że tu jestem - ciągnął mężczyzna. - Niech to pozostanie naszą wspólną tajemnicą.

- Ale czy nie mógłbyś pójść ze mną do domu i odwiedzić ich wszystkich? - Andre błagalnym wzrokiem patrzył na swego nowego wysokiego przyjaciela.

- Jeszcze nie - odparł nieznajomy.

Chłopiec milczał przez chwilę.

- Jak masz na imię? - spytał wreszcie.

Mężczyzna zamyślił się.

- Chyba na razie ci tego nie wyjawię. Najpierw muszę sprawdzić, czy potrafisz trzymać język za zębami. Ale kilka lat temu pomogłem twojej matce.

Wyszli za zakręt, tam za kamieniem czyhała cała piątka starszych dzieci. Kiedy ujrzeli obcego u boku

Andre, stanęli jak wryci, a w chwilę później wzięli nogi za pas i uciekali tak szybko, że aż się za nimi kurzyło.

Nieznajomy nie odprowadził Andre do samego domu. W alei, przy pierwszych lipach, pożegnał się i obiecał, że wróci, jeśli dzieci nie dadzą chłopcu spokoju. Ale przypuszczał, że to się już nie powtórzy.

Okazało się, że miał rację. Następnego dnia w szkole dzieci podeszły do Andre, pytając, kim był mężczyzna, który odprowadził go do domu.

62

- O, to mój krewny - odparł Andre uśmiechnięty. - Mieszka w pobliżu i czasami po mnie przychodzi.

Dzieci wydawały się zamyślane. Marco - bo był to, rzecz jasna, Marco, choć Andre tego nie wiedział - musiał najwyraźniej wyrzucić na nich ogromne wrażenie. Po tym incydencie Andre miał nareszcie trochę spokoju, a nawet zyskał sobie wśród uczniów kilkoro przyjaciół.

W domu nie powiedział jednak nic o dziwnym spotkaniu, obiecał przecież, że nie puści pary z ust.

Pragnął ujrzeć swego niezwyklego krewniaka jeszcze raz, ale to się nie zdarzyło. Marco stał się dla chłopca postacią ze wspaniałego snu, najlepszym przyjacielem z marzeń.

Benedikte nic nie wiedziała o odwiedzinach Marca. Zauważyła jedynie, że synek jest spokojniejszy, i czuła się szczęśliwa jak nigdy przedtem.

Rozmowa telefoniczna z Christofferem wprawiła ją w oszołomienie.

- Któż to dzwonił? - spytała ją przybrana matka Agneta, kiedy Benedikte wróciła do domu.

- Christoffer - odparła Benedikte, stając nieruchomo na środku pokoju. - Chce, żebym przyjechała do Lillehammer.

- To bardzo miło. Ale właściwie dlaczego?

- Mają jakieś kłopoty w szpitalu. Dokładnie nie zrozumiałam, o co chodzi, ale z tego co dosłyszałam, wynikało, że jeśli czyjś syn umrze, gazety rozpętają skandal.

- To rzeczywiście straszne!

- Owszem. A co najgorsze, w szpitalu wybuchła jakaś epidemia, z którą nie mogą sobie poradzić, bo nie potrafią odkryć jej źródła. Christoffer pytał, czy nie mogłabym natychmiast przyjechać i pomóc im.

- Ale przecież ty nie jesteś lekarzem!

- To prawda - powiedział Henning, który wszedł do pokoju i przysłuchiwał się rozmowie. - Ale Benedikte ma swoje szczególne zdolności.

Dziewczyna od razu zwróciła się do ojca:

- Czy wolno mi będzie pojechać?

- Christoffer nigdy jeszcze o nic nie prosił. Sytuacja na pewno jest poważna. Uważam, że nie powinnaś zwlekać z wyjazdem.

63

- Oczywiście - poparła go Agneta. - A o Andre się nie bój, już my się nim zaopiekujemy.

- Wiem - odparła Benedikte zamyślona. - Ale właściwie miałam zamiar zabrać go ze sobą.

- A co ze szkołą?

- Nauczyciel na pewno go zwolni. Andre nigdy jeszcze nie wyjeżdżał z domu, podróż byłaby dla niego wielkim przeżyciem, jechałby pociągiem, zobaczyłby kawałek Norwegii.

Zatrzymamy się u Christoffera; prawdę mówiąc to on pytał, czy Andre mógłby przyjechać ze mną. Chciałby spotkać się ze swym chrześniakiem i pokazać mu Lillehammer.

- Moim zdaniem to wspaniały pomysł - ucieszyła się Agneta.

- Moim także - zawtórował jej Henning. - Pamiętaj tylko, żeby ciepło ubierać chłopca!

- Dobrze, dobrze, tatusiu. - Benedikte uśmiechnęła się ukradkiem. Nikt tak nie martwił się o zdrowie i dobre samopoczucie Andre, jak jego dziadek Henning.

Tej nocy Christoffera wezwano do szpitala. W jednym z drewnianych rozpadających się domków w mieście wybuchł pożar i Christoffer musiał zająć się ofiarami, jedną osobą poparzoną, drugą - zaczadzoną.

Ratując chorych rozbudził się tak bardzo, że kiedy skończył, nie w głowie było mu wracać do domu, do łóżka. Skierował się więc bezpośrednio do pawilonu, w którym leżała Marit z Grodziska.

Sam sobie zadaje dodatkowe cierpienia, myślał. Wiem przecież, że ona już nie żyje. To pewne.

Ale Marit żyła. Wbrew wszelkim przewidywaniom w trawionym gorączką ciele tlił się jeszcze płomyk życia. Nocna pielęgniarka czuwająca przy jej łóżku starała się utrzymać ranę w czystości, przemywając ją płynem dezynfekującym. Marit dostała środek przeciwbólowy i wzmacniający, a na wszelki wypadek jeszcze sole trzeźwiące z domowych zapasów pielęgniarki.

Nie wiadomo, czy to one podziałały, czy też lek na wzmocnienie, ale w każdym razie pewne było, że Marit nadal oddycha. Christoffer wiedział jednak, że to tylko odsuwanie w czasie tego, co

nieuniknione. Nic na ziemi nie mogło pomóc Marit z Grodziska. Infekcja najprawdopodobniej zaatakowała już wątrobę, nerki i inne organy. Tylko kwestią czasu pozostawało, kiedy przestanie bić jej przeciążone serce.

A mimo to stał, wpatrując się w jej piękną twarz. Pielęgniarka zapytała go wzrokiem, czy ma odejść, kiwnął głową, więc wyszła. Cichutko zamknęła drzwi.

Tylko mała lampka oświetlała izolatkę, w której zmarło już tyle osób. Ciemna listopadowa noc wciąż czaiła się za oknem, choć wkrótce powinna przemienić się w poranek.

64

- Marit - szepnął Christoffer.

Jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał, było drgnięcie powiek. Kobieta oddychała szybko i tak płytko, że ledwie to słyszał.

- Marit, to ja, Christoffer - powiedział, siadając przy niej. Ujął jej zniszczoną od pracy dłoń, bezwładnie leżącą na kołdrze.

Nie bardzo wiedział, co chce jej powiedzieć. Odczuwał jedynie ogromną potrzebę, by dać jej piękną i szczęśliwą śmierć - jeśli w ogóle można znaleźć coś pięknego w konieczności rozstania się z życiem, którym nigdy nie dane było się cieszyć.

- Jeśli mnie słyszysz, to daj mi znak, uściśnij mnie lekko za rękę.

Natychmiast poczuł ledwie zauważalny ucisk palców.

- Doskonale!

Teraz ważne było, by okazał się dobrym aktorem. Musiał znaleźć słowa, które przyniosłyby jej radość.

- Marit, wczoraj rozmawialiśmy o tym, że się kochamy, pamiętasz?

Leciuteńko poruszyła palcami.

- I z mojej strony to najprawdziwsza prawda.

Drżenie palców musiało starczyć za całą odpowiedź.

- Z twojej także? Dziękuję, Marit, bardzo chciałem to usłyszeć. Bardzo cię kocham, najdroższa. Twoja twarz, jej zmieniający się wyraz, ciepło w oczach, twój głos. Kocham wszystko, co jest tobą, bardziej, niż wydawało mi się to możliwe.

Jak łatwo napływały słowa! Najwidoczniej był urodzonym aktorem, tylko do tej pory o tym nie wiedział.

- Wiesz, co zrobimy, kiedy wyzdrowiejesz?

Znieruchomiła, wyczekując.

- Chciałbym, abyśmy się pobrali, Marit. Będziemy razem we dnie i w nocy, ty i ja. Tak świetnie się rozumiemy, nawet bez słów.

Teraz słyszał jej przyspieszony oddech.

- Chcesz tego, Marit?

65

Jej palce mocno uściśniły jego dłoń.

- Dziękuję - powiedział. - Sprawiałaś mi wielką radość.

Gdzieś z innej części pawilonu dobiegał przytłumiony płacz kobiety, nieszczęśliwej w nocnej samotności. Czuł, że od parapetu ciągnie chłodem. Znalazł ręcznik i usiłował zatkać nim szparę w oknie, ale to było tak, jakby próbować zatrzymać wiatr. Na dworze zrobiło się zimniej, na szybie mróz wymalował kwiaty, przepiękne, lecz śmiertelnie niebezpieczne wzory. W wysokim kominku płonął ogień, ciepło nierówno rozchodziło się po pokoju, w jednej połowie było gorąco, w drugiej panował lodowaty chłód.

Christoffer długo siedział u Marit. Spokojnym głosem mówił o tym, co będą robić, kiedy Marit wyjdzie ze szpitala: znajdzie wygodne mieszkanie, bo jego obecne jest dla nich dwojga za małe, no i oczywiście urodzą im się dzieci, to konieczne.

- Pomyśl tylko, jakie piękne będziemy mieć dzieci, ty i ja - roześmiał się. - My przecież jesteśmy najpiękniejsi na świecie. Maluchy z twoimi kręconymi włosami i nogami długimi jak moje, Z moim roztargnieniem i twoją wieczną potrzebą przeproszania za wszystko.

Biedactwa! Nie, wcale nie, poważnie mówiąc, to jestem pewien, że będą prześliczne.

Spostrzegł, że spod jej przymkniętych powiek spływają łzy, a ponieważ leżała na plecach, kapią prosto do ucha. Otarł je delikatnie, z czułością.

- Nie chciałem cię tak poruszyć - przeproszał skruszony.

Najwyraźniej starała się coś powiedzieć, ale nie starczyło jej sił. Musiał zgadywać.

- Ucieszyłaś się? To dobrze. Ale teraz musisz zasnąć, sen doda ci sił. Ja też pójdę się położyć, bo przez całą noc operowałem, ale wrócę.

Do czego? Do martwego ciała, może wyniesionego już do kostnicy?

Och, życie, jakież ty niesprawiedliwe! Wzrok mu się zmącił. Mocno uściśnił rękę chorej.

- Kocham cię, Marit.

Schylił się nad nią i pocałował w policzek. Kolejne łzy spłynęły jej z oczu, a on znów je otarł.

Odszedł, z trudem rozpoznając drogę.

Andre nie posiadał się z radości na wiadomość, że wolno mu będzie towarzyszyć matce.

Jego uczestnictwa w pakowaniu trudno nazwać pomocą, bo chciał zabrać ze sobą najbardziej nieprawdopodobne rzeczy i zadawał tysiące pytań. Wszystko go interesowało, a dotychczas jedyna jego podróż to wyprawa do dentysty w Sandvika kolaską dziadka, a nie była to wcale przyjemna wycieczka, bo dentysta wyrwał mu uparty mleczny ząb, który nie chciał sam wylecieć.

66

Tym razem Andre wybierał się dużo, dużo dalej, w dodatku pociągiem z przesiadką.

Dobrze, że mama z nim jedzie. Podróż wydawała mu się taka zawikłana.

Wreszcie siedzieli już w pociągu do Lillehammer, robili się coraz bardziej zakurzeni i coraz brudniejsi od sadzy, unoszącej się wraz z dymem z lokomotywy, ale świetnie się bawili.

Andre wyglądał przez okno, dopóki twarz nie zrobiła mu się całkiem czarna, śpiewał i śmiał

się do wiatru, z zachwytem obserwował drzewa i wody migające w pędzie, aż wreszcie Benedikte, która także marzła przy otwartym oknie, wciągnęła go do środka na wpół

zesztywniałego z zimna. A kiedy okno zostało zamknięte, zrobiło się całkiem cicho, jak gdyby uszy mieli zatkać watą. Słysząc było jedynie stukot kół o złącza szyn, a zdaniem Andre brzmiało to jak najcudowniejsza muzyka. No i kanapki, wypakowane przez mamę, kiedy znaleźli się w pół drogi! Musiał też iść do maleńkiego pomieszczenia, żeby się umyć, a akurat wtedy pociąg szarpał tak niemiłosiernie, że Andre o mały włos się nie wyrzucił. Tak samo zresztą było, gdy wracał na miejsce, mocno się wtedy musiał trzymać krawędzi ławek po obu stronach, a z jego twarzy zwróconej do innych pasażerów biło szczęście. Nie wolno mu było jednak wyjść na platformę, bo mama stwierdziła, że to niebezpieczne. Pociąg od czasu do czasu się zatrzymywał, pasażerowie wsiadali i wysiadali, jakiś człowiek gwizdał, wymachując chorągiewką, i zaraz pociąg znów zaczynał się toczyć z ciężkim sapaniem.

Andre ani słowa nie powiedział matce o niewidzialnym przyjacielu, który towarzyszył mu przez całą podróż. Wysoki, przystojny mężczyzna o czarnych lokach i ciepłym spojrzeniu dzielił z Andre wszystkie nowe wrażenia i trzymał go za rękę, kiedy przeżycia stawały się zbyt silne.

Christoffer miał wyjść po nich na dworzec.

W drodze na stację spotkał Lise - Merete, która akurat wybrała się na zakupy. Pannę bez reszty pochłaniały przygotowania do zamążpójścia.

- Spójrz tylko, co znalazłam w sklepie z porcelaną, Christofferze! Komplet przyborów do fajki, dokładnie taki sam jak ma ojciec!

- Ależ, moja droga, przecież ja nie palę!

- Ale może nasi goście będą palić, że też tego nie rozumiesz! A poza tym taki komplet wygląda bardzo elegancko, chyba sam to widziałeś u nas?

I cuchnie, miał już na końcu języka, ale pozwolił, by słowa pozostały niewypowiedziane. Lise

- Merete była taka wzruszająca w swym entuzjazmie. To przecież ich dom urządziła, od tej myśli zrobiło mu się ciepło na sercu.

Ujęła go pod ramię, upewniwszy się najpierw, czy jest całkiem wolny od zarazków.

- Christofferze, myślałam o tym, o czym mówiliśmy ostatnio. I wiem, że mogę ci w pełni ufać.

To wszystko przez to, że jesteś tak nieludzko przystojny i dziewczęta uganiają się za tobą. A 67

kobiety umieją zarzucić sieci na mężczyznę, chyba o tym wiesz? Ty tego nie chcesz, ale one potrafią być naprawdę podstępne.

- Możesz być całkiem spokojna, Lise - Merete - uśmiechnął się. - Świata poza tobą nie widzę.

- To bardzo dobrze - odparła zadowolona. - A jak się miewa Bernt? Słyszałam, że lepiej.

Od kogo mogła to usłyszeć? Niestety nie było w tym ani odrobiny prawdy. Stan Bernta stale się pogarszał.

- Zajmują się nim - odparł Christoffer nie chcąc kłamać.

Pokiwała głową.

- A twoja komornica?

- Umiera. Prawdopodobnie już nie żyje.

Czy Lise - Merete usłyszała, jak dziwnie zduszonym głosem to powiedział? Chyba nie, bo oświadczyła beztrąsko:

- I tak nie miała przyjemnego życia. Odprowadzisz mnie do domu?

Wyjaśnił, że właśnie zmierza na stację kolejową po swoją „starszą siostrę” Benedikte.

Gładka buzia Lise - Merete na moment się zachmurzyła, ale dziewczyna zaraz zaszczębiotała:

- No, ja muszę wracać do domu. Czy ona na długo przyjeżdża?

- Nie wiem, przypuszczam, że zostanie kilka dni. Musisz poznać ją i chłopca.

- I on także tu będzie? Ależ on jest przecież...

Urwała. Co miała zamiar powiedzieć? Że Andre jest uczniem? Najprawdopodobniej.

Christoffer nie chciał uwierzyć, że Lise - Merete zamierzała nazwać go bękartem i miała coś przeciwko obcowaniu z nieślubnym dzieckiem. Nie, oczywiście, że nie, Lise Merete nie była taka.

Rozstali się. Christoffer przypadkiem odwrócił w pewnym momencie głowę i dostrzegł

elegancką postać narzeczonej skręcającą w jedną z bocznych uliczek. Wcale nie w stronę domu, raczej ku... stacji? Tak, zniknęła za rogiem, a uliczka, w którą się zagłębiła, wiodła na dworzec, tak jak ulica, którą on szedł.

68

Niezwykłe! Ale może przypomniała sobie o jakiejś sprawie, którą musiała załatwić w tej okolicy.

Znów jednak poczuł się dziwnie nieswojo.

Kiedy pociąg wjechał na stację, Christoffer czekał już na peronie. Andre w oknie z daleka wykrzykiwał coś do niego, gwałtownie machając rękami. Odnaleźli się w tłumie podróżnych, wynieśli bagaże.

- Witaj, Benedikte, jak wspaniale znów cię widzieć - śmiał się Christoffer, ale Benedikte natychmiast spostrzegła, że twarz miał poraną ze zmęczenia i troski. - A czy to przypadkiem nie Andre? Aleś ty wyrósł! Mmm, ale mocny, przyjemny uścisk! - I do Benedikte: - I jak świetnie wygląda!

- Prawda, że jest śliczny? - odszepnęła. - Trudno mi pojąć, że to mój syn.

Prawdę mówiąc, można się było temu dziwić, ale Christoffer, który znał Benedikte przez całe swoje życie, nauczył się lubić jej wygląd, ponieważ był nieodłącznie związany z nią, osobą obdarzoną tak niezwykle gorącym sercem.

Przez moment wydawało mu się, że przy budynku dworcowym dostrzega płaszcz Lise -

Merete, rdzawy, z szarym obramowaniem, ale to nie mogła być prawda. Przecież podeszłaby do nich, aby się przywitać!

Ale to była Lise - Merete. Elegancka panna z wyższych sfer szybko skryła się za węglem, zanim ją dostrzegli. Zdążyła już obejrzeć tak zwaną starszą siostrę swego narzeczonego i była bardzo zadowolona. Benedikte niczym nie mogła jej zagrozić. Co za niezgrabna, brzydka krowa! Lise - Merete nie bardzo mieściło się w głowie, jak ktoś taki jak ta Benedikte może mieć tak urodziwego synka. Na pewno był adoptowany, a ona tylko udawała, że to jej własne dziecko. A zresztą nie miało to żadnego znaczenia.

Christoffer, Benedikte i Andre udali się prosto do szpitala, nie mieli bowiem czasu do stracenia. Christoffer wyjaśniał wszystko po drodze:

- Mamy więc do czynienia z tak zwaną chorobą szpitalną. To jest...

- Tak, tłumaczyłeś mi to już przez telefon. Ale nie do końca rozumiałam tę historię z jakimś umierającym synem, którego śmierć może doprowadzić do straszliwego skandalu.

Christoffer powtórzył jej wszystko od początku, teraz już nie przeszkadzał trzeszczący aparat telefoniczny. Benedikte kiwała głową i wreszcie powiedziała:

- A cóż to za dureń, ten przeklęty rajca?

- Mój przyszły teść - odparł sucho Christoffer.

69

- Oj, przepraszam - mruknęła spłoszona. - No cóż, obejrzę syna, zobaczę, czy będę mogła coś zrobić.

- Bardzo byłbym ci za to wdzięczny.

- Czy ktoś jeszcze?

- Zachorowało wiele osób, osiem, może dziesięć. A ta, którą najbardziej chciałem uratować, nie zniosła choroby. Najprawdopodobniej już nie żyje.

- Przykre. Po głosie poznaję, że się zaangażowałaś?

- Tak - odparł Christoffer, a potem opowiedział całą historię Marit: o jej samotnym życiu, o ich spotkaniu na bagnach, o tym, jak walczył, by ją uratować i prawie mu się to udało, gdyby nie zaatakowała nagle infekcja. Jej wycieńczony organizm nie miał jak się przed nią bronić.

- Naprawdę smutne - mruknęła Benedikte. - Szkoda, że nie dane jej było poznać radości w życiu. Gdzie może zaczekać Andre, kiedy ja będę u chorych?

- Zostawimy go w dyżurce u pielęgniarek. Na pewno będą go rozpieszczały. A najlepiej by było, gdyby udało ci się odkryć źródło infekcji.

- Postaram się.

Byli już na terenie szpitala i kiedy rozradowanego Andre oddano pod opiekę równie rozradowanych adeptek pielęgniarstwa, a Benedikte starannie umyła się po podróży, zabrali się do roboty.

Zaczęła od Bernta Gustavsena, którego życie miało tak kolosalne znaczenie dla przyszłości całego szpitala. Był rozpalony, na twarzy wykwitły mu niezdrowe rumieńce.

Jęczydusza, pomyślała Benedikte, wodząc dłońmi nad jego ciałem w niewielkiej odległości od

skóry, tak by elektryzujące promienie mogły przenikać z jej dłoni w głąb tkanek. Czasami określa się to jako energię kosmiczną.

Czuła instynktowną antypatię do przyszłego szwagra Christoffera. Okazał się egocentrycznym młokosem, który w pierwszej chwili zirytował się jej obecnością, następnie zdziwił, a wreszcie obudziło się w nim coś na kształt nadziei.

- Przypuszcza panna, że to pomoże?

A więc za pewnik przyjął, że Benedikte jest niezamężna. Benedikte nie nastroiło to wcale ani trochę lepiej.

- Owszem, jeśli zechcesz sam choć odrobinę pomóc - oświadczyła. - Przystaniesz rozdrapywać rany i nie będziesz wyciskać wrzodów.

70

- Kiedy to przeszliśmy na ty? - spytał uszczypliwie.

Popatrzyła na niego zdumiona.

- U nas wszyscy są ze wszystkimi na ty.

- Nie mam ochoty obcować z kimś o tak prostackich manierach.

Benedikte rozgniewała się nie na żarty. Odezwała się w niej krew dotkniętych z Ludzi Lodu.

Lekko uderzyła go w chorą nogę, wyprostowała się i oświadczyła:

- W takim razie radź sobie sam, ty arcysnobie! - powiedziała i wyszła.

- Nie, chwileczkę, zaczekaj! - zawołał za nią Bernt, który zaczynał się bać. Choć leżał w izolatce, daleko mu było do stanu Marit z Grodziska. Świtało mu jednak w głowie, że nie umieszczano ludzi w separatkach, aby było im tam wygodniej. Trafiali tu umierający.

- Proszę poczekać, proszę wracać! - zawodził Bernt. - Nie może pani zostawiać biednego pacjenta samemu sobie!

Christoffer, który był w innym pokoju i spotkał rozłoszczoną Benedikte na korytarzu, pozwolił mu dalej krzyczeć, przynajmniej dopóki rozmawiał z kuzynką.

- Po prostu nie mogę - powiedziała Benedikte, starając się odzyskać panowanie nad sobą. -

Okazał mi tak nieznośną pogardę, że nie wytrzymałam.

Nigdy dotąd nie widział jej rozgniewanej, zawsze traktował ją jako uosobienie dobroci. Teraz zobaczył, kim była naprawdę: jedną z dotkniętych z Ludzi Lodu.

- Wobec tego wstrzymaj się z nim - mruknął. - W pokoju obok leży dwóch mężczyzn, nimi więc się zajmij, a ja spróbuję przemówić Berntowi do rozsądku.

Weszli do pokoju swego przyszłego szwagra.

- Co ty znowu nawyprawiałaś? - spytał zniecierpliwiony.

- Ja? To ona zachowała się bardzo niegrzecznie. Nakaż tej czarownicy wrócić tu i kontynuować to, co zaczęła. Bo to naprawdę pomogło, czuję w nodze!

- Głos masz w każdym razie jeszcze donośniejszy. Ale nie wolno ci nazywać Benedikte czarownicą! To najlepszy człowiek, jakiego znam.

- Ale wygląda jak prawdziwa wiedźma.

71

- Wcale nie! A jeśli już o tym mówimy, to ty wyglądasz jak rozpieszczony smarkacz. Teraz będziesz musiał poczekać, aż skończy zajmować się innymi. Jeśli, oczywiście, w ogóle zechce do ciebie wrócić.

- Nie jest chyba aż tak obraźliwa!

- Benedikte nigdy nie była obraźliwa. Poza tym przyjechała aż z Asker tylko po to, by uratować życie tobie i innym pacjentom. A ty znów postąpiłaś jak dureń, i tyle.

Christoffer wyszedł, z hałasem zatrzaskując za sobą drzwi. Od dawna nie był tak wzburzony.

Benedikte przeszła do sąsiedniego pokoju.

Leżało w niej dwóch pacjentów, wyraźnie udreńczonych chorobą szpitalną. Jeden, najwidoczniej pogrążony we śnie, leżał zwrócony twarzą do okna, drugi, kiedy weszła, podniósł głowę.

Twarz rozjaśniła mu się w zyczliwym uśmiechu. Benedikte wytłumaczyła, że jej zabiegi nie sprawią mu żadnego bólu, i zaraz zaczęła stosowanie swojej terapii u tego sympatycznego pacjenta. Był to wesoły wieśniak, na którego zwał się gruz, i choć Benedikte miała ochotę posłuchać jego zabawnych powiedzonek, poprosiła, by milczał, gdyż musi się skoncentrować.

Niełatwo było wygnać zarazę z ciała, zwłaszcza komuś tak nie wprawionemu jak Benedikte.

Wypróbowywała swe zdolności tylko na członkach rodziny, na nikim innym, nie chciała bowiem zyskać sobie sławy „mądrej babki”, do której płynie strumień ludzi potrzebujących pomocy. Nie miała na to czasu, przynajmniej dopóki Andre nie dorósł, a poza tym była zbyt nieśmiała i obawiała się komentarzy obcych na temat swojego wyglądu. Do pewności siebie było jej doprawdy daleko. Tylko w rodzinnej parafii, gdzie wszyscy ją znali, ośmielała się pokazywać wśród ludzi, a gdy w grę wchodziło dobro Andre, potrafiła walczyć jak lwica.

Pragnęła ochronić go przed złośliwościami, których jej jako dziecku niezczędzono.

Niestety, nie mogła czuwać nad nim przez cały czas, a przecież w bezlitosnej ocenie ogółu i tak wykazał się dostateczną bezczelnością, przychodząc na świat bez ojca!

Benedikte wiedziała jednak, że w jej dłoniach kryje się tajemna moc. Odchyliła kołdrę wieśniaka, ale pozwoliła mu pozostać pod prześcieradłem; nie chciała, by oboje czuli się skrępowani. Biło od niego gorąco, nie pachniał też najlepiej, choroba bowiem niosła ze sobą specyficzny odór, ale Benedikte starała się nie zwracać na to uwagi, był bowiem dobrą duszą i zasługiwał na pomoc. Prosty wieśniak miał o wiele więcej kultury niż chłopak z wyższych warstw społecznych, leżący w sąsiednim pokoju.

Zerknęła na drugie łóżko. Te plecy, z tego co mówił Christoffer, należały do młodego uczonego. Zastanawiała się, czy on także okaże się nadętym pyszałkiem, jak często bywało z ludźmi z wyższych sfer.

72

Wieśniak wodził oczyma za jej dłońmi, podczas gdy starała się przelać weń siłę i uzdrowić udręczone ciało.

- Czuję, że bardzo cierpiałeś, gdy zwały się na ciebie kamienie - powiedziała.

- Tak - zachichotał. - Można tak powiedzieć. Ale ty masz niezwykle dłonie, dziewczuszko, mam wrażenie, jakby spływała z nich we mnie siła. I takie są gorące! Choć trzymasz je w powietrzu, prawie parzą.

- Tak, obdarzono mnie niezwykle zdolnościami - przyznała. - Powinnam je wykorzystywać, ale z natury jestem nieśmiała, nie zdarza się więc to zbyt często.

- Nie masz się czego wstydzić, moja kochana. Taka jesteś słodka!

- Dziękuję, ale...

Przerwał im okrzyk:

- Benedikte?

Drugi pacjent przebudził się i zwrócił w ich stronę. Gdy zawołał, i oni popatrzyli na niego.

- Sander - szepnęła Benedikte, otwierając oczy coraz szerzej. W tym momencie zapomniała o wielu latach goryczy, w pamięci miała jedynie spędzone razem cudowne chwile. -

Sanderze Brink, czy to naprawdę ty?

73

ROZDZIAŁ VII

Sanderowi Brinkowi nie wiodło się najlepiej.

Jakieś dziesięć lat temu zbyt pośpieszył się z żeniactwem i w jego małżeństwie po niedługim czasie coś zaczęło zgrzytać. Najgorsze w tym wszystkim było chyba to, że ponieważ znalazł żonę w kręgach, gdzie piło się ponad miarę - elegancko i wytwornie, rzecz jasna - ciągle wystawiany był na pokusy.

Jego żona, wiecznie narzekająca i pełna współczucia dla siebie, używała łez jako broni i czyniła mu ciągle wymówki z powodu jego wiecznego picia, jednocześnie wystawiając wino i mocniejsze trunki dla gości, którzy przychodzili często, gdyż krąg ich znajomych był

niezwykle szeroki. Sama z problemem alkoholu radziła sobie całkiem nieźle, choć zdarzało się, że gdy wieczorem szła do łóżka, plątał jej się język i ledwie trzymała się na nogach.

Sanderowi jednak nie służyło takie życie. Każdego ranka budził się zawstydzony i zakłopotany i świat bawił go coraz mniej.

Jego piękna żona wielokrotnie, szlochając, wykrzykiwała słowa o rozwodzie, nawet przez chwilę nie myśląc o tym naprawdę. Kiedy bowiem Sander sam zaproponował rozstanie, wpadła w histerię i usiłowała go przekonać, że żadna inna kobieta z nim nie wytrzyma, żadna nie będzie w stanie tak się dla niego poświęcić.

Małżeństwo jakoś jednak trwało, głównie z przyzwyczajenia. Sander jakby przestał wierzyć, że istnieje jakaś inna forma egzystencji. Pocięchą była mu jego praca naukowa, co rano uciekał do swego laboratorium i tam spędzał większą część dnia. Wieczorem wracał na kolejną pijatykę, do rozhulanych, hałaśliwych gości i żony, posyłającej mu jadownicze spojrzenia i miłe na pozór słowa, w których kryła się nagana i uzalanie nad sobą.

Właśnie podczas jednego z takich hucznych przyjęć w towarzystwie tak zwanych przyjaciół

Sander wypił za dużo i stracił równowagę. Przewracając się, pociągnął za sobą stolik z kieliszkami do wina i skaleczył się w dłoń.

Rana sama w sobie nie stanowiła powodu do zmartwienia. Następnego dnia jednak nie zachował należytej ostrożności w laboratorium i do rany najwidoczniej musiały się dostać jakieś wyjątkowo zajadłe bakterie, nie chciała bowiem się goić.

Pewnego dnia, kiedy w urzędowej sprawie przyjechał do Lillehammer, dłoń, która dokuczała mu już od dłuższego czasu, rankiem w hotelu niepokojąco spuchła. W ciągu dnia nabrzmiało już całe ramię, a w stronę pachy ciągnęła się czerwona pręga. Kiedy węzły chłonne powiększyły się i zaczęły boleć, Sander uznał, że musi zwrócić się do lekarza.

W szpitalu w Lillehammer oznajmiono, że przyszedł w ostatniej chwili. Został natychmiast przyjęty i po pewnym czasie lekarzom udało się trochę zmniejszyć opuchliznę, rana jednak dalej nie chciała się zagoić, każdego ranka była tak samo rozjątrzona.

W ostatnich dniach dało się zauważyć lekką poprawę, ale wtedy zaatakowała wewnątrzszpitalna infekcja. Sander znalazł się więc znów w punkcie wyjścia.

Żona odwiedziła go raz, później nie było już więcej wizyt. Źle się czuła w otoczeniu szpitalnym, a poza tym tak długa podróż pociągiem była droga, uciążliwa i wyczerpująca.

Biedulka!

A teraz stała przy nim Benedikte.

Sandera zalała fala wspomnień.

Niedługo jednak przyszło mu rozpamiętywać, bo Benedikte w paskach zerwała się z krzesła, przepaszając, i wybiegła z pokoju.

Spotkanie z Sanderem to już było dla niej za wiele. Nastąpiło zbyt nagle, burza uczuć przytłoczyła ją, uciekła więc do toalety w korytarzu. Zamknęła się tam i gryzła palce, nie mogąc opanować drżenia całego ciała. Potrzebowała trochę czasu, by się pozbierać.

W pokoju chorych panowała przepojona zdumieniem cisza. Wreszcie przyszedł Christoffer.

- Myślałem, że jest tu Benedikte.

- Wyszła na chwilę - odparł wieśniak, nie bardzo wiedząc, jak ma rozumieć to, co się stało.

- Doktorze Volden, czy pan zna Benedikte? - spytał Sander Brink.

Christoffer zdumiony odwrócił się ku uczonemu.

- Oczywiście, to moja bardzo bliska krewna. A czy pan ją zna?

- Kiedyś znałem.

I znów Sander wspomniiał tamte dni w Fergeoset, kiedy on i Benedikte tak bardzo się zaprzyjaźnili, i przypomniał sobie, jak ich miłosną przygodę zniszczyła zazdrość Adele.

Pamiętał rozpacz i gniew Benedikte, wywołany jego zdradą, która wcale nie była zdradą, lecz tylko bezmyślnością. Nigdy jednak nie miał możliwości, by się jej wytłumaczyć.

Benedikte zachowała się jak rozszalała furia, pobiła ich wszystkich: jego, Adele i lensmana.

Później nie chciała już mieć do czynienia z Sanderem.

Bardzo był wtedy rozgoryczony. Czy może w ramach odwetu ożenił się tak prędko? Może tak, może nie. Jego żona była olśniewająco piękna, zachwycił się jej urodą, jak zresztą miał

w zwyczajach. Dla niego piękna kobieta oznaczała zdobycie.

Z Benedikte było jednak inaczej. Ona nie skusiła go urodą. Ofiarowała mu coś innego: bliską więź, łagodną przyjaźń, która przerodziła się w miłość. Na swój sposób i on także ją kochał.

75

Nigdy nie przeżywał miłości tak głębokiej, nie będącej jedynie powierzchownym podziwem dla pięknego ciała.

Kiedy Benedikte odwróciła się od niego, bardzo to przeżył, choć, oczywiście, rozumiał ją. W

owym czasie był jeszcze tak bardzo niedojrzały, jego pogoń za spódniczkami, chęć podbicia serca każdej ładnej kobiety, która tylko znalazła się w pobliżu, była bezwstydnie dziecinna.

- Czy Benedikte jest szczęśliwa? - spytał doktora Voldena.

- Chyba można tak powiedzieć. Otaczają ją ludzie, którzy ją kochają, no i ma swego małego synka, Andre.

Sander zmarszczył brwi.

- Benedikte wyszła za mąż?

- Nie, nie jest zamężna. Ale doskonale radzi sobie z opieką nad Andre. Chłopiec jest dla całej rodziny niczym ubóstwiany promyk słońca, a szczególną radość sprawia wszystkim tym, że tak świetnie radzi sobie w szkole.

- W szkole? Ile lat ma właściwie chłopiec?

- Andre? Dziewięć. A dlaczego pytasz?

Sander zacisnął szczęki tak mocno, że było to widać. W ustach nagle mu zaschło, jakby ktoś nasypał w nie piasku.

- Proszę mi powiedzieć, czy przypadkiem nie wie pan, kiedy przypadają urodziny chłopca?

- Oczywiście, że wiem. Urodził się dwudziestego ósmego kwietnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Masz zamiar wysłać mu podarunek? - uśmiechnął się Christoffer.

Sander nie odpowiedział, a to dlatego, że rachował w myślach. W tejże chwili wróciła Benedikte, już bardziej opanowana.

Uniósł się na łokciu i zawołał do niej:

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Benedikte podniosła pytający wzrok na Christoffera.

- O Andre.

Teraz bowiem i on zrozumiał.

76

Benedikte cicho odpowiedziała Sanderowi:

- Miałam zamiar poinformować cię o wszystkim, kiedy zorientowałam się, jak stoją sprawy.

Ale ty byłeś już żonaty.

Sander opadł na poduszki, dłońmi zasłaniając twarz. Nikt nie wiedział, co należy powiedzieć.

W końcu kłopotliwe milczenie przerwał Christoffer:

- Będziecie mieli okazję porozmawiać później, a teraz uważam, że powinnaś skoncentrować się na swoich pacjentach, Benedikte.

- Och, tak, oczywiście - mruknęła i podeszła do łóżka wieśniaka. Do Sanderą odwróciła się plecami.

Christoffer nareszcie pojął, skąd wzięła się uroda Andre. W twarzy młodego naukowca mógł odnaleźć każdy jego rys, tylko że do tej pory nie przyszło mu do głowy porównywać ich obu.

Dlaczego zresztą miałby to robić?

Został z nimi, dopóki Benedikte nie zakończyła zabiegu u wieśniaka.

- Czy mogę... zaczekać z... Sanderem? - spytała nieśmiało. - Moglibyśmy połączyć zabieg z rozmową, a on nie jest chyba najbardziej chory?

- Oczywiście, możesz to odłożyć. Pokażę ci, dokąd powinnaś teraz iść.

Opuścili salę i wyszli na dziedziniec. Christoffer wskazał jej następny pawilon, gdzie w sali numer trzy pomocy Benedikte oczekiwały dwie kobiety. On sam musiał wracać do pracy, ale wyjaśnił jej, gdzie ma go potem szukać.

Benedikte odnalazła chore i zabrała się do dzieła. Przeszkadzały jej jednak rozbiegane myśli, raz po raz musiała w duchu nakazywać sobie skupienie.

Sander...

Spotkanie z nim po tak wielu latach było dla niej wielkim wstrząsem. Tak jak wtedy miała wrażenie, że rzucił na nią czar, tak bardzo ją pociągał. Postarzał się jednak co nieco, a poza tym znać było, że nie jest szczęśliwy.

Mieli porozmawiać. O czym? O Andre, rzecz jasna. Ale co więcej miała mu do powiedzenia?

Nie, musi się skupić na tym, co robi. Zawstydzona przepaszająco uśmiechnęła się do pacjentki.

Otrzymała od Christoffera wskazówki, co ma robić dalej, do którego pawilonu się udać. Ale kiedy skończyła zabiegi w tej sali i wyszła na korytarz, zza jakichś drzwi dobiegł ją głos: 77

- Co takiego? Poszaleliście chyba! Nikt nie wezwał księdza do Marit z Grodziska? O czym wy myślicie? Teraz jest już za późno i jej biedna dusza będzie musiała znosić cierpienia w przedsionku piekieł. Co? No, to pospieszcie się, może jeszcze zdąży! Kurze mózdzki!

Z pokoju wypadła zapłakana młoda pielęgniarka i chciała wyminąć Benedikte. Ta jednak złapała ją za ramię.

- Marit z Grodziska? Gdzie ona leży?

Siostra z oczami pełnymi łez wskazała na drzwi w samym końcu korytarza i pobiegła dalej.

Benedikte rozpoznała imię Marit z Grodziska. To o nią przecież tak bardzo niepokoił się Christoffer. To ta osoba która nigdy nie zaznała niczego innego poza smutkiem, łajaniem i harówką.

Benedikte miała teraz możliwość sprawienia Christofferowi przyjemności i być może podarowania nieznanej kobiecie życia.

Kiedy jednak Benedikte weszła do separatki Marit, zorientowała się, że przybywa za późno.

Kobieta w łóżku szykowałą się już do przekroczenia granicy dzielącej dwa światy.

Marit z Grodziska pogrążona była w głębokiej śpiączce, oddychała niezauważalnie, można się było jedynie domyślać, że jeszcze żyje.

Benedikte, chcąc odwrócić wyrok losu, musiała skoncentrować wszystkie swoje umiejętności. Przysiadła na łóżku i ujęła w dłonie wychudzoną jak szkielet, zwiędłą rękę.

Skupiając swoje siły starała się przelać moc w ciało tamtej kobiety. Wyobrażała sobie, że życiodajna siła wlewa się z niej w naczynia krwionośne umierającej, w jej nerwy, w najdrobniejsze komórki ciała. Przemawiała do nieprzytomnej, starała się tchnąć w nią wolę życia, próbowała niemal zahipnotyzować Marit, by zawrócić strumień w odpowiednią stronę, z powrotem ku życiu.

Benedikte długo siedziała przy Marit. Czowała, że na czoło występuje jej pot i spływa do oczu, z wysiłku drżała na całym ciele, serce waliło oszalałym rytmem. Usiłowała dać wszystko temu biednemu stworzeniu. Przez moment przemknęła jej przez głowę zdradziecka myśl, że może wyrządza Marit niedźwiedzią przysługę, bo jej przyszłe życie okaże się równie mroczne jak przeszłość. Myśl ta w niebezpiecznym stopniu zahamowała oddziaływanie jej uzdrawiającej siły, natychmiast więc starała się ją zdławić.

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł pastor. Benedikte wstała, nie chciała dyskutować z

człowiekiem Kościoła, wiedziała, że i tak się nie zrozumieją. Poza tym nie sądziła, by mogła teraz uczynić coś więcej dla Marit, od tej chwili chora musiała sama wykorzystać to, co przelała w nią Benedikte. A ponieważ sakrament nie powinien zaszkodzić, przeciwnie, mógł nawet pomóc, skinęła tylko głową pastorowi i towarzyszącej mu pielęgniarce i wyszła.

78

Ruszyła dalej kursem, który wyznaczył jej Christoffer, przeszła do pawilonów, gdzie leżeli pacjenci zaatakowani zatruwającą organizm infekcją. Niektórzy oczywiście zastanawiali się, co z niej za jedna, ale gdy wyjaśniała, że ma uzdrawiające dłonie, natychmiast godzili się na zabieg. Widzieli w niej ostatnią deskę ratunku. Dwie pielęgniarki potraktowały ją bardzo niechętnie, a Benedikte cieszyła się, że nie spotkała żadnego lekarza. Na pewno nie tolerowałiby podobnych szarlatańskich praktyk.

Ale przecież miała za plecami Christoffera, jeśli ktoś zadawałby zbyt natarczywe pytania.

Wreszcie został jej już tylko Sander Brink.

W zapadającym zmierzchu stanęła na dziedzińcu szpitalnym, próbując zebrać się na odwagę. Z dyżurki pielęgniarek dobiegał radosny śmiech Andre, najwyraźniej świetnie się bawił.

Sander powinien zobaczyć chłopca.

Ale musiała jeszcze trochę poczekać, ze względu na Andre. Nie obawiała się szpitalnej zarazy, myślała o psychicznym zdrowiu synka. Nie wolno narażać dziecka na niespodziewane przeżycie, oświadczając po prostu: „Zobacz, to twój ojciec. Podejź i ładnie się z nim przywitaj!”

Szczególnie gdy nie miało się pewności, czy ojciec nie odrzuci dziecka.

Benedikte odetchnęła głęboko i skierowała się do pawilonu Sandera.

Marit była w domu na Grodzisku. Przeniesiona daleko, patrzyła we śnie na stare, tak dobrze znane lasy, rozciągające się w dole pod nią. Wsluchiwała się w głosy rozbawionych dzieci, które echem niosły się po okolicy. Z domu dobiegł gniewny głos ojca: „Marit! Marit! Gdzie ty się podziewasz, jak długo ja, biedaczysko, mam czekać na zasłużony kęs strawy?”

Jej wrażenia były wyciszone, jakby spowite mgłą, ale czuła, że przeważa w nich nienawiść.

Przez cudnie ukwieconą łąkę wracała do domu, w rękę niosła skopek. Był wyjątkowo ciężki, a kiedy zajrzała do środka, zobaczyła, że do połowy wypełnia go mleko, a w białej cieczy kolebie się ludzka głowa. Widziała tylko jej czubek porośnięty włosami, ale natychmiast rozpoznała postrzępione szare kosmyki ojca.

Ktoś szedł u jej boku. Jakiś miły człowiek, który patrzył na nią łagodnie i mówił: „To tylko twoja nienawiść, Marit, nie przejmuj się tym!” Tym człowiekiem był doktor Volden. Ubrany w nieudolnie zrobioną na drutach dziwną kamizelę i spodnie do kolan, w dłoni trzymał kosz, który zabrała ze sobą do szpitala.

Nagle znów siedzieli na osobliwym wózku, który on nazywał drezyną, i zaraz sen przemienił się w prawdziwy koszmar. Wjechali w mroczny las, wszędzie widzieli zmarłych. Z drzew zwieszała się wszyscy jej krewni, rodzeństwo i ich małżonkowie i dzieci, a kiedy popatrzyła na doktora Voldena, okazało się, że to wcale nie jest on, lecz jakaś upiorna istota o rysach twarzy ojca, zanosząca się diabelskim, złośliwym chichotem.

Nie wiedziała, co stało się z tym snem, bo nieco później znalazła się wśród wełnistych chmur, gdzie wszystko wydawało się nierzeczywiste. Miała wrażenie, że nareszcie zmierza do ostatecznego celu, zdawała sobie sprawę, że umiera, ale to uczucie wcale nie było przykre, przeciwnie, cudownie obojętne, za nic już nie czuła się odpowiedzialna.

Przed nią zapłonęła wielka jasność, a z niej wyłonił się doktor Volden, wyciągający ku niej rękę.

Ona jednak nie mogła do niego dotrzeć. On stał, delikatnym ruchem palców wabiąc ją ku sobie, ale przez cały czas pozostawał taki daleki. Powiedział: „Już wkrótce, Marit, już wkrótce będziemy razem na zawsze!”

Razem, na zawsze? Połączeni w śmierci?

Miała wrażenie, że coś ją odciąga - nie dosłownie, lecz jakaś siła starająca się nakłonić jej wolę. Mówiła o życiu. Ale przecież ona nie miała za czym tęsknić?

Chyba że...? Chyba że to doktor Volden kusił ją, by zawróciła? Może o to mu chodziło?

Może chodziło mu o jej powrót do życia, które będzie dzielić razem z nim?

Ale nie miała siły. Tak bardzo czuła się zmęczona, taka wycieńczona. Pragnęła jedynie odpoczynku.

Lecz czy w dzieciństwie nie słyszała o sąsiedzie, który „umarł” i którego przywrócono do życia? On także opowiadał o wielkiej jasności i zmarłym krewniaku, który wyszedł mu na spotkanie, ale jakaś siła ściągnęła go z powrotem do łóżka i wyzdrowiał.

Marit również ujrzała światłość, a najpierw wszystko spowite było mgłą podobną do waty. A potem pojawił się doktor Volden - Christoffer.

A jeśli on czeka na nią w świecie żywych? Co będzie, jeśli ona przekroczy granicę, odejdzie od niego?

Wszystkie te myśli, delikatne, ulotne jak pajęczyna, wprawiły ją w oszołomienie. Ale wola, przenikająca w jej świadomość, rozpałała w niej pragnienie, które z każdą chwilą, choć niezmiernie powoli, nabierało mocy.

Chyba jednak mimo wszystko chcę żyć. Pragnę walczyć o życie. Oby tylko nie było za późno!

Silna wola napływająca z zewnątrz gdzieś się rozproszyła. Jej miejsce zajął monotony głos, ale

dobiegał z tak daleka, że nie potrafiła rozróżnić słów, słyszała jedynie dźwięk.

80

Nie miała już sił. Chciała jedynie spać, spać...

Nie... Nie wolno spać! Muszę..

Nie pamiętała już, co musi.

Christoffer miał gościa.

Pielęgniarka powiadomiła go, że w pokoju przyjęć czeka panna Gustavsen. Nie chciała wchodzić do środka przyniosła tylko trochę smakołyków dla brata i życzyła sobie porozmawiać z doktorem.

Lise - Merete tutaj? Zwykle nie przekraczała progów szpitala. Twierdziła na ogół, że nie chce przeszkadzać mu w pracy, ale czasami Christoffer nabierał niesprawiedliwych z pewnością podejrzeń, że to strach przed zarazkami odpędza ją od szpitala.

No cóż, oczywiście poświęci jej nieco czasu, skoro już raczyła się tu pofatygować.

Prawdą było natomiast, że Lise - Merete poraził strach. Czuła się rozdzielana między niezachwianą pewnością siebie a lękiem, że Christoffer wymyka jej się z rąk. Na tę myśl naprowadziła ją matka. „Christoffer ostatnio wydawał się bardzo zamyślony, Lise - Merete.

Pewna jesteś, że panujesz nad nim jak należy?” „Oczywiście - odparła urażona. - Je mi z ręki.”

Kiedy jednak głębiej się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że wcale tak nie jest. Już nie. Matka miała rację, ostatnio był okropnie roztargniony, twierdził, że to infekcja w szpitalu tak zajmuje jego myśli, ale zastanawiająco często mówił o innych kobietach. O swoich dwóch „siostrach”, z których przynajmniej starsza była całkowicie niegroźna, i o umierającej komornicy. Z nich trzech należało się wystrzegać tylko najmłodszej, Vanji. Ale alarmujące było już samo to, że nie poświęcał swej uwagi wyłącznie Lise - Merete.

Będzie musiała ściągnąć mu cugli.

Dał jej do zrozumienia - co prawda nie bezpośrednio, ale mimo wszystko - że jest zazdrosna. Zazdrosna, ona? Śmieszne, wszak to on powinien być zazdrosny! Musi dostarczyć mu powodu.

Dlatego właśnie w pokoju widzeń szpitala wyszła mu na spotkanie z promiennym uśmiechem i obdarzyła długim, gorącym uściskiem. (Och, byle tylko zapomnieć na ten czas o bakteriach, znów by się obraził, tyle rozumiała już nawet Lise - Merete.)

- Co się takiego stało, najdroższa? - dopytywał się Christoffer.

- Mam... mam ci coś do powiedzenia.

- Przejdźmy wobec tego do biura, akurat w tej chwili jest puste.

81

W progu zapała się jak uparty osioł, ale Christoffer pospiesznie ją przekonywał, że do tego pomieszczenia nigdy nie wchodzi chorzy.

Lise - Merete usłyszała jednak odrobinę irytacji w jego głosie. Musi bardzo uważać!

- Mój drogi - zaczęła, kiedy już usiedli obok siebie na kozetce. Demonstracyjnie mocno trzymała go za ramię. - Mój drogi, otrzymałam pewne zaproszenie i nie wiem jak mam się do niego ustosunkować...

- Co to za zaproszenie? - Christoffer nie okazywał szczególnego zainteresowania, spoglądał na nią przyjaźnie i już to było niepokojące.

- Moi dawni znajomi z klasy zapraszają mnie do Gjsvik na przyjęcie. Mogłabym pojechać, gdyby nie...

Zrobiła sztuczną pauzę.

Jego „Tak?” padło zbyt późno. Niedobrze!

- Gdyby nie to, że będzie tam również jeden z moich dawnych wielbicieli.

Christoffer pozostawał wręcz nieprzyzwoicie niewzruszony.

- No i co z tego? Przecież możesz po prostu powiedzieć, że za kilka miesięcy wychodzisz za mąż.

- Myślisz, że jemu to wystarczy? Kochał się we mnie do szaleństwa.

- Wobec tego zostań w domu.

- To dość kłopotliwe. Gospodarze mogą się obrazić.

- Czy chcesz, żebym z tobą pojechał?

Cóż za głupstwa on wygaduje! Odpowiada całkiem nie tak, jak się spodziewała!

- Nie, przecież ty nie możesz wziąć teraz wolnego! - wykrzyknęła przerażona, bo, rzecz jasna, całe zaproszenie do Gjovik było przez nią wymyślone. Podjęła niby to niechętnie: -

Dobrze, pojedę więc. Ale to wcale nie będzie zabawne. Wiesz, on był bardzo przystojny...

Namiętny wielbiciel również nie istniał, ale uznała, że Christofferowi dobrze zrobi chwila tortur.

Uścisnął ją.

- Jedź, kochana! Ale sprawuj się dobrze, nie zaglądaj zbyt głęboko w oczy przystojnym kawalerom!

Czy w tym człowieku nie było ani odrobiny namiętności? Spodziewała się, że wpadnie we wściekłość, że za nic na świecie nie będzie chciał jej puścić. Co ona ma teraz zrobić?

Wyjechać do Gjovik? Przecież w tej dziurze nie ma żadnych atrakcji!

- Wiesz, że jesteś dla mnie wszystkim, Christofferze.

- A ty dla mnie.

- Będę dla ciebie najlepszą żoną, jaką tylko możesz sobie wyobrazić...

Obrzuciła go aksamitnym spojrzeniem. Delikatnie pieszcząc jego szyję, wsunęła rękę pod fartuch lekarski.

- Christofferze, moi rodzice w sobotę wyjeżdżają. Przyjdiesz?

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć, od jej bliskości i delikatnych eleganckich perfum zakręciło mu się w głowie.

- Moglibyśmy... tylko spróbować... jak to będzie, kiedy już... będziemy małżeństwem - szepnęła.

Ogarnęła go słodka tęsknota.

- Przyjdę - uśmiechnął się.

Odsunęła rękę.

- To świetnie. Nie będę cię już dłużej zatrzymywać.

- Skłoniła się przed nim głęboko. - Wasza uniżona pokorna, wierna i wszystkowiedząca służebnica.

Christoffer roześmiał się. Lise - Merete była czarująca, kiedy żartowała w ten sposób.

Rozradowany, odczuwając ulgę, wyszedł z pokoju wizyt. Wspaniale, Lise - Merete nareszcie zobaczyła, że ma powodów do zazdrości. Teraz wszystko między nimi ułoży się jak najlepiej.

Minął pawilon, w którym leżała Marit, i nagły smutek rozdarł mu duszę. Nigdy nie będzie jej dane przeżyć takiego szczęścia jak moje, pomyślał i poczuł wyrzuty sumienia, a raczej potrzebę, by podarować jej choć odrobinę swojej radości. W zamian gotów był przyjąć trochę jej szarych chwil.

Ale na wszystko było już za późno. Z pawilonu wychodził właśnie pastor, zasmucony i przybity. Zakończył ostatnią posługę Marit z Grodziska.

Christoffer na moment przymknął oczy. Nie miał sił, by oglądać jej martwe ciało, nie miał sił na rozpacz nad jej zmarnowanym życiem.

Bezradnie rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu Lise - Merete, chcąc zaczerpnąć od niej nieco radości, ale niestety opuściła już teren szpitala.

Zanim Benedikte zajęła się Sanderem Brinkiem, zajrzała do pokoju Bernta Gustavsena. Jak mogła dopuścić, by taki drań psuł jej humor! Przyjechała właśnie po to, by go uzdrowić i tym samym uratować dobre imię szpitala.

Czy Bernt wart był całego zamieszania, powstałego wokół jego osoby, to zupełnie inna sprawa.

Kiedy weszła do pokoju Bernta, okazało się, że siedzi przy nim jego matka, i wywiązała się między nimi wszystkimi długotrwała dyskusja. Benedikte chciała wyjść, co w pełni popierała matka, Bernt natomiast nalegał na wykorzystanie swego prawa do niekonwencjonalnego zabiegu. Po poprzedniej wizycie Benedikte znacznie mu się polepszyło.

Mój ty Boże, pomyślała Benedikte, jeśli Christoffer naprawdę ma wejść w tę rodzinę, to serdecznie mu współczuję. Ale dziewczyna jest z pewnością o wiele miłsza, musi tak być, skoro ją wybrał. W końcu nie poślubia rodziny swej wybranki!

W końcu matka ustąpiła, ale nie przestawała zwracać im uwagi i wypowiadać obraźliwych komentarzy. Wreszcie Benedikte poprosiła panią Gustavsen, by wyszła, inaczej, zagroziła, ona sama opuści pokój.

A ponieważ Bernt domagał się przeprowadzenia zabiegu, matka musiała się wynieść.

Urażona do głębi postanowiła, że pomówi o tym z mężem, wszak ostatnie słowo jeszcze nie padło.

Kiedy odeszła, Bernt znacząco zachichotał do Benedikte, jak gdyby byli parą sprzysiężonych. Benedikte z największym trudem zdołała zmusić się do krzywego uśmiechu, nie chciała bowiem wszczynać kolejnej słownej potyczki.

Kiedy już zrobiła co mogła dla Bernta Gustavsena, przeszła pogrążonym w wieczornym mroku korytarzem do pokoju Sander.

Wieśniaka przeniesiono z powrotem do ogólnej sali, tak by Sander i Benedikte mogli porozmawiać w spokoju. Zrozumiała, że maczał w tym palce Christoffer.

Musiała kilkakrotnie głęboko odetchnąć, zanim podjęła rozmowę, a i tak głos wyraźnie jej drżał.

- Ciebie także powinienam próbować uleczyć. Czy możemy rozmawiać podczas zabiegu?

- Możemy przynajmniej spróbować.

Sander wyglądał bardzo źle. Na linii włosów pojawiły się owe paskudne wrzody, które widziała już u innych chorych, zaatakowane miał także dziąsła, tak opuchnięte, że prawie nie było widać zębów, oczy przekrwione i błyszczące od gorączki.

Ale bez wątplenia należał do najzdrowszych wśród chorych, a poza tym to był Sander.

Bohater jedynej historii miłosnej jej życia. Benedikte nie miała żadnych złudzeń, że spotka kiedyś jakiegoś innego mężczyznę, który się nią zainteresuje, ani też że ona kogoś pokocha, a przede wszystkim: nie miała żadnych, złudzeń co do Sandera.

- Przypuszczam, że nadal jesteś żonaty?

- Tak - odparł z taką goryczą w głosie, że musiała popatrzeć mu w oczy. Do tej pory koncentrowała się na jego ciele, starając się wypędzić z niego infekcję.

- Powinnaś była powiadomić mnie o chłopcu, o Andre - powiedział zgnębiony.

Przerwała zabieg i usiadła na stołeczku dla odwiedzających.

- Nie chciałam wdzierać się w szczęśliwe małżeństwo - odparła spokojnie. - A jeszcze mniej zmuszać cię do poślubienia mnie.

- Zmuszać? - zdumiał się Sander. - Zmuszać? Czy ty nie rozumiesz... No, cóż, przyznaję, że wina leżała po mojej stronie. Miałaś wtedy całkowitą rację, byłem bardzo niedojrzały. W

pewnym sensie nadal taki jestem. Ale miałem prawo wiedzieć o moim dziecku!

Benedikte pochyliła głowę.

- Tak, Sanderze. Właśnie ten problem dręczył mnie przez pierwsze lata. Pozbawiłam was obu możliwości poznania się. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak wielki sprawiało mi to ból.

- Wtedy jednak to ty zerwałaś.

- Owszem - powiedziała. - I tysiąc razy żałowałam. Ty przecież nie popełniłeś żadnego przestępstwa. Miałaś romans z Adele, ale zanim związałaś się ze mną. Ale ja tego wówczas nie rozumiałam. Sądziłam, że uwodziłeś nas obie równocześnie.

- Wiem, wiem, wyrzuty mogę czynić tylko sam sobie. I tej przeklętej Adele. Choć ona była zwyczajną głupią gąską, zapomnijmy o niej, nie możemy jej obwiniać. To ja postąpiłem jak idiota.

Benedikte przerwała zabieg, bezwiednie opuszczając ręce.

- Marco powiedział, że powinnam pozwolić ci odejść, bo jestem dojrzała od ciebie. Trudno mi w to uwierzyć.

- Marco miał przekłętą rację - wyrzucił z siebie Sander, krzywiąc się. - Daleko mi było do dorosłości. Gdybym wtedy dowiedział się o dziecku, najprawdopodobniej wpadłbym w panikę. Ewentualne małżeństwo między tobą a mną nie zdołałoby się utrzymać. Bo wiesz, nawet po ślubie nie przestawałem zerkać na każdą ładną dziewczynę, która stanęła mi na drodze.

Benedikte słuchała go jak zaczarowana. Nagle przypomniała sobie o swym zadaniu. Znow podniosła rękę i prowadziła je wzdłuż jego ciała, nie dotykając go przy tym.

- A teraz? - szepnęła bezdźwięcznie.

- Teraz piękne dziewczęta nie obchodzą mnie ani trochę. Jest ich na pęczki, a im są piękniejsze, tym trudniej jest je znieść. Te, które za darmo otrzymały piękny wygląd, na ogół

nie starają się nawet wyrobić w sobie innych zalet.

- Ale jesteś żonaty - stwierdziła. - Masz dzieci?

- Nie, nie mamy dzieci. Na szczęście! Benedikte, chcę zobaczyć mego syna!

Zawahała się.

- On jest tutaj, w szpitalu. Ale muszę go przygotować.

- Czy on musi wiedzieć, kim jestem?

Popatrzyła na niego w zamyśleniu, Sander zrozumiał jej spojrzenie.

- Wybacz! Najwyraźniej jestem jeszcze bardziej niedojrzały, niż mi się wydaje - mruknął. -

Poza tym... nie chcę, by się narażał na chorobę. Benedikte... przez te lata wiele myślałem o tobie, to nie jest żadne łgarstwo. Czy wiesz, że... Nie, nie mam prawa tego mówić.

- Chciałabym to usłyszeć - powiedziała cicho.

Westchnął. Był zirytowany swoim własnym zachowaniem, tyle Benedikte rozumiała.

- Zawsze uważałem cię za dziewczynę, z którą kiedykolwiek byłem najmocniej związany.

Och, jak ja mówię, mój nauczyciel zakreśliłby to zdanie na czerwono!

Zaśmiał się nerwowo. Benedikte rozumiała, że podobnie jak na niej ich ponowne spotkanie wywarło wielkie wrażenie także na nim.

Pozbierał się i ciągnął:

86

- Jak już ci mówiłem, potrzebowałem tych lat, aby dorosnąć.

Benedikte czekała w milczeniu.

Sander zamyślony wpatrywał się w sufit.

- Wiesz, prosiłem już kiedyś żonę o rozwód. Wtedy nie chciała się zgodzić, a ja nie nalegałem. Nie chcę powiedzieć, że teraz w ciągu paru dni się rozwiodę i ożenię z tobą, i koniec bajki, żyli długo i szczęśliwie aż do kresu swoich dni. Nie, życie nie jest takie proste.

Ale chcę rozwiązać małżeństwo, które nic dla mnie nie znaczy. W stu procentach jestem przekonany, że właśnie tego chcę. Potem możemy zacząć rozmawiać i zobaczymy, co będzie.

- To brzmi bardzo rozsądnie, Sanderze.

Popatrzył na nią.

- Oczywiście jeśli w ogóle będziesz chciała mnie jeszcze widzieć. Na pewno nie myślisz o mnie dobrze.

- W moim życiu nigdy nie było innego mężczyzny - rzekła powoli. - Ale to nie powinno mieć żadnego wpływu na twoją decyzję.

Nie odpowiedział na to, myślał już o czymś innym.

- Ale muszę zobaczyć mego syna, muszę!

- To zrozumiałe. I ja bardzo chciałabym ci go pokazać. On jest taki wspaniały, Sanderze! Taki do ciebie podobny.

- Czy wobec tego naprawdę jest wspaniały? - roześmiał się sztucznie. Ujął Benedikte za rękę. - Kiedy mogę się z nim spotkać?

Zastanowiła się.

- Dziś wieczorem jest już za późno, zapadł już zmrok, a poza tym Andre jest zmęczony i nie powinien stykać się z tą chorobą. Ale jutro rano... Wrócę tutaj. Jak myślisz, będziesz miał

siłę, żeby wstać z łóżka?

- Już czuję się znacznie lepiej.

- W każdym razie nie mówisz jak ciężko chory

- uśmiechnęła się. - Przyjdę więc pod okno dokładnie o dziesiątej. Andre nie będzie wiedział, że tu jesteś i go obserwujesz, postaram się czymś go zająć tuż pod twoim oknem. Czy tak będzie dobrze?

87

- Fantastycznie! Ale chciałbym także...

Benedikte dłonią zakryła mu usta.

- Z osobistą prezentacją jeszcze się wstrzymamy. Andre wiele razy pytał o swego ojca.

Chciałabym, aby był przygotowany na to spotkanie. Naprawdę przygotowany.

- Oczywiście, rozumiem. Wydaje mi się, że jesteś rozsądną matką.

- Staram się. Musisz wiedzieć, że jemu nie zawsze było łatwo. Nie, wcale nie chcę cię oskarżać, skąd mogłeś wiedzieć.

Sander trzymał jej rękę w swych rozpalonych gorączką dłoniach. Patrzył na nią ze smutkiem.

- Wiesz, Benedikte... Spotkanie z tobą wydaje mi się takie dziwne. Jakbym był statkiem, który pomimo porwanych na strzępki żagli zawinął bezpiecznie do portu. To porównanie może wydać się śmieszne, ale tak właśnie czuję. A ty?

- Muszę się zastanowić... Tak, po pierwszym wstrząsie mogę się wreszcie odważyć na nieśmiały uśmiech. Ciągle jeszcze nie śmiem w nic wierzyć ani mieć nadziei ale spotkanie z tobą wzburzyło mnie bardziej niż się tego spodziewałam. Muszę się do tego przyznać, bo chciałabym, abyśmy byli wobec siebie szczerzy.

- Oczywiście - kiwnął głową. - To teraz ważniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Dotyczy przyszłości wielu ludzi, twojej i mojej, chłopca i mojej żony... Mów dalej!

- Tak - uśmiechnęła się leciutko. - Dopiero teraz rozumiem, jak mocno mimo wszystko jestem z tobą związana. To chyba dość szczere wyznanie?

- Wspaniale - orzekł Sander. - Wiemy więc, na czym stoimy. Teraz chodzi o to, by delikatnie posuwać się naprzód, ostrożnie czynić kolejne kroki.

Benedikte uśmiechnęła się, tym razem szeroko.

- Ależ, Sanderze, ty naprawdę dorosłeś!

Z nową energią, czując przepelniającą jej serce radość, ponowiła próby przywrócenia go do zdrowia.

88

ROZDZIAŁ VIII

Ulokowali się w malutkim mieszkanku Christoffera. Andre i Benedikte rozgościli się w sypialni, Christoffer miał spać na kanapie w saloniku. Benedikte nalegała, aby było odwrotnie, nie mogą przecież wyrzucać go z własnego łóżka, ale postawił na swoim.

Benedikte była zbyt zmęczona, by przeciągać dyskusję.

Skończyli już jeść kolację, Andre spał.

- I jak, Benedikte, udało ci się znaleźć źródło infekcji?

- Źródło? - powtórzyła zmieszana. - Całkiem o tym zapomniałam.

Tyle innych spraw zaprzętało jej głowę, Christoffer świetnie to rozumiał.

- Zbadam to jutro - obiecała z poczuciem winy.

- Muszę też powtórzyć zabiegi u „moich pacjentów”. Ta odrobina energii, którą udało mi się dzisiaj w nich przelać, nie wystarczy. Przyrzekam, że nie będzie to kolidowało z obchodem.

Christoffer zapytał:

- Czy opowiesz mi o tym młodym naukowcu? Kiedy i gdzie go spotkałaś?

Benedikte zrelacjonowała mu całą historię o Fergeoset.

- Ach, a więc to było tam - zdziwił się Christoffer i dalej słuchał.

Benedikte akurat skończyła opowiadać, kiedy do drzwi rozległo się pukanie i do środka weszła Lise - Merete.

- Wyszłaś z domu tak późno?

- Tak. Chyba nie przeszkadzam? - spytała lekko.

- Nie, oczywiście, że nie! Benedikte, to moja narzeczona, Lise - Merete Gustavsen. A to moja starsza siostra Benedikte.

Oj, Christoffer popełnił gafę wobec swej przyszłej małżonki, pomyślała Benedikte. Mnie powinien przedstawić jako pierwszą, bo według etykiety należy zaczynać od tego, kogo uważa się za niższego rangą. Ale na dworach Ludzi Lodu nigdy szczególnie tego nie przestrzegaliśmy.

Ciekawe, czy Lise - Merete dostrzegła tę niezręczność? Chyba nie, sprawia wrażenie bardzo życzliwej.

Naprawdę ładna z niej dziewczyna! Ma wyjątkowo piękną cerę, jak złotobrzowa kość słoniowa, jeśli w ogóle coś podobnego istnieje. I taka stylowa suknia, ach!

Benedikte nie znosiła przestawać z drobnymi ślicznymi dziewczętami, kiedy musiała patrzeć na nie z góry, zawadzając przy tym wzrokiem o własne ciało i jeszcze mocniej uświadamiając sobie, jak niezgrabna jest jej własna sylwetka.

- Ależ tu u was ciasno! - wykrzyknęła Lise - Merete. - Kto będzie spał na kanapie? Aha, ty, Christofferze. Ale czy nie lepiej, by twoja kuzynka zamieszkała u mnie? U nas dość jest miejsca.

- Bardzo dziękuję za życzliwość - powiedziała Benedikte. - Ale mój synek śpi w drugim pokoju i jeśli się obudzi sam, może się przestraszyć.

Była to spora przesada, Andre miał już wszak dziewięć lat i z natury wcale nie był strachliwy.

Lise - Merete zdążyła dość prędko stwierdzić, że Benedikte jest dokładnie tak niegroźna, jak ją z początku oceniła, i po chwili rozmowy na ogólne tematy opuściła ich.

Benedikte, pomagając Christofferowi sprzątnąć ze stołu, powiedziała:

- Wiesz, zaglądałam do tej dziewczyny, o której mi opowiadałeś, do Marit z Grodziska.

- Do Marit? - natychmiast zainteresował się Christoffer. - Ona jeszcze żyła?

- Płomyk życia ledwie się w niej tlił, ale i dla niej zrobiłam, co mogłam.

- Naprawdę? To bardzo miło z twojej strony, Benedikte, jestem wzruszony!

- Nie sądzę, aby to mogło pomóc - stwierdziła Benedikte, wsuwając cukiernicę i dzbanuszek ze śmietanką do wąskiej szafki. - Wątpię, bym do niej dotarła, ale zobaczymy. Podobała mi się, wyglądała na sympatyczną, miłą i dobrą. Na twarzy wypisaną miała łagodność, choć oczywiście pogrążona była w śpiączce.

- Tak, ja także bardzo ją polubiłem, wydała mi się tak wspaniałym człowiekiem, jakich mało. I taka samotna. Trudno sobie wyobrazić tę głęboką samotność, jaka ją otaczała. Bardzo się cieszę, że zdążyłaś do niej zajrzeć i przynajmniej spróbowałaś jej pomóc. Bardzo ci dziękuję! A przy okazji, co myślisz o Lise - Merete?

Benedikte wahała się z odpowiedzią, zastanawiała się, jak powinna się wyrazić.

- No, jest rzeczywiście fascynująco ładna... - rzekła powoli. - I mówiła tak życzliwie. Na pewno inteligentna, choć raczej chyba po prostu wykształcona. Kiedy macie zamiar się pobrać?

Christoffer uśmiechnął się do siebie, zgarniając ze stołu okruszki.

- Lise - Merete chce najpierw zgromadzić odpowiednią wyprawę, musimy też poczekać, aż jej brat wyzdrowieje. Poza tym chciałyby brać ślub późną wiosną, bo wtedy kwiaty są najpiękniejsze. Sama więc widzisz, że to nastąpi dopiero za kilka miesięcy.

Pomyślał o tym, co mu obiecała: że spędzą sobotni wieczór sami w domu jej rodziców, i czuł, że ciało staje mu w płomieniach.

- Chyba pójdę się już położyć - podjęła decyzję Benedikte. - To był długi, męczący dzień, a jutro też czeka nas praca.

- To prawda - przytaknął jej Christoffer.

Benedikte rozmarzyła się. Jutro pokażę Sanderowi naszego ślicznego synka, pomyślała.

Ach, cudowna chwilo, tak bardzo się cieszę! Niestety, nie będę świadkiem pierwszej reakcji Sander'a, a miło byłoby ją przeżyć. Bo wiem, że nie ja jedna uważam Andre za zupełnie wyjątkowe dziecko.

Wreszcie powiedzieli sobie dobranoc i Benedikte wsunęła się do wąskiego łóżka, które miała dzielić z Andre. Zawsze nienawidziła ciasnych łóżek, należała do ludzi, którzy lubią spać wygodnie. Uwielbiała wyciągnąć się tak, jak jej na to przyjdzie ochota, a nie balansować na krawędzi, skulona pod kołdrą, która starcza tylko dla jednej osoby, na łaskawie użyczonym rogu poduszki.

Była jednak dostatecznie zmęczona, by zasnąć dość szybko pomimo emocji związanych ze spotkaniem z Sanderem.

Christoffer obudził się w środku nocy. Drżąc usiadł na niewygodnej kanapie.

- Nie! - jęknął.

Potem siedział już cicho, nie mogąc zapanować nad rozbieganymi myślami.

Marit z Grodziska...?

A jeśli... jeśli Benedikte udało się przywrócić ją do życia?

Nic chyba nie mogło bardziej ucieszyć Christoffera, tak głębokim zalem nappełniała go myśl o jej nieuchronnej śmierci. Ale jeśli ona nadal żyła?

O Boże w niebiosach, przecież przyrzekł jej małżeństwo! Powiedział, że ją kocha.

Tak. Dlatego, że miał absolutną pewność, że ona umrze. Ale jeśli tak się nie stanie?

Och, Benedikte, coś ty zrobiła!

Z całego serca pragnął, aby Marit z Grodziska przeżyła, by zaznała szczęścia. Ale on...

Och, Boże, nie!

I to teraz, kiedy między nim a Lise - Merete tak dobrze się układało! Owszem, przeżyli okres burzy, temu nie zaprzeczał, ale teraz wszystko się załagodziło. Lise - Merete przyznała się do swej skłonności do zazdrości i obiecała poprawę, pragnęła spotkać się z nim w sobotę, trwały przygotowania do ślubu. Zaczęła już nawet zapraszać przyjaciół, wybrała drużny.

Sprawy przybrały fantastyczny obrót, nie mogło być lepiej.

Ale jeśli Marit z Grodziska przeżyje...?

Co mogła słyszeć? Ile pojęła z jego oświadczeń na niby? Co pamiętała?

Znajdowała się wtedy w stanie śpiączki, na tyle jednak płytkiej, by przekazywać mu sygnały ruchem palców. Wówczas zrozumiała jego intencje, jego wyznanie miłości. Ale teraz?

Ile mogła pamiętać?

No cóż, najprawdopodobniej i tak nie przeżyje.

Sam sobie przeczył. Tak bardzo przecież pragnął, by nie rozstawała się z życiem.

Z nadzieją na wspólną przyszłość razem z nim?

Ach, Boże!

Christoffer źle spał tej nocy i trudno o to winić niewygodną sofę.

Zwykle się nie modlił. Tym razem jednak było inaczej:

- Dobry Boże! Po raz drugi zwracam się do Ciebie w związku z Marit z Grodziska. Pozwól jej żyć, proszę Cię o to gorąco i szczerze. Ale - tak, stawiam warunki, choć to chyba nie jest dozwolone, ale mimo wszystko to robię - spraw, by zapomniała o tym, co jej mówiłem, kiedy leżała nieprzytomna! Między mną a Lise - Merete układa się teraz tak dobrze, obiecała, że postara się zapanować nad swoją chęcią rządzenia... to znaczy, chciałem oczywiście powiedzieć, nad swoją zazdrością, jeśli więc Marit oprzytomnieje i będzie pamiętać moją obietnicę, nastąpi katastrofa!

Z poczuciem, że była to jedna z najbardziej zdumiewających modlitw, jakie kiedykolwiek usłyszał Bóg, Christoffer położył się i próbował zasnąć.

Benedikte wstała tak wcześnie jak Christoffer. Zostawiła Andre w dyżurce u pielęgniarek, tam bowiem zawsze któraś z nich się kręciła, a poza tym wszystkie były zachwycone chłopcem. Wraz z Christofferem poszła do swoich pacjentów.

Stan Bernta Gustavsena zdecydowanie się poprawił, Christofferowi więc kamień spadł z serca. Ropiejące wrzody, rzecz jasna, nie zniknęły w ciągu jednej nocy, ale gorączka wyraźnie spadła.

Podobnie przedstawiała się sytuacja z innymi chorymi. Wszyscy z ulgą przyjęli poprawę samopoczucia i nie mogli się już doczekać, kiedy wreszcie wrócą do domu. Dość już mieli szpitala, a wielu z nich musiało spędzić tu dodatkowe dni z powodu infekcji.

Wieśniak także odzyskał swój dawny świetny humor i ani trochę się nie przejmował, że z twarzą naznaczoną pryszczami wygląda jak gołowąs w wieku dojrzewania. A Sander...

Benedikte z pewnym niepokojem w sercu zbliżyła się do jego łóżka, ale rozjaśnił się na jej widok i pytał, czy pamięta o obietnicy.

- O Andre? Oczywiście, punktualnie o dziesiątej staniemy pod oknem. Jeśli, oczywiście, zdołasz wstać z łóżka.

- Nic nie może mnie powstrzymać! Co chwila będę pytał siostry, która jest godzina.

- Mogę pożyczyć ci zegarek - uśmiechnął się Christoffer i wyjął zegarek z kieszonki.

Sander gorąco mu podziękował i szybko poszli dalej, zanim zdołał wciągnąć Benedikte w rozmowę.

Kiedy dotarli do pawilonu Marit, chwilę stali przed wejściem, bo Christoffer musiał się opanować.

Nigdy jeszcze jego serce nie było tak rozdarte!

Spiesząc gdzieś minęła ich pielęgniarka.

- Co z Marit z Grodziska? - Christoffer wykorzystał sposobność, by zapytać siostrę. - Czy ona jeszcze żyje?

Pielęgniarka przystanęła.

- Czy żyje? Tak! To chyba cud, ale wygląda na to, że dojdzie do siebie. Oczywiście nie od razu, ale uważamy, że lepiej dzisiaj oddycha.

Christoffer przymknął oczy i z wysiłkiem przełknął ślinę. Ulga, jaką odczuł, była ogromna, ale przemieszana z niegodnym niepokojem.

- Co się stało, Christofferze? - dopytywała się Benedikte.

Oparł się o ścianę.

- Zastanawiam się, czy nie palnąłem głupstwa stulecia - odparł słabym głosem. - Zrozum, chciałem podarować jej piękny koniec tak żałosnego życia i powiedziałem, że... ją lubię. I...

- Powiedziałeś też, że ją kochasz - Benedikte czytała w jego myślach. - Co więcej?

- A potem... poprosiłem, by zgodziła się mnie poślubić. Ona była umierająca, półprzytomna, ale z oczu spływały jej łzy. Ze szczęścia. Wiem, że się we mnie zadurzyła, dlatego chciałem sprawić jej radość mówiąc, że odwzajemniam jej uczucie.

- Powinieneś był mi to powiedzieć.

- Nie, och, nie! - zaprotestował gwałtownie. - Chcę, by ona żyła. Bardziej niż czego innego pragnę, by doznała w swym biednym życiu czegoś pięknego. Ale... ale, dobry Boże, co zrobię, jeśli okaże się, że ona to wszystko pamięta? Nagle faktem się stanie, że oświadczyłem się dwóm kobietom jednocześnie! To przecież niemożliwe!

- Czy tak trudno dokonać wyboru?

- Och, oczywiście, że nie, ale nie chciałbym tak śmiertelnie zranić Marit.

Benedikte popatrzyła na niego jakoś niepokojąco dziwnie.

- Niezupełnie o to mi chodziło. Ale naturalnie musisz iść za głosem serca, inaczej być nie może.

Chciała ruszyć dalej, ale złapał ją za ramię i obrócił w swoją stronę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie uważasz chyba, że ja... Chyba oszalałaś?

- Wybór należy do ciebie, Christofferze, nie mam żadnego prawa mieszać się w twoje sprawy - odpowiedziała jakby trochę znużona.

- Nie, powiedz mi, co myślisz!

Benedikte westchnęła ciężko.

- Na twoim miejscu nie wahałabym się ani chwili.

- To znaczy, że dokonałabyś innego wyboru?

- Christofferze - powiedziała zrezygnowana. - Wiem, że nie kochasz Marit z Grodziska, ale...

mogę ci tylko powiedzieć, że cieszę się, że twój ślub ma się odbyć w dość dalekiej przyszłości. I nie dręcz mnie już więcej, sam musisz uporządkować swoje romanse. Chodź, wejdźmy do Marit, dziś zajmę się nią jako pierwszą.

94

Nie, nie pozwól jej, szeptał mu do ucha jakiś głos, ale Christoffer natychmiast go zagłuszył.

To niegodne!

Nie był tchórzem. Będzie musiał uładzić swoje sprawy na tyle, na ile go na to stać. Jeśli ona rzeczywiście wyzdrowieje, nadal przecież jej życie zwisa na włosku.

Ale Marit całkiem wyraźnie miała się lepiej. Wyglądało na to, że śpi, ale widać było, że oddycha spokojnie i głęboko. Kolory na twarzy miała już normalniejsze, zniknęły gorączkowe wypieki na tle śmiertelnie bladej skóry, co nadawało jej wygląd dość straszny. Ktoś zadbał o jej włosy, a pościel na łóżku została dopiero co zmieniona. Christoffer z wdzięcznością pomyślał o troskliwych pielęgniarkach.

A może po prostu przygotowały ją na śmierć? Ale nie to niemożliwe.

Na stoliku przy łóżku nadal stało kilka przedmiotów po wczorajszej wizycie pastora.

Najwidoczniej pośpiech z ostatnim namaszczeniem był zbędny, pomyślał w przelocie Christoffer.

- Marit? - ostrożnie zapytała Benedikte.

Chora nie odpowiedziała.

- Przeprowadzę teraz zabieg - szepnęła Benedikte do Christoffera. - Wiem, że nie należy porównywać wartości życia poszczególnych ludzi, ale uważam, że ona jest najważniejsza ze wszystkich, z którymi mam do czynienia.

Mógł tylko skinąć głową. Zrezygnowany i zawstydzony, wyszedł.

Zatrzasnąwszy drzwi za sobą, oparł się o nie plecami. Przymknął oczy.

- Chcę, żeby ona przeżyła - szepnął. - Przeżyła i... zapomniała. Niech zapomni o wszystkim, o czym jej mówiłem. Ledwie była świadoma, nie może tego pamiętać.

A jeśli pamięta, to, Boże, dopomóż mi, a przede wszystkim pomóż jej!

Kolejnego ciosu od życia na pewno by nie zniosła... Choć może by i wytrzymała, bo Marit z Grodziska przyzwyczajona była do ciosów. Ale nie mógł pogodzić się z myślą, że to on miałby ją zawieść, sprawić jej taki ból.

Dobry Boże, spraw więc, by zapomniała o wszystkim! A w najgorszym razie niech potraktuje to jak sen, była przecież prawie nieprzytomna, prawda?

Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by Christoffer, taki życzliwy dla innych i wielkoduszny, do tego stopnia nie mógł sobie ze sobą poradzić.

Benedikte śpieszyła się jak mogła, by uporać się z zabiegami u wszystkich swych szczególnych pacjentów przed obchodem lekarskim. Zorientowała się, że plotka o jej obecności rozniosła się już po całym szpitalu, pacjenci bowiem poszeptywali między sobą, obserwując ją ukradkiem.

Nie chciała jednak wystawiać się na badawcze spojrzenia lekarzy. Stan lekarski w Norwegii miał swą własną etykę, która zabraniała wszelkich związków z tym, co nie było szkolną medycyną.

Gdy dochodziła dziesiąta, zabrała Andre z dyżurki pielęgniarek.

Christoffer miał akurat wolną chwilę i wyszedł wraz z nimi na dziedziniec. Andre, rzecz jasna, nie wiedział nic o ich planach.

- Jak się twoim zdaniem miewa Sander Brink? - spytał Christoffer.

Benedikte się zapłoniła.

- Nie... nie byłam u niego od czasu, kiedy odwiedziliśmy go rano. Chciałam zostawić go sobie na później. Po tym, jak zobaczy... Chciałabym dowiedzieć się, co myśli... Miałabym powód, by u niego przebywać wtedy, kiedy będzie mógł wypowiedzieć swą ocenę.

- Chyba się jej nie boisz? - uśmiechnął się Christoffer, spoglądając na Andre.

- Nie - roześmiała się. - Ale zawsze ciekawie jest usłyszeć.

- Wiem o tym. Pochwałom można przysłuchiwać się prawie w nieskończoność. Są dla ludzi jak eliksir życia. A jak się miewa Vanja? Dawno już nie byłem w domu, a z jej listów nawet między wierszami niewiele da się wyczytać.

- Hm, Vanja - Benedikte westchnęła. - Właściwie nie wiem, co mam ci odpowiedzieć. Zrobiła się taka dziwna. Taka zamyślona i tajemnicza. Czasami wydaje się przerażona i jednocześnie podniecona, nie mogę tego zrozumieć.

- Spróbuj się czegoś dowiedzieć, bardzo cię proszę. Wszyscy troje zawsze trzymaliśmy się blisko, czuję się odpowiedzialny za naszą najmłodszą „siostrzyczkę”. Oczywiście Vanja jest teraz w trudnym wieku, ma dopiero siedemnaście lat, niełatwo zapanować jej nad emocjami.

- Tak, to jasne - przyznała mu rację Benedikte. - Zobaczą, czy uda mi się coś z niej wyciągnąć, ale to raczej sprawa beznadziejna.

- Rozumiem. A czy mieliście jakieś wiadomości od Marca?

- Nie. Od czasu gdy uratował mnie i Sandera w Fergeoset, nie dawał znaku życia. A od tamtej pory minęło już przecież dziesięć lat.

96

- To dziwne - mruknął Christoffer. - Gdzie on się podziewa?

- Kto to jest Marco? - zainteresował się Andre.

- Jeden z naszych krewnych - odparła Benedikte. - Najpiękniejszy człowiek na ziemi. Nigdy go nie

widziałeś.

Andre dopytywał się w napięciu:

- Czy on ma czarne włosy? Długie, o takie, dotąd? Kręcone? Bardzo białe zęby? I jest taki piękny, że kiedy się na niego patrzy, to aż boli?

Benedikte i Christoffer znieruchomieli. Zdumieni wpatrywali się w chłopczyka.

- Czyś ty spotkał Marca?

- Nie wiem - odparł Andre zmieszany. - Nie pozwolił mi mówić...

- Naprawdę umiesz trzymać język za zębami. - Młec zaimponował Benedikte. Dalej ona zadawała pytania, Christoffer bowiem nie widział Marca od czasów dzieciństwa. - Jakiego koloru miał oczy?

Mały Andre zastanowił się.

- Czy mogę o tym mówić?

- Jestem przekonana, że tak. Doskonale potrafiłeś dochować tajemnicy, ale teraz ważne jest, byśmy ustalili, czy mówimy o tej samej osobie. Pamiętasz kolor oczu?

- Miał oczy... Rzęsy bardzo, bardzo czarne. A oczy... Szare. Bardzo szare. A jego skóra...

taka...

Nie potrafił dobrać odpowiednich słów.

- Ciemna, ale jakby mieniąca się w zależności od oświetlenia? - podpowiedziała Benedikte.

- Tak, właśnie taka jak mówisz.

I ona, i Christoffer skinęli głowami. Nie było żadnych wątpliwości.

- Gdzie go spotkałeś? - zainteresował się Christoffer. - Tutaj?

- Nie, w drodze ze... Nie wolno mi o tym mówić.

- Czy to nie on pomógł ci w awanturach ze starszymi dziećmi? - łagodnie spytała Benedikte.

- Od tej pory masz kolegów i znów jesteś wesoły.

97

Andre najwyraźniej znalazł się w potrzasku. Kiwnął głową, mając nadzieję, że w ten sposób nie zdradza tajemnicy.

Dorośli wyprostowali się i odetchnęli z ulgą.

- To cudowne uczucie - powiedziała Benedikte - wiedzieć, że on się nami opiekuje.

- Tak, ale kim naprawdę jest Marco?

- Myślę, że nie powinniśmy pytać zbyt wiele. Mamy na to tylko słowa Sagi...

Andre był kompletnie zdezorientowany.

- Powiedzieliście, że to nasz krewny?

- Tak jest w istocie. To wuj Vanji, ale ona go nigdy nie widziała.

- Za to ja go spotkałem - rzekł Andre z dumą.

- Nie mam czasu, by odprowadzać was dalej - stwierdził Christoffer, przystając. - Wezwał

mnie ordynator, bo pragnie się dowiedzieć, w jaki sposób zdołaliśmy sobie poradzić z infekcją bez odnajdywania źródła.

- Ach, źródło! - wykrzyknęła Benedikte, łapiąc się za głowę. - Znow o tym zapomniałam.

Zajmę się tym, jak tylko będę miała czas.

- To świetnie.

Christoffer rozstał się z nimi i chwilę później Benedikte i Andre stali już pod oknem Sandera.

- Dlaczego się tu zatrzymujemy, mammo?

- Dlaczego się... Chciałam się tylko przyjrzeć temu drzewu. Ciekawe, co to za drzewo.

Wiesz?

- Przecież wygląda jak najzwyklejsza brzoza - naiwnie odparł Andie.

- Pewnie masz rację, ale wydała mi się jakaś niezwykła. Spójrz tylko na korę...

Mój Boże, jakże idiotycznie się czuła! Nie śmiała podnieść wzroku i popatrzeć w górę.

Sander Brink od kwadransa czekał w oknie. Zorientował się, że właściwie nie powinien wstawać z łóżka, szczególnie że tego dnia Benedikte nie przeprowadziła jeszcze zabiegu, ale musiał zobaczyć chłopca, nie mógł czekać, bał się, że przyjdą wcześniej i odejdą, zanim on zdąży się zwlec.

Jego syn...

Tej nocy nawet na chwilę nie zmrużył oka. Dlaczego ona nic mu nie powiedziała? Wiele spraw mogło ułożyć się inaczej. Dziesięć zmarnowanych lat...

Benedikte zawsze zajmowała w jego sercu szczególne miejsce. Wspomnieniom zwykle towarzyszyło poczucie goryczy, gdyż wtedy w Ferdeoset wszystko skończyło się tak źle. A on, w swej urażonej męskości, co zrobił? Gniewał się jak dziecko, którym w istocie wówczas był. Poczł się do żywego dotknięty jej reakcją. Byli przecież najlepszymi przyjaciółmi na świecie! Jakie znaczenie miał niewinny romans z inną?

Tak myślał wtedy, a potem odszedł i ożenił się zbyt szybko. Nie traktował tego jako zemstę w stosunku do Benedikte, ją wymazał z pamięci, a w każdym razie próbował, lecz postanowił mieć na własność najpiękniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widział.

No cóż, jak powiedział Benedikte: nie był wtedy dostatecznie dojrzały, by ją poślubić, zdradziłby ją przy pierwszej okazji.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Wiele się nauczył. A jego sympatia dla niezgrabnej, nieszczęśliwej dziewczyny wcale nie wygasła.

Gotów był podjąć próbę związania zerwanej nici, która kiedyś ich łączyła. Może się uda.

Może nie uda się ani trochę. Czas pokaże. Ale nie chciał tracić z nią kontaktu.

Jego małżeństwo? Nic a nic go nie obchodziło. Szczęśliwi byli zaledwie przez pierwsze miesiące. Teraz postanowił już z tym skończyć bez względu na to, czy między nim a Benedikte coś się wydarzy, czy nie..

Nadchodzili! Sander wychylił się mocniej, by lepiej widzieć.

Pożegnali się z doktorem Voldenem. I podchodzą bliżej ! Zatrzymali się pod samym oknem.

Patrzą na drzewo.

Byli tak blisko, że gdyby otworzył okno i wyciągnął rękę, mógłby ich prawie dotknąć.

Sander nie mógł się napatrzeć. Jego syn! Jego własny syn! Nie miał nawet cienia wątpliwości, to było jego dziecko, nie można się było mylić. Jaki on ładny! Oczy, czoło, cały wyraz twarzy świadczył o inteligencji. I o czystości duszy, którą musiał odziedziczyć po Benedikte, bo tej cechy Sander nie rozpoznawał u siebie. I jaką ma śliczną cerę! O ile się nie mylił, ten sam kolor oczu co ojciec. A włosy ciemne jak u Benedikte, ale skręcone jak Sandera. I ta prześlicznie ukształtowana dłoń, dotykająca kory drzewa!

Spójrz w górę, chłopcze, popatrz na swego ojca! Och, Boże, maleńki, chyba już cię pokochałem!

Sander Brink nic więcej już nie widział. Z oczu nieprzerwanie płynęły mu łzy, wydobywające się z niewyczerpanego źródła.

ROZDZIAŁ IX

Zanim przyszła Benedikte, Sander zdążył już wrócić do łóżka. W dalszym ciągu leżał sam w izolatce, bo wieśniak na stałe pozostał na ogólnej sali. Sandera właściwie także można było już przenieść, ale Christoffer celowo, przede wszystkim ze względu na Benedikte, zostawił

go w osobnym pokoju.

Sander po oczach Benedikte poznał, że czeka na jego ocenę, lecz widział także, że się jej nie obawia.

- Benedikte - powiedział, wkładając w to słowo całe ciepło, i wyciągnął do niej rękę. - To fantastyczny chłopiec. I mój syn!

Rozpromieniła się z radości.

- Ale nie powinnaś była... - Znów musiał otrzeć oczy i zacząć od początku. - Tak, przyznaję, że uroniłem kilka łez. To takie gorzkie! Wszystkie te zmarnowane lata, które mogłem spędzić razem z moim synem!

- Wiem o tym - odparła spokojnie. - To była także moja największa troska, kiedy Andre dorastał. Nie mogłam dzielić z tobą wszystkich chwil radości, dumy z niego. Cóż jednak miałam robić? Było już za późno, odwróciłam się od ciebie, poślubiłam inną. Zapomnijmy o przeszłości, myślimy raczej o tym, co nas czeka.

- Dobrze. Gdzie on teraz jest?

- U pielęgniarek.

- Chciałbym go znów zobaczyć. Szybko, jak najprędzej. Jak sądzisz, czy długo jeszcze będę musiał tu leżeć?

- Nie potrafię ci na to odpowiedzieć - roześmiała się. - Ale wyraźnie wracasz do zdrowia. Jak tam rana na rękę?

- Nie wiem, ale już tak mocno w niej nie pulsuje.

Benedikte rozpoczęła zabieg, a Sander w tym czasie nie przestawał z zapalem mówić o tej szczęśliwej chwili w przyszłości, kiedy wreszcie będzie mógł porozmawiać z synem, powiedzieć mu, kim jest, i, jak to ujął: prawdziwie zająć się rodziną.

Wymienili spojrzenia. Oboje wiedzieli, że przed nimi jeszcze długa droga. Rozwód Sandera.

Dopasowanie się do siebie. Być może wcale się to nie powiedzie, runą zamki budowane na piasku. Żadne jednak tak naprawdę w to nie wierzyło. Znów odczuwali bliskość, poczucie więzi, tak jak w Fergeoset. Połączyła ich nadzieja na wspólną przyszłość, no i mieli przecież Andre, to

najważniejsze.

100

Benedikte zakończywszy zabieg u Sandera - trwał on zdecydowanie dłużej niż u wszystkich innych pacjentów razem wziętych - postanowiła zająć się odnalezieniem źródeł infekcji.

Było to trochę jak poszukiwanie igły w stogu siana, a Benedikte nie miała wcale pewności, czy jej niezwykle umiejętności pozwolą jej wytropić coś tak małego jak zarazek, nawet jeśli byłoby ich parę milionów.

Najpierw musiała porozmawiać z tymi, którzy do tej pory zajmowali się wykrywaniem przyczyny choroby, jak na razie bez powodzenia. Jak się okazało, był to pracownik laboratorium i jego asystentka, pielęgniarka. Przysiedli razem na krawędzi stołu w skromnym pomieszczeniu. Benedikte niełatwo przyszło wyjaśnienie, kim jest i czego od nich oczekuje, ale powołała się na Christoffera Voldena i wtedy przynajmniej jej wysłuchali.

Byli jednak nastawieni bardzo sceptycznie, nie chcieli mieć do czynienia z żadnymi szarlatańskimi sztuczkami. Benedikte postanowiła więc przekonać ich, demonstrując swoje umiejętności. Poprosiła laboranta o ołówek, który wystawał mu z kieszonki na piersi.

Podał go jej, a ona zważyła go w dłoni.

- Jesteś człowiekiem o trudnym charakterze - powiedziała, uważnie patrząc na niego. -

Długo potrafisz nosić w sobie urazę. Jesteś bardzo utalentowany, choć nie udało ci się zrealizować marzeń, a mianowicie zostać chirurgiem. Jesteś żonaty, ale nie bardzo szczęśliwy w małżeństwie. To twoja wina, bo upokorzenia, jak je nazywasz, przenosisz do domu i wylewasz złość przy obiedzie. Do twoich zalet zaliczyć trzeba miłość i troskę o...

dwoje... nie, troje dzieci.

Gdy Benedikte posunęła się tak daleko, laborant wyrwał jej ołówek z ręki. Jego oblicze przypominało gradową chmurę.

- Dziękuję, to wystarczy! Co chcesz wiedzieć? Sprawiasz wrażenie, że i tak wiesz już wszystko. -

- Chciałabym, abyście mi powiedzieli, jak daleko zaszliście w badaniach. Co mogę wykluczyć, by nie marnować czasu?

- Starannie przebadaliśmy kuchnię i tu nie ma na co narzekać. Wszystko przygotowywane jest czysto i porządnie, jedzenie jest zwyczajnym marnym jedzeniem szpitalnym, z ilością bakterii w normie.

- Co dalej?

- Oczywiście zbadaliśmy personel, sprawdzając, czy ktoś nie przenosi choroby. Wszyscy jednak dokładnie przestrzegają zasad higieny, nikt nie przechodzi z jednego pawilonu do drugiego, uprzednio

starannie się nie oczyściwszy.

Pielęgniarka wtrąciła nieśmiało:

101

- Dotarli do nas wieści o tym, co działałaś tu w szpitalu. Podobno rezultaty są zaskakujące.

Wszyscy zarażeni wracają do zdrowia.

- To może być również kwestią czasu - surowo orzekł laborant. - Prawdopodobnie i tak by wyzdrowieli.

- Oczywiście - odparła Benedikte łagodnym tonem, który można by określić jako jej znak szczególny. Ci, którzy sami są silni, mogą pozwolić sobie na okazanie pokory.

- Ale na pewno nie ta pacjentka z zapaleniem wyrostka - upierała się pielęgniarka. - Ona by sobie nie poradziła, jedną nogą była już na tamtym świecie. Jak ona się nazywa?

- Marit z Grodziska - odpowiedziała Benedikte.

- Tak, o nią właśnie mi chodzi. Słyszałam, jak ordynator mówił, że to niepojęte.

Laborant miał bardzo kwaśną minę, Benedikte pośpiesznie więc zapytała:

- Gdzie wybuchła infekcja?

- Pokażę ci - odpowiedziała jej pielęgniarka i razem opuścili laboratorium.

Po kolei wskazywała, jak rozchodziła się choroba, gdzie wystąpił pierwszy przypadek zachorowania, a gdzie następne, aż do chwili gdy nie dało się już prześledzić jej drogi.

Benedikte podziękowała za pomoc i samodzielnie zabrała się za rozwiązywanie zagadki.

Najdłużej przebywała u pacjenta, od którego zaczęła się epidemia. Poprosiła o pożyczenie jakiejś części garderoby, należącej do niego, i przez długą chwilę siedziała nieruchomo trzymając ją w dłoni; siła Benedikte tkwiła bowiem w umiejętności odczytywania informacji z przedmiotów. Później obeszła inne pawilony i po trzech godzinach od chwili opuszczenia laboratorium znów tam powróciła. Uznała, że laborant i jego asystentka mają prawo dowiedzieć się o wszystkim jako pierwsi.

- Nie ma już źródła infekcji - oświadczyła. - Stafilokoki przywleczone zostały do szpitala przez jedną z odwiedzających pierwszego chorego. Prawdopodobnie umiejscowione były w gardle i poprzez kaszel lub brudne ręce przeniosły się na chorego, osłabionego i bardziej podatnego na zakażenie. Następnie zaraza bardzo szybko rozniosła się przez personel, zanim zorientowano się, że to epidemia. Później zachowywano nienaganną czystość, ale wtedy było już za późno. Zawsze upływa trochę czasu, zanim ujawnią się pierwsze objawy ataku bakterii.

- Gdzie nauczyłaś się tego wszystkiego o bakteriach i szpitalu?

Benedikte uśmiechnęła się szeroko.

102

- Rozmawiałam dzisiaj z wieloma osobami, również z lekarzami. Wydaje się, że choć nie wychwalają mnie pod niebiosa, to, wprawdzie niechętnie, akceptują moje poczynania.

Prawdopodobnie dzięki memu krewniakowi Christofferowi Voldenowi. Tym razem jednak uporaliśmy się z zarazkami, dałam też znać, by wezwano kuzynkę pierwszego pacjenta na leczenie. Ona przecież nie powinna roznosić zarazków.

- Zdrowym nie wyrządzą żadnej szkody - mruknął laborant. - Ale chorym i osłabionym...

Rozstali się jako, powiedzmy sobie, przyjaciele, choć laborant z dużym wysiłkiem przywołał na twarz uśmiech. Nie był szczególnie zachwycony faktem, że Benedikte zdradziła przed asystentką istnienie jego trzeciego dziecka.

Marit z Grodziska miała wrażenie, że unosi się z dna głębokiej studni i nieskończenie powoli zbliża do światła.

Nie miała sił, by otworzyć oczy, lecz powracała do przytomności, myśli nabierały jasności.

Istniało coś, o czym przyjemnie było myśleć. Obudziła się w nastroju radosnym, życie wydawało się jej pełne nadziei, miała po co żyć.

Ciało wydawało się takie lekkie. Z początku nie mogła zrozumieć, dlaczego, ale wreszcie zorientowała się, że minął odwieczny ból. Co prawda kiedy się poruszyła, zakłuło ją w boku, w ranie po operacji, ale gorączka ustąpiła, i Marit czuła się... Jak to nazwać? Piękna?

Zadziwiający uczenie u kogoś, kto chory leży w łóżku! Ale Marit przez ostatnie miesiące czuła się taka zmęczona, zaniedbana, bez względu na to jak często się myła i zmieniała ubranie. Wiecznie dręczący ją ból, obawa o przyszłość, lęk przed samotnością... Widok cienkich jak zapałki ramion nie należał do przyjemnych.

Głód. Głód i zmęczenie.

Zmęczenie otulające ją niczym ciężka kołdra. Teraz także czuła się zmęczona, ale było to dobre zmęczenie. Odczuwała w sobie spokój, jakiego nie zaznała nigdy przedtem.

Co sprawiało jej taką przyjemność? Co dźwięczało w niej jak prześliczna, łagodna piosenka? Wspomnienie? Coś, co się zdarzyło? Coś, co miało się wydarzyć?

Tak, miała ujrzeć swego ubóstwianego doktora Voldena, oczywiście jeśli nadal przebywał w szpitalu...

Doktor Volden?

Serce Marit uderzyło mocniej. Christoffer! Pozwolił, by nazywała go Christofferem! I on...

103

Nie, nie mogła sobie tego przypomnieć, wspomnienie uciekło. Wszystko wydawało się tak niejasne, odległe jak sen, który przyśnił jej się dawno temu, sen, który czai się gdzieś w głowie, ale nie można go uchwycić.

Było to jednak coś bardzo, bardzo pięknego. Czyżby on coś powiedział?

Inne wrażenia pojawiały się i przemijały. Marit postanowiła przypomnieć sobie to jedno konkretne przeżycie.

Tym razem poszło jej lepiej.

Ktoś u niej był. Kobięcy głos wdzierał się w najgłębsze pokłady woli Marit. Monotonnie mówił o chęci życia, o przyszłości, o trosce o innych.

Troska o innych? Komu potrzebna była troska Marit z Grodziska? Nikomu!

A może?

Czy ktoś jej nie potrzebował? Czy to nie Christoffer powiedział...?

Wspomnienie znów uciekło.

Ogrzewające dłonie, świetnie je pamiętała. Należały do kobiety o zaklinającym głosie. Te dłonie dotykały Marit, trzymały jej ręce, czuła, jak płynie od nich fantastyczna siła. Moc niszcząca w ciele Marit wszystko co złe, opłukująca ją do czysta tak, jak letni deszcz zmywa kurz z kamieni i liści. Moc ta dała Marit cudowną nową wolę życia.

Ale nie tylko ona.

Było coś jeszcze, coś, co wiązało się z Christofferem Voldenem.

Och, gdyby tylko mogła sobie to przypomnieć! To jak poruszanie się w chmurach i we mgle, świadomość, że po drugiej stronie coś się kryje, ale nie można tego odnaleźć.

Powiedział jej coś, a jej sprawiło to taką radość, że płakałaby ze szczęścia, gdyby miała na to dość sił. Podobne uczucie ogarnęło ją teraz.

„Marit! Słyszysz mnie?”

Tak, tak powiedział. A później...?

Powracało słowo po słowie, każde, które wymówił. Może nie wszystko dokładnie, ale w każdym razie pamiętała sens wypowiedzi. Z każdym przypominanym sobie zdaniem oddychała coraz gwałtowniej, na granicy szloch, serce waliło jej tak mocno, że sama się przestraszyła, ale to, co teraz wyłuskała z pamięci, było tak niesamowite, tak intensywne, tak niebiańsko cudowne!

104

Doktor Volden, jej ukochany doktor Christoffer Volden, którego uwielbiała ponad życie, powiedział, że chce się z nią ożenić. Najwspanialszy człowiek na świecie pragnął poślubić ją, Marit z Grodziska, takie nic, z którym nikt się nie liczył. Bez wykształcenia, nie umiejącą zachować się wśród ludzi, głupią i biedną jak mysz kościelna!

Jak to możliwe?

Mówił także o dzieciach. Wtedy uczucie bezgranicznego szczęścia sprawiło jej taki ból, była pewna, że już umiera. Ciało nie mogło znieść burzy uczuć.

A potem powiedział, że ją kocha. Wymówił te słowa rzeczywiście, nie był to wcale sen, wiedziała o tym. Pocałował ją w policzek, a nie zrobiłby tego, gdyby jego miłość nie była prawdą.

Marit nikt nigdy jeszcze nie pocałował.

I to w dodatku Christoffer Volden!

Czym zasłużyła sobie na takie szczęście?

Otworzyły się drzwi. Marit przemogła zmęczenie i uniosła powieki.

Do pokoju weszła nieznajoma kobieta.

Ale czy naprawdę był to ktoś obcy? Kiedy zaczęła mówić, Marit rozpoznała jej głęboki, nieco szorstki głos, który krył w sobie tyle ciepła.

- Ależ, Marit, ty płaczesz? Co się stało?

- Nie mogę... przestać. Taka jestem szczęśliwa, taka szczęśliwa! Nie wiedziałam, że radość może tak boleć!

Tak, tak, pomyślała Benedikte. Nigdy jeszcze nie zaznałaś radości. Dziwne, że w ogóle znałaś samo słowo „radość”!

- Ona wie.

Christoffer wbił wzrok w Benedikte.

- Co to znaczy?

- Marit z Grodziska pamięta każde słowo, jakie powiedziałeś. A jeśli zabijesz jej bezgraniczną radość, ja zabiję ciebie!

Christoffer ukrył twarz w dłoniach. Opadł na krzesło, stojące w dyżurce lekarzy.

105

- Ale co ja mam zrobić?

Nie odpowiedziała, ale ze ściągniętej twarzy można było wyczytać, co myśli.

Nagle Christofferowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Benedikte... Benedikte, czy nie mogłabyś...

- Co ty próbujesz powiedzieć?

- Nie znam wszystkich twoich zdolności, ale czy nie mogłabyś sprawić, by Marit zapomniała? Może ją zahipnotyzować?

Przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa, cały czas mając na twarzy ów wyraz przygnębienia. Potem nagle obróciła się na pięcie.

- Nie stać mnie na to - odparła krótko i wyszła.

Christoffer siedział nieruchomo; nie był w stanie podjąć jakiegokolwiek działania. Był całkiem załamany.

Ale jego słowa podsunęły pewną myśl Benedikte.

Wiedziała już, co robi.

Najpierw jednak musiała pożegnać się z Sanderem Brinkiem, albowiem był to ostatni dzień, jaki miała spędzić w szpitalu, nazajutrz ona i Andre wyruszali w powrotną podróż do domu.

Sander nie chciał jej wypuścić. Pragnął, by została do czasu, aż on zupełnie wyzdrowieje, bo tak bardzo chciał zamienić bodaj parę słów z Andre, nawiązać jakiś kontakt z synkiem.

Na razie było to niemożliwe, po co narażać chłopca na kontakt z zarazkami.

Benedikte jednak nie mogła tak długo czekać. Musiała wracać do domu. Sander obiecał

więc pisać tak często, jak tylko będzie mógł, i załatwić sprawę rozwodu, gdy tylko wróci do domu. Tym razem nie miał zamiaru ulec napadom hysterii żony. Z drogi, którą obrał, nie było powrotu.

Przyciągnął Benedikte do siebie i długo tulił, zanim wreszcie pozwolił jej odejść.

- Pozdrów Andre - szepnął. - Przekaż mu pozdrowienia od człowieka, który kocha go najbardziej na

świecie, od jego własnego ojca. Ach, Benedikte, tak dobrze będzie nam razem!

Benedikte leżała spokojnie, otoczona jego ramionami. Kiedy wychodziła od niego, jej twarz promieniała radością.

106

Tego wieczoru Benedikte musiała dość długo czekać, aż Christoffer zaśnie na swej niewygodnej kanapie. Najwidoczniej nie mógł dojść ze sobą do ładu, a ona milczała. W

sytuacji, w jaką się wplątał, każdego dręczyłyby wyrzuty sumienia.

Wreszcie jednak usłyszała głęboki, spokojny oddech. Wysunęła się z łóżka, nie budząc Andre, i stanęła w drzwiach do saloniku. Światło ulicznej latarni przenikało do pokoju na tyle, by mogła widzieć twarz Christoffera. Ostrożnie, bardzo ostrożnie przysiadła na brzeжку kanapy i wyciągnęła ręce kilka centymetrów nad jego głową, tworząc z nich jak gdyby ochronną kopułę.

- Drogi Christofferze, wybacz mi to, ale sam mnie naprowadziłeś na ten pomysł. Bo widzisz, rzeczywiście potrafię narzucić innym swoją wolę, i tak właśnie teraz zrobię dla dobra wszystkich. Wszystkich!

Szepcząc niemal bezgłośnie starała się wszczepić słowa w jego podświadomość:

- Oddaj serce Marit! To nie będzie trudne, ono jest już przy niej, tylko ty nie zdajesz sobie z tego sprawy. Dałeś się zwieść pozorom, a to nie jest ciebie godne, mój drogi krewniaku i przyjacielu. Zobacz prawdziwą Lise - Merete. Zrozumiesz, że ona także należy do tej strasznej rodziny i nie jest ani odrobinę lepsza, raczej gorsza. Płytką, pustą, rozpieszczoną, wyrachowaną, sam to stwierdzisz, kiedy tylko z oczu spadnie ci zasłona. Myślę poza tym, że sam już sporo dostrzegłeś. Już opuszczasz ją dla Marit, ale to odbywa się zbyt powoli, jesteś zaślepiiony.

Zauważyła, że w jej sugestywnym tonie pojawił się odcień gniewu, zakończyła więc swój seans hipnotyczny, czy jak to nazwać. „Oddziaływanie” byłoby chyba słowem właściwszym.

Przy ostatnich gniewnych słowach Christoffer niespokojnie się poruszył, spieszenie więc wróciła do łóżka, nie chcąc, by się przebudził i zobaczył ją pochyloną nad nim w dziwnej pozycji.

Zrobiła już, co mogła. Reszta należała do opatrności.

Christoffer obudził się z bólem głowy. Zły początek trudnego dnia, jaki miał przed sobą.

Westchnął ciężko, uzalając się nad sobą. Benedikte miała wyjechać. Musiał pomówić z Marit. Jak, na miłość boską, miał to zrobić? Wcześniej jednak obiecał Lise - Merete obejrzeć dom, który wystawiono na sprzedaż.

Dom na sprzedaż? Co ona właściwie myśli? Że młodego lekarza stać na to? Powiedziała, że jej ojciec nie poskąpi grosza, jeśli tylko wytargują rozsądną cenę.

Ta myśl wcale nie nastroiła Christoffera weselej.

107

Plany jego zostały jednak cokolwiek zmienione, ordynator bowiem prosił, by poszedł

zobaczyć, jak cudownie ozdrowiała Marit z Grodziska. Był też czas, by zmienić jej opatrunek i sprawdzić, czy tym razem rana dobrze się goi.

Christoffer westchnął. Chciał, by towarzyszyła mu jedna z pielęgniarek, ale wszystkie były zajęte porannymi zabiegami u chorych i żadna nie była akurat wolna. Ostatnia nadzieja, że jakaś siostra będzie u Marit, również okazała się płonna.

Był z Marit sam na sam. Nie miał czasu, by przygotować sensowną obronę. Oczywiście mniej więcej wiedział, co powinien powiedzieć: prawdę. Wyzna, że chciał jej tylko pomóc, sprawić radość w ostatnich chwilach życia albo dodać otuchy i zachęcić do dalszej walki. To ostatnie nie było prawdą, śmierć naznaczyła ją już swym znamieniem.

Ale jakimi słowami powinien się posłużyć, by wyłożyć jej to w jak najdelikatniejszy sposób?

Zwłaszcza gdy z twarzy Marit wprost biła radość? Oczywiście, wypełnione bolesnym wstydem, szukały u niego potwierdzenia. Czy mówił poważnie? Czy to, co jej powiedział, to prawda?

Och, Marit z Grodziska była taka prosta. Kątem oka dostrzegł wychudzone ręce, poprzez skórę widać było żyły i ścięgna. Pomimo iż tak długo leżała beczynn timer, nadal znać było po nich trud codziennego dnia od rana do wieczora. Przez moment pomyślał o miękkich, wypielęgowanych dłoniach Lise - Merete. Ramiona Marit wciąż były tak chude, że łokcie zdawały się dziurawić skórę, można było policzyć wszystkie kości. Włosy miała wzburzone i potargane od leżenia, ale zęby jaśniały bielą, a twarz, jak zresztą od początku, kusila, by przyjrzeć jej się z bliska, odkryć, co w niej tkwi.

Ale żadną miarą nie dawało się jej porównać z Lise - Merete.

Myśli jak błyskawice przemykały mu przez głowę. Co, na litość boską, ma jej powiedzieć?

„Jeśli zabijesz jej radość, ja zabiję ciebie.”

Oczywiście słów Benedikte nie należało rozumieć dosłownie, ale teraz pojmował, o co jej chodziło.

Nie, nie mógł się na to zdobyć! Nie wobec tych wzruszających oczu, patrzących na niego tak ufnie, w których głębi czaił się strach, rozdzierająca serce wątpliwość. Czy miał spytać:

„Marit, nie uwierzyłaś chyba w to, co mówiłem?”

Nie teraz, kiedy nadal była taka słaba. Musiał wstrzymać się do czasu, aż nabierze sił.

Miał wrażenie, że bezradny stoi tak od wielu lat, choć w rzeczywistości upłynęły zaledwie sekundy. Przysiadł na brzegu łóżka jak wiele razy wcześniej i uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

- Witaj, Marit! Cudownie widzieć, że wracasz do zdrowia, nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę.

To nie było kłamstwo, mógł tak powiedzieć. Ale co dalej...?

Ujął ją za rękę.

- Musisz teraz odpocząć i nabrać sił, a później czeka nas długa rozmowa.

Westchnęła przeciągle, z drżeniem, jakby w uniesieniu.

Co on wygaduje? Owszem, będą musieli odbyć rozmowę, ale jej może ona sprawić śmiertelny ból.

Nic nie mógł poradzić na to, że oczy wypełniły mu się łzami. Czy to on musi zadać jej morderczy cios?

Marit dostrzegła jego wzburzenie i podniosła rękę. Delikatnie pogładziła go po policzku dłonią, która kiedyś tak samo głaskała wilgotne nosy cieląt i sierść starych kóz. Christoffera przeszył nagły smutek, przytulił mocno jej dłoń do swego policzka. W tym momencie poczuł

coś, czego nie potrafił opisać. Bliskość? Zrozumienie? Potrzebę czynienia dobra innemu człowiekowi? To ostatnie było uczuciem dobrze znanym Christofferowi, przyjacielowi wszystkich ludzi, ale tak silnie nigdy go nie przeżywał.

- Muszę iść dalej - szepnął. - Ale jeszcze porozmawiamy. Teraz chciałem zajrzeć do ciebie na moment.

- Dziękuję - powiedziała bez tchu. Ale strach nadal czaił się w jej oczach. On przecież nic nie powiedział, nie nawiązał do tego, o czym mówił poprzednim razem...

Christoffer pochylił się i odruchowo ucałował ją w policzek. Nie potrafił znaleźć żadnych słów, ale może Marit to wystarczy?

Rzeczywiście tak chyba było. Kiedy odchodził, w jej oczach kręciły się łzy.

A Christoffer czuł się bardziej rozdarty i nieszczęśliwy niż kiedykolwiek w swoim życiu.

Dopiero dużo później zorientował się, że całkiem zapomniał o obejrzeniu rany, nie pamiętał

też o zmianie opatrunku.

Lise - Merete i Christoffer zwykle umawiali się w cukierni Frederiki. Spotykały się tam wszystkie damy i nieliczni panowie, którzy mieli dość czasu i pieniędzy na ciągnące się w nieskończoność pogawędki nad filiżanką kawy i pysznymi serduszkami waniliowymi Frederiki.

Lise - Merete jak zwykle siedziała otoczona wianuszkiem przyjaciółek. Christoffer nie lubił przychodzić tu po nią, ale dziewczyna twierdziła, że to rozwiązanie najbardziej praktyczne.

Tym razem także usłyszał, jak przemawia do gromadki wdzięcznych słuchaczek. Lise -

Merete mówiła szybko, starała się brylować w towarzystwie; taki sposób bycia był dla niej charakterystyczny, wyrażał młodzieńczą potrzebę imponowania. Kiedyś Christofferowi wydawał się bardzo zabawny.

- I wiecie, Tof er i ja będziemy sami w domu w sobotni wieczór!

- Naprawdę? - zdumiała się któraś z panien.

Christoffera w jednej chwili ogarnęła irytacja. Po pierwsze nie podobało mu się, że mówi o nim Tof er, bo było to zdrobnienie, którego używała, kiedy byli zupełnie sami, a po drugie uważał, że czekający ich wspólny wieczór jest tylko i wyłącznie ich sprawą!

Dostrzegły go, Lise - Merete wstała i natychmiast ujęła go mocno pod ramię. Prawo wyłączności? Ta myśl uderzyła go dopiero teraz.

Christoffer uznał, że jego zachowanie jest dziś wyjątkowo nieznośne.

- Usiądź z nami! - zagruchała Lise - Merete.

- Nie mam zbyt wiele czasu.

Obrażona wydeła usta, robiąc minę przeznaczoną dla przyjaciółek.

- Christoffer nigdy nie ma czasu dla swojej najdroższej. Ma odpowiedzialne stanowisko i musi myśleć o swoich pacjentach.

Z jakiegoś powodu i ona, i pozostałe panny uznały to za nadzwyczaj zabawne. Christoffer z trudem wysilił się na uśmiech, nie chciał być nieuprzejmy.

- Idziemy?

- Tak, tak! - Lise - Merete odwróciła się i pomachała ręką swoim przyjaciółkom, jak gdyby dawała znak sprzysiężonym.

O tej, której słowami zada cios prosto w serce niby ostrym sztyletem.

Szli przez zmarznięte ulice, wiatr hulał, za każdym rogiem uderzając w nich z nową siłą.

Przepiękna skóra Lise - Merete zachowała swą złotobrazową barwę. On sam był pewien, że ma czerwony nos i sine uszy. Marit z Grodziska wyglądałaby podobnie, był o tym przekonany.

Mieli więc ze sobą coś wspólnego.

Lise - Merete szczebiotała bezustannie, często zatrzymywała się, by przywitać się i zamienić parę słów ze znajomymi. „Tak, doktor Volden i ja idziemy obejrzeć dom. Tak, właśnie tak, pobieramy się latem. (Uroczy chichot.) Dziękuję, bardzo dziękuję, to bardzo miłe.”

- Słyszysz, jak wszyscy życzą nam szczęścia? - zapytała go, kiedy poszli dalej.

- A co mają mówić, skoro sama się tego dopraszasz?

- Ale czy słyszałeś Larsena? On życzył szczęścia tylko tobie. Ze mną.

I znów ten triumfujący chichot. A przecież Lise - Merete nigdy dotąd tyle nie chichotała. I nigdy nie zachowywała się tak dziecinnie i wulgarnie.

A może jednak?

Nie, to oczywiście myśl o zbliżającym się ślubie wprawiała ją w taki nastrój. Musi jej to wybaczyć.

Spotkali pana i panią Gustavsenów, którzy oczywiście się zatrzymali.

- O, są nasze gołąbeczki - powitał ich rajca. - Idą obejrzeć dom, tak, tak, dobrze, że nareszcie zabraliście się do rzeczy. I wiesz, drogi zięciu, że nie będę oszczędzał, kiedy chodzi o moją jedyną córkę! Nie wahajcie się więc ani minuty, jeśli uznacie, że dom się nadaje. Zawsze mogę przecież głębiej sięgnąć do sakiewki.

- Ale pamiętajcie o minimalnych wymogach - pouczała matka Lise - Merete. - Co najmniej dwie łazienki, a dobrze by było, żeby była jeszcze jedna, oddzielna, dla gości. Bieżąca woda i...

- Dobrze już, dobrze, mamó, wiem dokładnie, czego chcę. Aby pani doktorowa mogła żyć na odpowiedniej stopie, muszą być spełnione pewne warunki.

111

- Zawsze wiedziałaś, czego chcesz, moja kochana - mruknął rajca, żartobliwie ciągnąc córkę za włosy. - Uważaj, Christofferze, i nie sprzeciwiaj się. Jeśli Lise - Merete czegoś chce, nigdy nie zrezygnuje, tę cechę odziedziczyła po swoim ojcu.

Cała rodzina roześmiała się zachwycona. Christoffer poczuł się nagle jak gość na przyjęciu, na którym wszyscy wszystkich znają, tylko on jest obcy.

Obserwował, jak zadowoleni z siebie wymieniają uwagi. Jakież one podobne, matka i córka!

Nie z wyglądu, lecz ze sposobu bycia. Gesty, opinie o wszystkim i wszystkich, całe ich zachowanie niczym nie różniło się od siebie.

Pani Gustavsen była przystojną kobietą. Doskonale ubrana, elegancka jak córka. Ale jej nieprzenikniony, chłodny, jakby pusty wyraz twarzy zawsze odrobinę przerażał Christoffera.

Porównywał to ze spontanicznym ciepłem Lise - Merete.

Teraz patrzył na swą przyszłą żonę i zaczął się zastanawiać, czy owa dziecinna żywiołowość nie była przypadkiem... udawana?

A ciepło? Ukradkiem przyjrzał się twarzy narzeczonej i dostrzegł na niej coraz wyraźniej malujący się chłód. Jak u matki... Lise - Merete zawsze bardzo podziwiała swoją matkę.

Wyniosła dama z wyższych sfer, która pragnie mieszkać odpowiednio do swego stanu? Czy taką właśnie żonę pragnął mieć syn Ludzi Lodu?

Przeniósł wzrok na rajcę Gustavseny. Wszyscy troje byli tak zajęci próżną gadaniną, że jego spojrzenia traktowali jako wyraz podziwu.

Rajca był przedsiębiorcą o kamiennym sercu, powtarzano mu to wielokrotnie. Potrafił być również nieugiętym i ostrym przeciwnikiem politycznym, czego Christoffer był kilka razy świadkiem.

A najgorsze, że podobny ton słyszał także u Lise - Merete. Zakochany, uznał wówczas, że młoda dziewczyna, starająca się naśladować sposób dyskusji dorosłych, jest czarująca.

Przypomniał sobie teraz, jak w sklepach targowała się o drobiazgi, i to, co ostatnio mu powiedziała: „Pamiętaj, Christofferze, nie daj się zbałamucić agentowi nieruchomości. Tacy ludzie zawsze próbują oszukiwać, pozwól mi zająć się negocjacjami”.

Rozbawiło go to i pomyślał, że chętnie się na to zgodzi, bo Lise - Merete jest bystrą dziewczyną, ma dobrze poukładane w głowie.

Niespodziewanie zawładnęło nim dziwne uczucie. Czyżby zniechęcenie? Poczł nagle, jakby ciało zaczęło ważyć co najmniej tonę, a stopy nie mogły oderwać się od chodnika.

Umysł także pracował mu wolno, ospale, myśli nie chciały go słuchać. Ktoś coś do niego mówił, ale nie rozumiał słów, musiał prosić o powtórzenie.

- Dokąd pofrunęły twoje myśli? - zaśmiała się Lise - Merete.

Donikąd, miał już na końcu języka, ale uśmiechnął się tylko, z pewnością dość głupkowato, i odpowiedział coś wymijająco.

Człowiek zakochany snuje swe marzenia wokół swojej miłości. Christoffer zawsze uważał

prysłowie: „Miłość jest ślepa”, za niemądre. Wolał już słowa Biblii, mówiące o tym, że miłość znieśie wszystko i nie szuka swojego, czy coś w tym rodzaju, nie był szczególnie mocny w cytatach. Zawsze potrafił dostrzec pozytywne strony wszystkich kaprysów Lise -

Merete, widział ją bowiem taką, jaką chciał ją widzieć. Całkiem stracił dla niej głowę, zaślepiła go, była bowiem bardzo atrakcyjną dziewczyną, być może najlepszą partią w całym mieście, na pozór obdarzoną samymi zaletami.

Powoli, bardzo powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że Lise - Merete wiele traci przy bliższym poznaniu.

Mój Boże, wplątał się w takie kłopoty! Przynależał małżeństwo dwóm kobietom, a nie ma ochoty na związek z żadną z nich!

Nie, da Lise - Merete jeszcze jedną szansę. Jego uczucia nie powinny przecież zmieniać się tak gwałtownie. I pomyśleć tylko, na jaki skandal mógłby ją narazić!

Była przecież taka młoda, kiedyś wreszcie dojrzeje.

Doszedł do wniosku, że stanął w obliczu podobnego problemu, jak swego czasu Benedikte.

Sander Brink także był za młody i zbyt niedojrzały, a jaki mądry i rozważny jest teraz!

Dlaczego więc jemu i Lise - Merete miałyby ułożyć się gorzej?

Nareszcie uwolnili się od towarzystwa jego przyszłych teściów i mogli ruszyć dalej.

- Aleś ty posiniał na twarzy - zachichotała Lise - Merete. - Czy ja też?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Wydajesz się jakiś zły! Jeśli w moim towarzystwie nie potrafisz się przyzwoicie zachować, to możesz sobie iść sam!

Christoffer miał wielką ochotę odpowiedzieć: „Z przyjemnością”, ale był na to zbyt dobrze wychowany. Wreszcie dotarli do ich ewentualnego przyszłego domu.

- Chciałabym mieć różowe ściany w jadalni - powiedziała Lise - Merete. - To stwarza taki miły nastrój.

Christoffer nie znosił różowych ścian. Prawdopodobnie straciłby od nich apetyt.

- Na pewno będzie ładnie - mruknął, nagle bowiem wszystko mu zobojętniało.

Co się z nim dzisiaj dzieje? Wprost marzył o powrocie do szpitala, ale obiecał Lise - Merete, że poświęci jej godzinę. Miał nadzieję, że wyznaczony czas szybko upłynie.

Do domu nie można było mieć zastrzeżeń. Z całą pewnością był dla nich odpowiedni.

Usytuowany w dobrym miejscu, wyposażony zgodnie z najwyższymi standardami. Cena była bezwstydnie wysoka, ale Lise - Merete na pewno zdoła co nieco wytargować, w to nie wątpił.

- A tu - oznajmiła zachwycona, składając ręce. - Tu będzie pokój dziecienny...

Te słowa podziały na Christoffera jak lodowaty prysznic. Pokój dziecienny? Dzieci? Z nią?

Christoffer przeżył ogromny wstrząs, kiedy zrozumiał, że jego miłość do Lise - Merete umarła. Umarła na zawsze.

Jak to możliwe, by ekstatyczny podziw wygasł tak szybko?

Wiedział jednak, że przez cały czas trwania ich związku przeżywał momenty irytacji, które starał się bagatelizować. Czas pracował na niekorzyść panny Gustavsen, a i ona sama mu w tym pomagała.

Ale mimo wszystko! Jak to możliwe, by w ciągu jednego dnia tak nagle otworzyły mu się oczy? Jakby ktoś... jakby ktoś go zaczarował, ale to oczywiście niemożliwe.

Nie słuchał już dłużej jej wywodów na temat urządzenia domu, wiedział bowiem, że ten dom nigdy nie będzie jego domem, nie dojdzie też do żadnego ślubu.

- Jak ci się udał wyjazd do Gjøvik? - spytał nagle.

- Co takiego? Ach, to dopiero w przyszłym tygodniu.

- I jedziesz?

Znów zaczęła się krygować.

- Tak, zastanawiam się nad tym. Wszyscy tak bardzo chcą, żebym przyjechała, zwłaszcza mój dawny wielbiciel. Posłała prowokujące spojrzenie w kierunku Christoffera.

- Dobrze. Na pewno miło spędzisz czas.

Znów ten straszny chichot.

Lise - Merete zanurkowała pod jego ramieniem, którym opierał się o parapet.

- Zazdrosny?

- Zazdrosny? Dlaczego, na miłość boską, miałbym być zazdrosny? Czy mam do tego jakiś powód?

Jej oczy pociemniały, zmieniając się w dwa kamienie.

- Może i tak.

Odsunął ramię i przeszedł na środek pustego pokoju, w którym ich głosy echem odbijały się od ścian.

- Jak już mówiłem, uważam, że powinnaś jechać. A poza tym... niestety nie mogę przyjść w sobotę wieczorem. Mam dodatkowy dyżur w szpitalu.

Błogosławiony szpital! Nie uda jej się sprawdzić, czy on kłamie, czy nie, a poza tym dla dobra sprawy może wziąć dodatkowy dyżur. Nie miał nic przeciwko temu.

- Dodatkowy dyżur? - powtórzyła, wykrzywiając się. Nawet w złości była pociągająca. - Ale miałeś przyjść do mnie! Mieliśmy być sami!

- Nic na to nie poradzę - odparł krótko.

Przysunęła się do niego bliżej. Może przypuszczała, że narzeczony wymyka jej się z rąk? O, nie, nie jej, Lise - Merete Gustavsen. Ale troszeczkę się zaniepokoiła.

- Ale jesteśmy sami tutaj - zaśmiała się gardłowo. Czy ten śmiech miał być zmysłowy? -

Może teraz poświęcimy dom? Możesz przenieść mnie przez próg. A potem...

Christoffer wyciągnął zegarek, który Sander Brink zdążył mu zwrócić.

- Lise - Merete, nie mam już czasu, muszę wracać z powrotem do szpitala.

Nie do pomyślenia, by straciła twarz. Puściła go natychmiast i zrobiła kilka lekkich kroczków.

- Och, naturalnie, na śmierć zapomniałam. Oczywiście że musisz wracać do swego najdroższego szpitala. - Na tym samym oddechu, kierując się ku drzwiom, mówiła dalej: -

Będziemy mieć dwoje dzieci, zgodzisz się chyba ze mną? Chłopca i dziewczynkę. Najpierw chłopca, bo to bardziej praktyczne, będzie chronić siostrzyczkę, a kiedy już dorosną, ona będzie spotykać jego kolegów.

Na miłość boską, ile ona ma właściwie lat? Czy to normalne, by dwudziestodwuletnia dziewczyna występowała z takim dziecinnym bajdurzeniem?

- O tym zdecyduje natura - odparł. Nie miał dość sił, by akurat teraz zrywać zaręczyny, nie był do tego przygotowany. Musiał się najpierw zastanowić, jak chce pokierować swoim życiem. Na razie wszystko było jedynie chaosem. Musiał także pomyśleć o niej, nie chciał

zranić jej zbyt brutalnie.

- Jesteś taki dziwny - poskarżyła się. - Co się z tobą dzieje?

- Nie takiego - odpowiedział, przecierając oczy, kiedy Lise - Merete zamykała za nimi drzwi na klucz. - Niepokoję się o pacjentkę.

- O nią? - Lise - Merete wykazała się nadzwyczajną intuicją.

Wspomnił o pacjentce, nie mając nikogo konkretnego na myśli. Ale kiedy ona to powiedziała...

- Tak, właśnie tak - odparł, niczego nie owijając w bawełnę. - Niepokoję się o jej przyszłość.

Jest całkiem sama na świecie, postaram się więc załatwić jej pracę w szpitalu i jakieś mieszkanie. Ona, oczywiście, nie ma ani grosza.

W głosie Lise - Merete zadźwięczały kostki lodu:

- Masz też pewnie zamiar napchać ją pieniędzmi? Uważam, że powinieneś przede wszystkim myśleć o swojej żonie, rodzinie, zanim zaczniesz rozdawać na prawo i lewo łatwym podstarzałym komornicom.

Christoffer poczuł, że gniew zaczyna w nim wrzeć, rozrastając się niebezpiecznie jak wnętrze czynnego wulkanu.

- Porozmawiamy później - oświadczył. - Jestem już spóźniony, będziesz musiała sama wrócić do domu. Do widzenia, Lise - Merete!

Słyszał, jak woła go donośnym szeptem, ale znajdowali się już na uczęszczanej ulicy, a Lise

- Merete śmiertelnie się bała skandali.

- Christofferze! Christofferze! - syczała, co brzmiało jakby nawoływała nieposłusznego psa.

Udawał, że nie słyszy. Nie mógł rozmawiać z nią w tej chwili, słowa byłyby zbyt gorzkie i zbyt raniące.

Był tak wzburzony, czuł się tak źle, że powrotną drogę do szpitala przebył w rekordowym tempie.

Trzy godziny później nadszedł czas odjazdu Benedikte i Andre. Christoffer już wcześniej poprosił o zwolnienie z pracy, by mógł odprowadzić ich na stację, o ile, rzecz jasna, w szpitalu nie wydarzy się nic nieprzewidzianego.

Nic takiego się nie stało, poszedł więc do swojego mieszkania, gdzie goście czekali już gotowi do drogi.

Benedikte popatrzyła na niego badawczo.

- Wyglądasz jak chmura gradowa, Christofferze. Czy coś się stało?

Zacisnął usta, nie chciał bowiem nikogo obwiniać, ale pomyślał sobie, że rozmawia przecież z Benedikte, swą „starszą siostrą”.

- Miałaś rację - wybuchnął. - Skończyłem z Lise - Merete. Nagle stanęła mi kością w gardle.

A teraz nie wiem, jak mam jej to powiedzieć.

Benedikte przyłożyła ręce do jego skroni.

- Wszystko będzie dobrze, Christofferze.

Skoncentrowała się, gładząc go po głowie, by zlikwidować swój własny wpływ. Miał już teraz oczy otwarte, dalej sprawy powinny przybrać naturalny obrót.

Jednocześnie zatarła myśli o Marit z Grodziska, które mu wpoila. Kiedy Lise - Merete wypadła z gry, nie były już potrzebne. Z miłością nigdy nie należy eksperymentować.

Powinna narodzić się sama, nie jako produkt czarów i magii czy też woli kogoś obcego.

Christoffer obiecał Marit małżeństwo. Być może zbyt pośpiesznie. Ale Benedikte miała nadzieję, że sam stwierdzi wreszcie, czego chce, kiedy już ta nieszczęsna Lise - Merete przestanie się dla niego liczyć.

- Dlaczego tak robisz? - zaśmiał się Christoffer niepewnie.

- Dziękuję za miłe dni - odparła Benedikte, opuszczając dłonie. - Twoją zasługą jest, że spotkałam Sandera.

- Wszystko między wami w porządku? - spytał po cichu.

- Myślę, że będzie dobrze. Mamy przed sobą kilka przeszkód do pokonania, ale kiedy chce się czegoś naprawdę, wszystko jest możliwe.

- Masz rację - zgodził się z nią Christoffer i zwrócił się do małego Andre, który próbował

unieść ciężką walizę. - Weź te parę groszy, kup sobie za to słodyczy. To od pewnego miłego pana ze szpitala, który prosił, bym ci je przekazał.

Benedikte, zmrużywszy oczy, popatrzyła na Christoffera.

- To będzie spora torba cukierków! Chyba lepiej, żebym to ja zaopiekowała się twoimi pieniędzmi, Andre, to za duża suma, byś mógł nosić ją przy sobie.

Andre trochę protestował, Benedikte dała mu więc jedną monetę i obiecała, że będzie mógł

za nią kupić coś w sklepie z karmelkami.

- Co to za miły pan? - dopytywał się chłopiec.

- Niedługo go spotkasz. Kiedy tylko wyzdrowieje. On ciebie zna.

117

- Marco? - pytał Andre, szeroko otwierając oczy.

- Nie, nie Marco. Chodź, musimy już iść. Pociąg nie czeka na spóźnialskich!

Lise - Merete Gustavsen wpadła w straszliwy gniew. Ze złości rozboleł ją brzuch. Jak ten Christoffer śmiał odejść od niej w taki sposób? I nie wracał, kiedy ona go wołała? Wystawił

ją na pośmiewisko!

Ale jeszcze się przekona, że Lise - Merete nie wolno tak upokarzać!

Stała przy oknie w domu swoich rodziców i wyglądała na ulicę. Nagle drgnęła. Przecież to nadchodzi Christoffer? Z przeprosinami?

Nie, towarzyszy mu ta jego krewna ze swym bękartem. Z walizką, najwyraźniej zmierzają na stację. Przecież tak się spieszył do szpitala, a teraz idzie na dworzec!

Dosyć tego! Nie będzie dłużej tolerować takiego traktowania. Narzuciła płaszcz. Teraz da mu co nieco do myślenia, wytresuje go batem, niech się wreszcie nauczy.

Lise - Merete czekała przed domem, w którym mieszkał Christoffer. Tak, tak, da mu niezłą nauczkę.

Musiała czekać dość długo. Trochę zmarzła, głównie w nogi, bo założyła eleganckie cienkie trzewiczki, chciała pokazać, jakie ma zgrabne stopy.

Nareszcie wracał!

Zatrzymał się zdziwiony.

- Lise - Merete? Stoisz tutaj?

- Nie, płynam w Atlantyku - odrzekła ostro. - Jak można zadawać takie głupie pytania?

- Czy masz do mnie jakąś sprawę?

Wyglądał na zgnębionego, na pewno dręczą go wyrzuty sumienia, pomyślała.

- Widziałam, że szedłeś na stację, a wcześniej twierdziłeś, że musisz być w szpitalu.

- Byłem w szpitalu i teraz także tam idę. Zwolniłem się tylko na trochę, żeby odprowadzić krewnych

na dworzec.

- Tego mi nie powiedziałaś. Pragnę ci teraz oznajmić, doktorze Christofferze Volden, że poza tobą na świecie są także inni mężczyźni!

Dostał za swoje, niech teraz zobaczy!

118

Christoffer spoglądał na nią z niezgłębionym wyrazem twarzy, a wreszcie powiedział:

- Dobrze, że to powiedziałaś, Lise - Merete. To znaczy, że nie zostaniesz całkiem sama. Na pewno ty także się zorientowałaś, że nie pasujemy do siebie.

Zaniemówiła. Pierwszy raz w życiu straciła mowę. Dosłownie.

Christoffer kontynuował:

- Coraz bardziej oczywiste stawało się dla mnie, że nie potrafię dać ci szczęścia. Nie umiem żyć zgodnie z twoim stylem. Ty najlepiej czujesz się wśród ludzi z wyższych sfer, ja wśród moich pacjentów.

Lise - Merete nadal usiłowała wydusić coś z siebie. Coś zabójczego, co jednocześnie na powrót przyciągnęłoby go do niej, pokazało mu, co tracił. Ale jak to wyrazić, nie uderzając przy tym w ton zbyt wielu przechwałek?

Lise - Merete nie należała do osób skromnych. Miała o sobie bardzo wygórowane mniemanie. Zdawała sobie jednak sprawę, że w tym przypadku podkreślanie własnej doskonałości doprowadzi ją do pewnej zguby. Musi znaleźć pokorne, uniżone słowa, które jednocześnie pokażą mu jej dobre strony.

Nie zdążyła ich jednak wypowiedzieć, nie przywołała ich na czas. Christoffer wyciągnął rękę jak do kogoś obcego, życzył jej szczęścia w życiu i odszedł.

Obserwując, jak niknie w oddali, miała ochotę zawołać: „Zaczekaj! Nie odchodź ode mnie, potrzebuję cię, przecież jesteś mój!” Ale Lise - Merete nie mogła wyrzec takich słów, kiedy ją odtracono. Ją! Odtracono? Ach, mój Boże, cóż za wstyd i upokorzenie!

Ślub! Wszystkie przyjaciółki, już zaproszone i poinformowane o związku między nią a Christofferem! Matka i ojciec, sąsiedzi i znajomi! I te wyhaftowane monogramy, LMV. Teraz będzie musiała je spruć!

Gniew i rozgoryczenie płonęły w duszy Lise - Merete.

Ale, rzecz jasna, nie ujdzie mu to na sucho. Zaczęła budzić się z odrętwienia, w głowie układał się nowy plan. Tym razem snuły go złość i nienawiść.

Pierwsze, co musiała zrobić, to odwrócić kota ogonem. Wszem i wobec oznajmić, że to ona zerwała zaręczyny z Christofferem, gdyż okazał się nudny. Albo że odkryła jego marne pochodzenie lub coś podobnego.

Nie chciała z nim więcej rozmawiać, to poniżej jej godności. Jeśli przyjdzie prosić o wybaczenie, odwróci się do niego plecami. Tak łatwo jej nie złowi. I jeszcze się zemści.

119

Wywołać skandal na mieście? Nie, to obróci się przeciw niej samej. Przyjaciółki złośliwie zatriumfują.

Lise - Merete widziała już zarys planu zemsty.

Nie dotknie to Christoffera bezpośrednio, ale tę, która od pierwszej chwili była jego najcenniejszą pacjentką. Tę, którą uważał za swą protegowaną. Lise - Merete od pierwszej chwili znenawidziła tę brzydką, chudą kobietę.

Kiedy wracała do domu szybkim, gniewnym krokiem, plan nabierał coraz bardziej konkretnych zarysów.

Dobrze, że nie mieli wspólnej własności! Ale agent nieruchomości otrzymał już informację, że decydują się na kupno domu, Lise - Merete i jej ojciec załatwili to szybko. Będzie więc musiała znaleźć jakieś wytłumaczenie, odpowiednie dla pośrednika.

A gdyby tak rozpuścić plotkę, że Christoffer nabawił się niebezpiecznej choroby?

Christoffer... Ach, Christoffer!

Oczywiście rozstanie bolało, przede wszystkim ucierpiała jej próżność. Lise - Merete nie należała do ludzi zdolnych do wielkich uniesień miłosnych, myślała przede wszystkim o tym, co mówią inni o świetnej partii, jaką zdobyła, i o tym, że z całej gromadki przyjaciółek ona wyjdzie za mąż jako pierwsza.

Poza tym Christoffer nie pochodził wcale ze szczególnie dobrej rodziny. Nikt tutaj nie znał

Voldenów, opowiadała więc, jaka to świetna i można rodzina w Asker. Wszystko wierutne kłamstwa.

A on był nikim, ona była zbyt dobra dla niego.

Bez względu jednak na to, jak starała się przekonać samą siebie, paliła się w niej rozjątrzona rana nienawiści i żalu, co zresztą dość typowe dla osób jej pokroju.

Zemsta. Zemści się jeszcze dzisiaj. Tego dnia Christoffer tak łatwo nie zapomni. Choć oczywiście nigdy się nie dowie, że to jej dzieło.

Po południu nadeszła w szpitalu pora odwiedzin.

Lise - Merete przyniosła dla brata trochę owoców, ale nie siedziała długo przy jego łóżku.

Wymówiła się, że ma dzisiaj sporo spraw do załatwienia.

Nikommu jeszcze nic nie powiedziała o zdradzie Christoffera.

Nie mogła się na to zdobyć. A poza tym chciała najpierw wykonać zadanie, jakie sobie wyznaczyła...

120

Wszystko zależało od tego, czy ta kobieta będzie spała, czy nie. Z tego jednak, co rozumiała, przeklęta komornica przez cały czas była bardzo słaba, prawie nieprzytomna.

Na pewno więc wszystko pójdzie jak po maśle.

Wiedziała, gdzie leży Marit z Grodziska. Zorientowała się kilka dni temu i już wtedy z nienawiścią patrzyła na pawilon.

Nietrudno było przemknąć się niezauważenie. Przeszła przez dziedziniec i dalej do środka.

Wiedziała, jakiego numeru szukać na drzwiach sali.

W korytarzu nie było nikogo, miała szczęście. Gdyby ktoś tędy szedł, musiałyby czekać. Ale wszystko odbyło się bezboleśnie.

W nastroju, w jakim znajdowała się Lise - Merete, zagłądanie przez dziurkę od klucza nie wydało jej się niczym nieprzystojnym.

Okazało się jednak, że nic nie może zobaczyć. Musiała wejść do sali.

Ostrożnie uchyliła drzwi i przez maleńką szparkę zajrzała do środka.

Przeklęta baba spała! Ale czy głęboko? Lise - Merete nie mogła stać w korytarzu przez całe wieki, to zbyt niebezpieczne.

Musi wejść do środka. Poszło gładko, zamknęła drzwi za sobą, nic niespodziewanego się nie wydarzyło.

Mój Boże, ta kobieta wygląda na umierającą! Ale tak przecież było od początku.

Teraz szybko! Ktoś może wejść! I, co najgorsze, może to być Christoffer.

Najpierw okno... Dobrze, przytrzymać je zasłoną... O, tak! Lodowaty listopadowy wicher wpadł do środka, Lise - Merete zadrżała z zimna.

Na nocnym stoliku stał dzwoneczek, którym można wezwać pielęgniarkę. Lise - Merete ujęła go

delikatnie, nie odrywając oczu od kobiety w łóżku. Chora jednak ani drgnęła. Oddychała głęboko, jakby pogrążona w śpiączce.

Co, na miłość boską, Christoffer widział w tym babsku? Nie był w niej zakochany, to niemożliwe, ale dlaczego tak się nią przejmował? Mogła zacząć wyobrażać sobie nie wiadomo co!

Nie, ona nie mogła sobie niczego wyobrażać. Znajdowała się poza granicą wszelkiej świadomości.

Lise - Merete położyła dzwoneczek na podłodze. Kształtem przypominał dzwonek, jaki wiesz się na szyi krowom. Pasuje do tej komornicy, sama podobna jest do krowy.

121

Teraz najtrudniejsze...

Drżącymi palcami Lise - Merete ujęła kołdrę. W pokoju było już naprawdę zimno, wtargnął prawdziwy zimowy chłód. Powoli, powoli! Stopniowo ściągnąć przykrycie...

Poszło jej nadzwyczaj łatwo, komornica ani drgnęła.

Nareszcie. Kołdra leżała skłębiona na podłodze przy łóżku. Ależ, mój Boże, jaka ta kobieta chuda, wprost trudno w to uwierzyć!

Teraz pozostawało tylko szybko wyjść. Rzut okiem na korytarz - pusty.

Lise - Merete, przez nikogo nie widziana, opuściła teren szpitala.

Plan został wykonany.

122

ROZDZIAŁ XI

Kiedy minęła pora odwiedzin, pielęgniarki znów przystąpiły do rutynowych zajęć.

Starsza siostra w nakrochmalonym czarno - białym czepku otworzyła pokój Marit i przerażona przystanęła w drzwiach.

- Brr! Jak tu lodowato! - zawołała, jakby chcąc odpędzić zimno.

Dął wicher, okno otwierało się i zamykało, nie mogło się jednak zatrzasnąć, bo blokowała je wplątana zasłona. W łóżku leżała nieruchomo Marit z Grodziska, wyglądała na zamarznąętą.

Pielęgniarka podbiegła do okna i jak najprędzej je zamknęła. Przez moment stała w miejscu, przestępując z nogi na nogę. Nie mogła się zdecydować, czy ma okryć Marit lodowatą kołdrą, czy też raczej wezwać pomoc. Wreszcie zdecydowała się na to drugie.

Jej krzyk ściągnął do pokoju przestraszone pielęgniarki i lekarzy. Christoffer wychodził

akurat z sąsiedniego pawilonu i jedna z sióstr gwałtownymi gestami dała mu znać, że natychmiast ma przyjść na górę.

Od razu pomyślał, że coś stało się z Marit, jak się okazało - słusznie. Wszyscy zbiegli się do jej izolatki. Ach, mój Boże, oby nie coś nowego, ona przecież przeszła już zapalenie wyrostka, odparła atak szpitalnej infekcji. Co się stało tym razem, to biedne stworzenie więcej nie wytrzyma!

- Przecież tu jest strasznie zimno! - wykrzyknął.

- No właśnie - odparł inny lekarz, który owijał wychudzone ciało Marit w nagrzane wełniane koce. Obok stały już przygotowane nosze, by przenieść chorą do cieplejszego pomieszczenia.

Christoffer ujął jej dłoń. Ogarnął go ogromny smutek.

- Co tu się stało?

- Okno było otwarte - odpowiedziała pielęgniarka, która znalazła Marit. W jej głosie brzmiało wzburzenie. - A kołdra leżała na podłodze. Dzwonek także, nie mogła wezwać nikogo na pomoc.

Druga pielęgniarka orzekła zdecydowanie:

- Musiała zrzucić kołdrę, a kiedy próbowała zadzwonić, dzwonek także spadł na podłogę.

- No, a okno?

Ułożyli chorą na noszach. Christoffer także ruszył ku drzwiom, nie chciał puścić ręki Marit.

123

- Okno? Musiało otworzyć się samo, a potem zaplątała się zasłona.

Nie brzmiało to prawdopodobnie. Która z sióstr niedokładnie zamknęła okno? I przecież Marit nie wyglądała na osobę, która jest w stanie sięgnąć do dzwonka.

- Musiała długo tak leżeć - powiedział Christoffer wstrząśnięty. - Jest całkiem sina z zimna.

- Nie wyjdzie z tego - zawyrokował ktoś szeptem.

- Sza - uciszył go ktoś inny. - Nie wiadomo, czy nas nie słyszy.

Ułożono Marit na łóżku w innej sali i natychmiast podrzucono dREW do kominka. Najlepszym posunięciem byłoby zrobienie jej gorącej kąpieli, ale podgrzewanie wody trwałoby zbyt długo. Christoffer, inny lekarz i dwie pielęgniarki wspólnie starali się natrzeć Marit.

- Niewiele ciała na tych kościach - stwierdził lekarz.

- Pamiętasz chyba, jak wyglądała, kiedy do nas przybyła? Teraz to już prawdziwy cherubinek - ostro zaprotestował Christoffer, ale jego głos przepojony był strachem.

- Cherubinek? - parsknął lekarz. - Wobec tego marnie karmią w niebie.

Nadbiegły siostry z parującymi ręcznikami, którymi owinęły nogi Marit. Christoffer usiadł tuż przy chorej i przytulił ją, chcąc oddać jej nieco swego ciepła. Nie śmiał nasłuchiwać bicia jej serca, bo się bał, że niczego nie usłyszy.

Raz po raz powtarzał w duchu to samo pytanie: Jak mogło do tego dojść? Jak mogło do tego dojść?

Jego kolega najwidoczniej myślał o tym samym.

- Czy Marit ktoś dzisiaj odwiedzał?

Pielęgniarka pokręciła głową:

- Marit nigdy nie miała gości, oczywiście oprócz krewnej doktora Voldena.

- Benedikte dziś wyjechała, a przed odjazdem nie wstępowała do Marit - odparł Christoffer. -

Ja sam zaglądałem do niej kilkakrotnie, ale na długo przed porą wizyt i okno z całą pewnością było zamknięte. Nie wyczułem chłodu w pokoju.

- Czy haczyk mógł się sam otworzyć?

- Nie - stwierdziła pielęgniarka. - Są dwa haczyki i nigdy jeszcze się nie zdarzyło, by się same otworzyły.

124

- Może sprzątaczką zapomniała rano o zamknięciu okna?

- Sprzątała wcześniej, a my podchodziliśmy do okna później i natychmiast byśmy zauważyli, gdyby coś było nie w porządku.

- Nic z tego nie pojmuję - mruknął lekarz. - Ona sama nie mogła przecież wstać.

- O nie, na pewno - powiedział Christoffer. - Upłynie sporo czasu, zanim stanie na nogi.

Jeśli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi.

Benedikte, myślał z rozpaczą, tak bardzo jesteś tu teraz potrzebna. Ale Benedikte wyjechała.

Wydawało się, że tym razem nic poza kolejnym prawdziwym cudem nie pomoże biednej Marit. Jakby Śmierć upatrzyła sobie ją, Marit z Grodziska, na łup. Kostucha już dwukrotnie została oszukana. Po raz pierwszy trzymała swą ofiarę w szponach na bagnach. Gdyby nie przywędrowały tam dzieci i za

ich sprawą Marit nie zostałyby przetransportowana na dół do wioski i dalej do szpitala, gdzie zoperowano jej wyrostek robaczkowy, umarłaby tam samotnie i jeszcze przez długi czas nikt by jej nie odnalazł. Bo przecież przeczołgała się dalej, pod świerki, a tam trudno ją było dojrzeć. Drugi raz Śmierć już prawie miała Marit, kiedy zaraziła się szpitalną chorobą. Wtedy jednak Marit nabrała już trochę sił dzięki pożywieniu, które jej podawano, i zdołała utrzymać się przy życiu do chwili, gdy przyjechała Benedikte i uzdrowiła ją swymi leczącymi dłońmi.

Ale Śmierć się nie poddawała. Mogło się wydawać, że to ona we własnej osobie weszła do pokoju Marit i otworzyła okno, zrzuciła przykrycie i dzwonek na podłogę.

Christoffera przebiegł dreszcz. Do głowy nagle wpadła mu jakaś myśl, błysnęła, ale zaraz umknęła, przegnana nerwowymi krokami pielęgniarek, biegnących wymienić wystygłe ręczniki na nowe, nagrzane.

Na chwilę zajrzał ordynator. Zapadł już wieczór, szpital gotował się na spoczynek.

Co za straszny dzień, pomyślał Christoffer. I tak nieprawdopodobnie długi! Ale na ogół złe dni bywają najdłuższe.

Przygnębiony ordynator zbadał Marit. Wszyscy wiedzieli, że otrzymał już dokładną relację.

Czekali milczący, w napięciu. Christoffer niechętnie odsunął się od Marit, ułożył jej głowę na poduszce i wstał.

Ordynator osłuchiwał serce i płuca, ocenił też ogólny stan zdrowia Marit. Prostował się powoli.

Równie wolno pokręcił głową. Kiedy pielęgniarka chciała zmienić ręczniki na nowe, nagrzane, wstrzymał ją ruchem dłoni.

Poprosił Christoffera i drugiego lekarza za sobą na korytarz.

125

- Jeśli przeżyje jutrzejszy dzień, to tylko dzięki niebywale silnej chęci życia. Płuca są już zaatakowane, zaczyna się rozwijać zapalenie, prawdopodobnie też zbyt długo leżała nieruchomo, czaiło się więc już wcześniej. Cóż za przekłeta historia, jutro trzeba przesłuchać cały personel!

- Czy ona jest już stracona? - wyrwało się Christofferowi, zanim zdążył się zastanowić.

Ordynator wbił w niego wzrok.

- Nikogo nie uważamy za straconego, dopóki nie przykryje się go białym prześcieradłem -

powiedział odrobinę ostro. - Ale... No cóż, starajcie się utrzymać ją w cieple, to jedyne, co możemy zrobić. No, i czekać. Dobranoc!

Czekać na koniec. O to właśnie mu chodziło, pomyślał Christoffer.

A ja będę czekał razem z nią.

Oczywiście obowiązki nie pozwoliły mu być przy Marit przez cały czas. Następnego dnia miał przeprowadzić ciężką operację, nie mógł się na nią stawić całkiem wykończony. Mimo to nie chciał zostawiać Marit samej, uważał, że nadal jest za nią odpowiedzialny.

Nie był w stanie zrozumieć, co tak mocno go z nią związało. Miał przecież pod opieką tylu innych pacjentów.

Reszta personelu udała się na spoczynek, tylko on pozostał przy chorej. Usiadł na stoliku przy łóżku, tak by cały czas móc ją obserwować. Wąskie, chybotliwe siedzenie było niewygodne, a w pokoju panował żar niczym w piecu, starali się bowiem zapewnić Marit jak najwięcej ciepła. Ale on nie miał czasu o tym wszystkim myśleć. Przez moment dostrzegł

oznaki, że być może Marit przebudzi się ze śpiączki. Doskonale to rozumiał, jej także musiało dokuczać gorąco, była przecież jeszcze dodatkowo tak szczelnie owinięta.

W pewnym momencie przyszła nocna pielęgniarka i pozdrowiła go szeptem.

- Widzę, że tym razem tu ciepło. - Uśmiechnęła się wymuszenie. Christoffer odwzajemnił

uśmiech i kiwnął głową. Potem znów został sam. Sam z Matit, która w pewnym sensie spowodowała zerwanie zaręczyn z Lise - Merete.

Akurat to go cieszyło. Po raz pierwszy tego wieczoru miał czas, by pomyśleć o Lise -

Merete, i odczuł jedynie ulgę. Był wolny, to wspaniałe uczucie.

Ledwie słyszalny jęk Marit wyrwał go z zamyślenia. Uważnie przyjrzał się jej twarzy.

Bez wątpienia, było w niej teraz więcej życia.

- Marit - szepnął serdecznie.

126

Skurcz przebiegł po twarzy chorej, która nawet teraz, mimo skrajnego wycieńczenia, wydawała się pociągająca. Zmęczona, rozpalona od gorączki i ciepła panującego w pomieszczeniu, pokryta kroplistym potem, a mimo to niewypowiedzianie piękna. Tak, niewypowiedzianie, bo tej urody nie dało się opisać słowami. Była tak delikatna, tak ulotna, aż trudno ją pochwycić. Dlatego fascynowała w dwójnasób. Uroda Lise - Merete od pierwszego wejrzenia uderzała niczym cios pięści i on, typowy mężczyzna, padł przed nią na kolana. Spostrzegł teraz, w jak banalny sposób zareagował na zewnętrzną ułudę.

W napięciu obserwował Marit. Czy się przebudzi, czy też skurcze przebiegające po twarzy są zapowiedzią śmierci?

Prawdopodobnie to drugie. Już tyle razy wydawała się bezpowrotnie stracona, ale jakoś dochodziła do siebie, tym razem jednak nie było żadnych wątpliwości. Uratować mógł ją jedynie cud.

A Benedikte wyjechała.

- Marit - szepnął. - Kocham cię, wiesz o tym.

Mógł to teraz powiedzieć, niczego się nie obawiając. Nie miał żadnych zobowiązań wobec Lise - Merete, a Marit wierzyła w jego wyznanie miłości. Nie wolno jej zawieść w ostatniej godzinie.

I wtedy otworzyła oczy. Patrzyły na niego, spokojne i przytomne.

- Dziękuję, Christofferze - szepnęła słabym głosem. - Dziękuję za wszystko, czym dla mnie byłeś! Ja także cię kocham, na pewno o tym wiesz.

- Najdroższa, moja najdroższa Marit - powiedział wzruszony.

Powieki z wolna opadły na błękitne oczy, chora znów pogрузyła się w otchłani snu.

- Marit? - spytał na próbę.

Odpowiedziała mu tylko cisza. Przyłożył lusterko do jej ust, by sprawdzić, czy w ogóle oddycha. Po dłuższej chwili stwierdził, że jeszcze żyje.

Musiał odejść. Poleciał nocnej pielęgniarce, by dbała o Marit, regularnie do niej zaglądała i natychmiast posłała po dyżurującego lekarza, gdyby zaszła jakaś zmiana.

Zmiana? Mogła jedynie oznaczać przekroczenie granicy świata żywych...

Tragedia Marit zajmowała jego myśli w znacznie większym stopniu niż troska o Lise -

Merete. Ona na pewno sobie poradzi, czego nie można powiedzieć o Marit.

Gdyby tylko mógł coś dla niej zrobić! Coś, co naprawdę by ją uradowało.

127

Ale naturalnie było już na to za późno, na wszystko za późno. Zdążył powiedzieć jej, że ją kocha, i z tego się cieszył, bo choć nie miał o sobie wygórowanego mniemania, wiedział, że jest jedyną wielką miłością jej życia. Nie żałował więc, że pokusił się o drobne kłamstwo.

Kiedy szedł do swego mieszkania, zaświtał mu w głowie pewien pomysł.

Jeśli nazajutrz w Marit pozostanie jeszcze ta odrobina życia... Czy mu wolno?

Po krótkiej chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że to jedyne, ostatnie i najpiękniejsze, co może zrobić dla Marit z Grodziska.

A kiedy w myślach posunął się już tak daleko, gorąco zapragnął, by dożyła jutra i choć na chwilę się przebudziła. Bo nagle tak bardzo chciał zrealizować swój zamysł, mieć możliwość sprawienia jej radości.

Jego także to ucieszy. Zrekompensuje całą gorycz, jaką napełnił go związek z Lise - Merete.

Po raz trzeci zwrócił się do Boga w sprawie Marit. „Pozwól jej żyć, proszę! W każdym razie dopóki nie zrealizuję swego planu, tylko o to Cię proszę! Rozumiem, że ona jest bezpowrotnie stracona, ale daj jej choć jeden dzień, jeden jedyny dzień! Czy naprawdę proszę o wiele?

Następnego ranka pierwsze kroki skierował do Marit.

Żyła jeszcze, ale jej życie przypominało dogasający płomyk. Często widywał ją w tym stanie i bardzo się tego bał. Czy ów nikły płomyk się utrzyma, rozпали, czy też po prostu zgaśnie?

Jeszcze trochę, Marit, błagał. Przebudź się, mam dla ciebie niespodziankę!

W sali operacyjnej wraz z asystującym sztabem zoperował starszego mężczyznę. Starał się skoncentrować na swym zajęciu, ale zauważył, że myśli o czym innym. Operacja przebiegała normalnie, rutynowo, a kiedy po trzech długich godzinach została skończona, Christoffer poczuł się niezmiernie zmęczony. Nie miał jednak czasu na długi odpoczynek.

Wypił filiżankę kawy i zjadł kilka kanapek, przygotowanych przez zapobiegliwą pielęgniarkę, a potem poszedł prosto do pastora, który mieszkał niedaleko i często odwiedzał szpital.

Christoffer wyłożył mu swój plan i obiecał dać znać, gdy tylko Marit odzyska przytomność.

W niedużym pokoiku lekarzy spotkał przygnębione zgromadzenie.

- Co się z wami dzieje? - spytał Christoffer swoich trzech kolegów. Więcej lekarzy w szpitalu nie było.

- Nic szczególnego - odparł ordynator. - Po prostu w końcu człowieka ogarnia zmęczenie.

Słyszałem, że operacja się udała?

128

- Taak - odparł Christoffer niepewnie. Miał nadzieję, że wszystko odbyło się jak należy, pomimo że taki był roztargniony. Niewybaczalna rzecz dla chirurga.

Ordynator głęboko wciągnął powietrze. Można to było nazwać westchnieniem.

- Czasami zastanawiam się, czy w ogóle istnieją zdrowi ludzie. Mam wrażenie, że zajmujemy się całą ludnością ziemi. A poza tym wyznaczyłem nasze przesłuchanie na drugą, wezwałem wszystkich, którzy mogą mieć jakiś związek ze sprawą Marit. Spodziewam się, że ty także przyjdiesz, Christofferze!

- Tak, oczywiście. Jak obchód? To znaczy...

- Chodzi ci o twą szczególną protegowaną? - Ordynator skrzywił się, pocierając dłonią górną wargę.
- Muszę ci powiedzieć, że była nawet przytomna.

- Ca takiego? - Christoffer skoczył w kierunku drzwi. - Przepraszam...

- Niczego nie oczekuj! - zawołał za nim ordynator. - To tylko krótkotrwały nawrót sił, widywałeś to już wcześniej. Jakby ostatni bunt.

Ale Christoffer był już daleko.

Najpierw pognał do pawilonu, by sprawdzić, czy Marit nadal jest przytomna. I rzeczywiście, kiedy wszedł, rozjaśniła się na jego widok.

- Proszę nie pozwolić jej zasnąć - gorączkowo polecił pielęgniarce. - W jakikolwiek sposób, byle tylko jeszcze przez jakiś czas zachowała przytomność. Ja niedługo wrócę.

Sprowadzono pastora, a dwie pielęgniarki były świadkami, kiedy Marit z Grodziska została poślubiona bohaterowi swoich snów, Christofferowi Voldenowi z Ludzi Lodu. Z początku leżała z otwartymi oczami, oddychała z trudem, co jakiś czas powieki jej się osuwały, ale przytomnie szeptała w odpowiednich momentach, a jej twarz wyrażała tak upojne szczęście, że pastor musiał chusteczką wytrzeć nos, a pielęgniarce ciurkiem płynęły z oczu łzy.

Pastor dał, rzecz jasna, wyraz swemu zdumieniu, jakimże sposobem osoba, której zaledwie przed kilkoma dniami udzielił ostatniego namaszczenia, może teraz brać ślub. Oczywiście trzeba to było nazwać ślubem w potrzebie, należało ominąć zapowiedzi, ale pastor uznał, że spełnienie ostatniego życzenia umierającej jest uczynkiem na tyle chwalebny, że można przymknąć oczy na pewne formalne uchybienia.

Christoffer całkiem zapomniał o sobie. Myślał jedynie o tym, by sprawić radość Marit; dać jej do zrozumienia, że ona także jest jedną z ludzi, że jest ktoś, komu jest bliska i kto zajmie się nią przez całe życie. Nie wiedział, na ile ona sama zdaje sobie sprawę ze swej sytuacji, ale pełne smutku spojrzenie, jakim go obdarzyła, powiedziało mu, że nie miała przesadnych iluzji co do swej przyszłości.

129

Ale była uradowana i szczęśliwa. Christoffer siedział przy niej aż do drugiej, kiedy to musiał

iść na przesłuchanie. Marit oczywiście bardzo prędko znów zapadła w śpiączkę, a życzenia szczęścia, wypowiedane przez wszystkich obecnych, dochodziły do niej gdzieś z bardzo daleka, jeżeli w ogóle je słyszała. Kiedy od niej odchodził, leżała nieprzytomna. Delikatnie ucałował jej śliczne, gładkie czoło i na palcach wysunął się z pokoju.

Zupełnie wyjątkowo skromny Christoffer pozwolił sobie poczuć się dumnym z własnego postępu.

Pokój lekarzy był pełen ludzi, siedzieli i stali gdzie się dało.

Przesłuchiwano wszystkich po kolei: sprzątaczkę, dozorcę, pielęgniarki i lekarzy. Poza kucharką w szpitalu nie było personelu kuchennego, pielęgniarki same roznosiły jedzenie.

Nikt nie miał nic nowego do dodania. Cała sytuacja była niepojęta. Sprzątaczką szlochała, zalewając się łzami. Miała wrażenie, że wszystkie podejrzenia skierowane są na nią, bo przecież to do jej obowiązków należało codzienne otwieranie i zamykanie okien. Ale teraz, zimą, nie przesadzano z wietrzeniem, i okno w pokoju Marit nie było otwierane od ładnych kilku dni. Wszyscy czuli się bardzo niezręcznie. Każdy obawiał się, że jest podejrzany. W

pokoju rosło napięcie i trudno się temu dziwić, zdarzyło się bowiem coś wyjątkowo groźnego, i to w tak tajemniczych okolicznościach. Niedbalstwo, to nie mogło być nic innego jak tylko niedbalstwo, ale to niedopuszczalne w szpitalu, kiedy ma się pod opieką bezbronnych chorych ludzi.

- Ale ktoś przecież musiał to zrobić - stwierdził ordynator. - A więc: Okno było otwarte, a ponieważ zasłona dostała się między skrzydło a ramę, nie mogło się zamknąć. Marit z Grodziska próbowała dosięgnąć dzwonka i zrzuciła go ze stolika, a jednocześnie zsunęło się z niej przykrycie, kiedy odwróciła się w stronę dzwonka.

Christoffer, jego kolega i wszystkie pielęgniarki przysłuchiwały się temu z niedowierzaniem.

- Ja też w to nie wierzę - oświadczył ordynator. - Marit nie była w stanie się odwrócić ani tym bardziej sięgnąć do stolika. A już na pewno nie mogła wstać i sama otworzyć okna!

- Nie, to wykluczone - pielęgniarki mówiły jedna przez drugą. - Ona nie ma siły nawet unieść głowy z poduszki.

- Musiał tam być ktoś inny - stwierdził Christoffer. - My tutaj wiemy, że tego nie zrobiliśmy, ale kto mógł tam wejść? Czy pacjentów od czasu do czasu nie odwiedzają diakoni, przedstawiciele rozmaitych sekt i pastorzy?

- Owszem - powiedział ordynator. - Ale nie wczoraj, tak mi się wydaje... chociaż właściwie nie wiem tego na pewno.

- Poczekajcie - jednemu z lekarzy nagle rozjaśniło się w głowie. - Jest ktoś, kogo zapomnieliśmy spytać.

130

- Kto taki?

- Stary Johannes.

- Ale on przecież prawie nie może się ruszać, ma sparaliżowane nogi. I dlaczego on miałby...? Pacjent?

- Nie, nie o to mi chodzi. Ale on niemal stale siedzi przy łóżku i wygląda przez okno.

Christoffer także skojarzył:

- I ma widok na pawilon Marit! Mógł widzieć, kto wchodził i wychodził tamtędy wczoraj!

- O ile, rzecz jasna, sam nie był zajęty gośćmi.

- Nonsens! Johannes nikt nie odwiedza. Chodźmy go zapytać.

Ordynator, Christoffer i jedna z pielęgniarek poszli do drugiego pawilonu. Pozostałym pozwolono się rozejść.

Johannes był bystrym staruszkim, który nie mógł opuszczać szpitalnej sali i cierpiał z tego powodu straszne męki. Słyszając ich pytania natychmiast się ożywił.

- Pozwólcie, że się zastanowię... Wiele osób wchodziło tam wczoraj i wychodziło. Na przykład doktor Volden.

- To wiemy - odparł ordynator. - Skoncentrujmy się raczej na popołudniu, bo tuż przed porą wizyt wszystko było w porządku. Przypomnij sobie porę odwiedzin, Johannesie, oczywiście przyszło wielu gości do innych sal, ale wymień wszystkich, których pamiętasz.

- Dobrze... Najpierw przyszedł mężczyzna, prowadząc za rękę dziewczyneczkę.

- To Karlsen, w odwiedzinie do żony - powiedziała pielęgniarka. - Przychodzi co dzień.

- Tak, wiem. Potem Per - Rybak i Bjorn z Lasu, i dwie starsze damy, ich nie znam, ale na pewno szły z wizytą do pani Madsen, a potem Amanda spod Latarni, i... Tak, przyszła jeszcze młoda, elegancko ubrana dama, a później Petter, ten, co ma szklane oko, i...

- Poczekaj, nie tak szybko, wyliczasz gości jednym tchem - powstrzymała go pielęgniarka. -

Prawie wszystkich potrafię połączyć z konkretnymi pacjentami, ale powiedz mi coś więcej o tej młodej damie, nie wiem, do kogo szła.

- Jak ona wyglądała? - spytał Christoffer, niczego nie podejrzewając.

- Pięknie, bardzo pięknie. Miała rudy płaszcz, obramowany futrem, na pewno prawdziwym, bo od razu było widać, że dobrze jej się powodzi. Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie 131

córka rajcy? Co prawda nie widziałem dziewczyny od ładnych paru lat, ale była do niej podobna.

Christoffer, usłyszawszy opis, poczuł, jak lodowacieją mu nerwy czy naczynia krwionośne, czy co tam może lodowacieć. Zauważył błysk zdumienia w oczach ordynatora i pielęgniarki.

- Jak długo ta dama przebywała w środku? - spytał ordynator sucho.

Pozostali pacjenci nadstawili uszu. Niewiele jednak mogli z tego pojąć, nikt z nich bowiem nie wiedział, o co chodzi.

- No, długo nie siedziała - odpowiedział Johannes, nie zauważając ich zdumienia. - Jeśli to miała być wizyta, to było to tylko dzień dobry i do widzenia.

Znów popatrzyli na siebie. Christoffer pobladł straszliwie, twarz w jednej chwili bardzo mu się postarzała, rysy wyostrzyły.

Rzekł z ogromnym wysiłkiem:

- Tu z okna widać tamten pawilon. Czy widziałeś, by w porze odwiedzin ktoś otwierał jakieś okna? Chodzi mi o tamto, najbliżej rogu?

Johannes wyjrzał i kiwnął głową.

- Trudno mi powiedzieć, czy ta było akurat w porze odwiedzin, ale pamiętam, że widziałem rękę, która je otwierała. Pomyślałem sobie, że ktoś ma chyba nie po kolei w głowie, by otwierać okno w taką wichurę! Ale doszedłem do wniosku, że w środku nie ma pacjentów, inaczej zamarzliby na śmierć!

- Ale w środku ktoś był - rzekł Christoffer powoli. Poczł mdłości, tak był wzburzony i zdenerwowany.

Pielęgniarka umiała myśleć bystro, chciała wiedzieć jeszcze więcej:

- Widziałeś rękę, która otworzyła okno?

Johannes nie dał po sobie znać, że uważa pytania, jakie mu zadają, za dziwaczne.

- Tak, rękę. - W skupieniu zmarszczył brwi, starając się sobie przypomnieć szczegóły. -

Zaraz, zaraz... Mmm... Jakby w czymś brązowym? A może czerwonym? Nie pamiętam, ale tak mi się wydaje.

Christoffer oparł się o ścianę, nie mógł już o własnych siłach utrzymać się na nogach.

Nikt nic nie powiedział. Zdumione myśli w szalonym tempie krążyły po głowach, nikt nie potrafił ich uporządkować.

132

- Zerwałeś z nią wczoraj, prawda? - spytał bardzo cicho ordynator.

- Tak.

- I ona wiedziała o twojej szczególnej trosce o Marit?

- Tak.

Starali się rozmawiać szeptem, by nie usłyszeli ich pacjenci.

Christoffer wreszcie zdołał się poruszyć.

- Idę do Marit, posiedzę przy niej. Zajmiesz się tym?

- Oczywiście - odparł ordynator.

Podziękowali Johannesowi i wyszli na korytarz. Ordynator powiedział:

- Tak, Christofferze, oczywiście, że się tym zajmę. To paskudne cieszyć się z cudzego nieszczęścia, ale teraz rajcy dostanie się za to, że nie przyznał szpitalowi dodatkowych funduszy!

Christoffer nie był w stanie radować się z triumfu. Czuł się wręcz fizycznie chory ze wstydu.

Nie potrafił zapanować nad emocjami, nie potrafił także ich nazwać.

Wieczorem Lise - Merete postanowiła bardziej bezpośrednio uderzyć w Christoffera.

Zaprosiła do domu najlepsze przyjaciółki, ojca i matkę powiadomiła już wcześniej o tym, że

„zerwała z Christofferem”. Kiedy przyszli goście, opowiedziała im, nie ukrywając swej dezaprobaty, o tym, jak to Christoffer nadużywał zaufania szpitala i w wolnym czasie dokonywał aborcji, pobierając od zepsutych ladacznic sowite wynagrodzenie. Powiedziała, że wie nawet o mężatkach, które dopuściły się niewierności i musiały za wszelką cenę pozbyć się owocu grzechu.

Nie miała zamiaru brać udziału w podobnym bezceństwie, jej nieskazitelna moralność nie ma litości dla kobiet, które nawiązują pozamałżeńskie stosunki z mężczyznami. Dała więc Christofferowi kosza. Uznała to za jedyne właściwe posunięcie. Owszem, zgłosiła całą sprawę na policję, przestępstwo nie ujdzie mu więc bezkarnie.

Rodzice, wstrząśnięci i urażeni, nie przestawali chwalić swej ukochanej córki za odwagę, jaką wykazała w obronie moralności, nie zważając na skandal i upokorzenia, na jakie może się narazić, zrywając zaręczyny i odwołując ślub. Przyjaciółki zżerała ciekawość, które to panie zmuszone były do zabiegu usunięcia ciąży, ale usta Lise - Merete zamknięte były, jak sama powiedziała, na siedem pieczęci. Plotkowanie to nie w jej stylu. Cała historia jest tak oburzająca i napawa takim wstrętem, że nie chce o niej więcej mówić. Rodzice nie posiadali się z radości, że mają taką wyjątkową córkę.

133

Przyjaciółki jednak nie dały za wygraną, chciały wiedzieć, jak Christoffer przyjął zerwanie.

Lise - Merete stanowiła centrum zainteresowania gości zgromadzonych w salonie Gustavsenów, wszyscy słuchali z rosnącym napięciem. To dopiero historia, będzie co opowiadać na mieście!

Lise - Merete przekrzywiła głowę i uśmiechając się łagodnie powiedziała:

- Oczywiście bardzo to przeżył, biedny chłopiec, taki był do mnie przywiązany...

- Ale co powiedział na to, że doniosłaś na niego na policję? - dopytywała się jedna z dziewcząt.

Lise - Merete skarciła ją wzrokiem.

- Akurat w tamtej chwili nie bardzo go to obchodziło - odparła. - Ledwie słyszał, co mówię, bo na kolanach, dosłownie na kolanach błagał mnie, bym go nie opuszczała. Ale ja byłam konsekwentna. Nie ma mowy o tym, by w mojej rodzinie znalazł się przestępca, a już zwłaszcza dopuszczający się takich ohydnych czynów. Kobiety, które niemoralnie się prowadzą, muszą ponieść zasłużoną karę, nie może im to uchodzić na sucho!

Wszystkie przyjaciółki uroczyście pokiwały głowami.

Nagle do drzwi rozległo się pukanie.

- Któż to przychodzi o tej porze? - oburzyła się pani Gustavsen. - Czy nie ma tam pokojówki?

Pokojówka była na miejscu i zaraz wprowadziła dwóch jegomościów w policyjnych mundurach.

- Ależ moi panowie - poderwała się Lise - Merete. - Nie prosiłam, byście tu przychodzili.

Doktora Voldena tutaj nie ma!

- Tego już za wiele! - gardłował rajca. - Są pewne granice! Czy nie możecie pojąć, że kompromitujecie nas w oczach sąsiadów? Proszę natychmiast opuścić mój dom, inaczej źle się to dla was skończy, już ja się o to zatroszczę.

Policjanci najwyraźniej czuli się zakłopotani. Pochrząkiwali, zaciskając dłonie.

- Wiemy, gdzie przebywa doktor Volden, i to wcale nie jego przychodzimy aresztować.

- Doprawdy? - zdziwiła się pani Gustavsen. - Czyżby ktoś ze służby...? Aresztować? To jakaś poważna sprawa! O jakie przestępstwo chodzi?

- To nie dotyczy nikogo ze służby. - Policjant nerwowo rozejrzał się dokoła. - Czy możemy porozmawiać na osobności?

134

- Cóż to znowu za głupstwa? My nie mamy nic do ukrycia - wykrzyknął rajca. - Nie chcecie chyba powiedzieć, że ktoś z naszych gości... To ci dopiero! Natychmiast mówcie, co macie do powiedzenia, i opuście mój dom!

Obaj policjanci zwrócili się do gromadki młodych dziewcząt.

- Panno Lise - Merete Gustavsen, w imieniu prawa aresztujemy panią za usiłowanie morderstwa na pannie Marit z Grodziska. Oskarżenie może zostać zmienione na zarzut morderstwa, ponieważ ofiara najprawdopodobniej nie przeżyje.

Zapadła cisza tak gęsta, że można by ją kroić nożem. W drzwiach stała służąca i przysłuchiwała się z niedowierzaniem, rozdziawiwszy usta ze zdumienia. Pani Gustavsen odprawiła ją gestem dłoni.

Lise - Merete cała krew napłynęła do twarzy. Powieki jej drżały, jakby nie mogła patrzeć na policjantów. Wreszcie jednak zdobyła się na odpowiedź.

- To najśmieszniejsze oskarżenie, jakie słyszałam. Czy to sprawka doktora Voldena?

Powiedział tak, by ratować własną skórę.

- Oczywiście, wszystko jasne - zawtórował jej ojciec. - Nie mógł znieść, że nasza córka go odrzuciła.

- A kimże jest ta Marit z Głodu? - drwiącym tonem dopytywała się matka Lise - Merete.

Przyjaciółki zachowały milczenie. Rozpalona ciekawość bijąca z ich oczu niewiele miała wspólnego z przyjaźnią. Wyrażała tylko żądzę sensacji.

- Marit z Grodziska - poprawił policjant. - To pacjentka, którą doktor Volden zajmował się ze szczególną troską. Poza tym ona już się tak nie nazywa. Doktor poślubił ją dzisiaj rano, nosi więc nazwisko Volden. Dopóki jeszcze żyje, pozostały jej zaledwie godziny.

Na słowa o małżeństwie przez pokój przebiegło westchnienie. Kiedy przetrawiono już sensacyjną wiadomość, głos zabrał rajca:

- Na czym dokładnie opiera się oskarżenie? Chciałbym poznać dowody, jakie macie przeciwko mojej córce. Dla wszystkich bowiem jest chyba jasne, że to doktor Volden pragnie się na niej zemścić.

- Przykro mi, panie rajco, ale muszę stwierdzić, że jest odwrotnie. Przedstawię Fakty.

Wczoraj przed południem doktor Volden zerwał zaręczyny z panną Lise - Merete Gustavsen.

To on zerwał, rozmowa była podsłuchana przez przypadkowego przechodnia, mającego powiązania z policją.

- To nieprawda! - krzyknęła Lise - Merete. - To nieporozumienie, to ja zerwałam, to ja...

135

Zorientowała się, że wpada w histerię. Wszystkie przyjaciółki przysłuchiwały się relacji o tym, jak to ona została odrzucona, postarała się więc uspokoić, odetchnęła głęboko kilka razy i mówiła dalej:

- Jeśli chodzi o zarzut usiłowania morderstwa, to jest on tylko podstępą próbą zemsty ze strony

mego narzeczonego, ponieważ doniosłam o jego kryminalnej działalności: Nielegalnym usuwaniu ciąży. Czy jeszcze tego nie zbadaliście?

- Oczywiście, zbadaliśmy. I nie znaleźliśmy na to ani jednego dowodu.

- O, tak, to da się ukryć.

- Na pewno nie w tak małym mieszkaniu jak jego.

- On zajmował się tym w szpitalu! Wieczorami.

- Dlaczego więc powiedziała nam pani, że to było u niego w domu? - spokojnie spytał

policjant i odwrócił się do rajcy. - Jeśli wolno mi kontynuować Wyjaśnianie zarzutów, to pannę Gustavsen widziano wczoraj na terenie szpitala w porze wizyt. Mamy na to świadka.

- Nie ma w tym nic dziwnego - powiedziała Lise - Metete. - Odwiedziłam brata!

- Brat pani nie leży w pawilonie kobiecym.

Na piękną złotobrazową twarz wystąpiły czerwone plamy.

- Być może poszłam więc zobaczyć się z narzeczoną.

Policjant udawał, że nie słyszy jej słów.

- Panna Gustavsen przedostała się do pokoju Marit z Grodziska i otworzyła okno, choć na dworze hulał lodowaty północny wiatr. Ściągnęła z chorej kołdrę i położyła dzwonek na podłodze, tak by pacjentka nie mogła go dosięgnąć. I na to jest świadek.

- To absolutnie niemożliwe! - histerycznie krzyknęła Lise - Merete.

- Owszem - odparł policjant. - Johannes Martiniussen obserwował wszystko z zewnątrz, widział, jak pani wchodziła i wychodziła, widział też pani rękę, otwierającą okno. Tym samym naraziła pani chorą na śmiertelne zimno.

- Johannes - parsknął rajca. - Słuchacie takiego starucha? I czy pacjentka nie mogła zwyczajnie okryć się kołdrą?

- Nie, nie mogła. Była nieprzytomna.

136

- A jaki powód miałyby Lise - Merete, żeby pozbawiać życia całkiem obcą sobie osobę? -

dopytywała się matka.

- Zemsta - odparł policjant. - zemsta i zazdrość, ponieważ doktor Volden szczególnie zajmował się tą

chorą. Jak wiele do niej czuł, możemy lepiej zrozumieć, pamiętając o tym, że poślubił ją na łożu śmierci.

Drugi policjant delikatnie ujął Lise - Merete pod ramię.

- Najlepiej, jeśli pani pójdzie teraz z nami, panno Gustavsen.

- Nie dotykaj mnie! - wrywając się krzyknęła Lise - Merete. - Nigdzie z wami nie pójde!

- Drogo za to zapłacicie! - wrzasnął rajca.

Policjanci nie odpowiedzieli, tylko mocno uchwyciwszy Lise - Merete, wyprowadzili ją.

Przyjaciółki stały jak sparaliżowane.

Z hallu dobiegały krzyki Lise - Merete:

- Nie chciałam jej zabić! Nie chciałam zabić, tylko trochę przestraszyć!

137

ROZDZIAŁ XII

W szpitalu pogasły lampy. Światło paliło się tylko na korytarzach i w dyżurce pielęgniarek, a także w separatkach, gdzie leżeli pacjenci, których stan był krytyczny.

Świeciło się także u Marit. Christoffer przysiadł przy niej tak często, jak tylko mógł, ale teraz musiał już iść do domu, by trochę się przespać. Wymagała tego jego odpowiedzialna praca chirurga.

Dla Marit nic więcej już nie mogli zrobić. W rzadkich momentach, kiedy na krótko wracała jej przytomność, usiłowali podać jej trochę płynnego pożywienia, mleka ze śmietanką i żółtkiem. Na piersiach położyli jej okłady z olejków eterycznych, by umożliwić oddychanie, ale Christoffer, który ją osłuchiwał, zorientował się, że zapalenie płuc rozwija się szybko.

Tym razem Śmierć mogła być pewna swojego łupu. Wydawało się, że już stoi w najciemniejszym kącie pokoju i czeka zniecierpliwiona.

Christoffer położył się do łóżka wyzuty z myśli, ogarnięty pustką. Był już przygotowany na stratę pacjentki, której los tak głęboko zapadł mu w serce.

Lekarz powinien umieć oddzielić pracę od prywatnego życia. Nie wolno mu przesadnie angażować się w tragedii pacjentów, nie wolno mu „zabierać pracy do domu”.

Ale Marit z Grodziska gwałtownie wdarła się w jego świat. Gorąco pragnął, by przeżyła, pragnął zapewnić jej przyszłość, pomóc w znalezieniu pracy i mieszkania, i rzeczywiście miał zamiar wesprzeć ją finansowo, dokładnie tak, jak podejrzewała Lise - Merete.

Tragiczny los Marit wzruszył go do tego stopnia, że kiedy nie było już nadziei, że przeżyje, poślubił ją. W praktyce nic to dla niego nie oznaczało, i tak w kilka godzin po ślubie miał

zostać wdowcem, ale wierzył, że dla niej było to bardzo ważne. Uczynił ją szczęśliwą. I wiedział, że będzie mu jej brakowało. Będzie tęsknił za tym bezbronnym, opuszczonym stworzeniem, które znalazł na pustkowiu wśród bagien, bez rodziny, bez jakiegokolwiek przyszłości. Tak bardzo się do niego przywiązała, zaufała mu. Christoffer stał się niemal jej bogiem i jasne było, że jest w nim zakochana.

On nie odwzajemniał jej uczuć. Bardzo, bardzo ją lubił, ot i wszystko.

Poza tym akurat w tym momencie jego życie przypominało jeden wielki chaos i nie mógł zaangażować się na poważnie.

Lise - Merete nie poświęcił już więcej ani jednej myśli. Skończył z nią, był tak wstrząśnięty jej postępkami, że całkiem wymazał ją z pamięci. Nie miał innego wyjścia, jeśli chciał zająć się kolejnymi problemami, i w pracy, i w życiu prywatnym.

138

Oskarżenie o usuwanie ciąży! Jakież to prostackie! Musiał składać zeznania na policji, ale bardzo prędko zrozumiano, że jest niewinny. Ale i tak ta sprawa to jakby gwóźdź do trumny, kolejne obciążenie, które już do końca wyprowadziło go z równowagi.

Miał świadomość, że chociaż oczyszczono go z zarzutów, jego sława nie była już tak nieskazitelna. Plotka rozprzestrzenia się szybciej od wiatru i być może nie wszyscy powtarzając ją wspomną o jego niewinności. Na to pewnie liczyła Lise - Merete. I on, który tak się już zadomowił w Lillehammer, zaczął rozważać inne możliwości. Chirurgów wszędzie brakowało, z pewnością mógł więc znaleźć pracę w jakimkolwiek innym miejscu, ale zmiana pracy i zamieszkania jawiła mu się niczym niedostępna góra, na którą będzie musiał się wspinać. A na razie nie miał sił nawet o tym myśleć.

Był tak irytująco przytomny, a jednocześnie tak wycieńczony, tak śmiertelnie zmęczony. A przecież musi spać, po prostu musi!

W pawilonie zapadła cisza. Do Marit zajrzała właśnie nocna pielęgniarka i wycofała się do swego kącika. Marit słyszała, jak siostra wchodzi i wychodzi, ale nie miała sił otworzyć oczu, powieki miała ciężkie jak z ołowiu.

Tak bardzo chciała żyć, być dobrą żoną dla Christoffera, który okazał jej tyle serca i ożenił się z nią. Że też on, ze wszech miar doskonały, chciał poślubić kogoś takiego jak ona, takie zero.

I pomyśleć tylko, że była teraz jego żoną!

Po bolesnym ucisku w piersiach poznała, że źle się z nią dzieje. Gdyby tylko miała dość sił na dalszą walkę!

Ale od samej myśli o wysiłku zakręciło jej się w głowie. W uszach szumiało tak jak zawsze, gdy bliska była utraty przytomności. Może i lepiej, tak bardzo pragnęła zapaść w głęboki sen, czuła się taka zmęczona, tak strasznie zmęczona...

Coś jednak jej w tym przeszkadzało, nie wiedziała co, ale lękliwie wydostała się spod władzy ogarniającego ją snu. Było coś...

Bezwładne ciało odmówiło współpracy, nie chciało znów budzić się do życia, ale Marit dobytej najgłębszych rezerw i ostatkiem sił uniosła powieki. Przyszło jej to z tak ogromnym trudem, że aż zabrakło jej tchu.

Pokój pogrążony był w półmroku. Płonęła jedynie mała lampka na nocnym stoliku.

Ktoś stał w drzwiach. Wysoka postać, na pewno żadna z pielęgniarek.

Anioł Śmierci? pomyślała Marit. A więc tak wygląda? Ale ja nie chcę...

139

Wyteżyła wzrok. Jeszcze nie, błagała w duchu. Jeszcze nie, pozwól mi jeszcze choć raz ujrzeć Christoffera!

Postać się zbliżyła. Marit szeroko otworzyła oczy.

Czy Śmierć jest taka piękna? Nie mogła w to uwierzyć. Tak miło się do niej uśmiechała, odpłynął cały jej lęk.

- Marit - powiedział cicho przybyły. - Uważam, że powinnaś żyć.

Oszołomiona, nie mogła niczego zrozumieć. Co to miało znaczyć? Mężczyzna był ciemny niczym Anioł Śmierci, ubrany w czerń, ale jego słowa nie były posłaniem Śmierci.

- Potrzebujemy cię, Marit - powiedział.

- Jacy „my”? - zapytała schrypniętym głosem.

- Ludzie Lodu. Christoffer pochodzi z rodu Ludzi Lodu, wiesz o tym. Ty jesteś właściwą osobą i dla niego, i dla nas. On jeszcze tego nie rozumie, nie wie, jak ważna dla niego jesteś, ale ty i ja możemy się postarać, byś przeżyła. Chcesz tego?

Ledwie dostrzegalnie skinęła głową. Przestraszyły ją te słowa, których sensu nie mogła zrozumieć.

- Mogę ci pomóc - rzekł nadziemsko piękny mężczyzna - jeśli mi zaufasz i przestaniesz się bać.

Jeszcze raz skinęła głową.

Podszedł do łóżka i odchylił kołdrę, odsłaniając górną połowę ciała Marit.

- Nie bój się - powtórzył. - Zaufaj mi, choć to, co zrobię, może wydać ci się nieprzyjemne.

Przyłożył swe zdumiewająco ciemne dłonie do jej klatki piersiowej. Marit wiedziała, że głód sprawił, iż była płaska jak deska, ale nie zawsze tak było. Miała nadzieję, że on zrozumie.

Dłonie dotknęły jej ciała i zaczęło się dziać coś niezwykłego, coś straszego, czego miała nie zapomnieć do końca swoich dni.

Poczuła ogromną siłę promieniującą z jego rąk w głąb tkanek. Niemal jak od Benedikte, tylko po stokroć potężniejszą. Z dłoni Benedikte biło przyjemne ciepło, dodając jej sił, a to, co działo się teraz, było wstrząsające. Zrozumiała, że mężczyzna prowadzi walkę. Toczy bój ze Śmiercią o jej życie. Tak, tak daleko już bowiem zaszła, że żaden człowiek nie mógł jej uratować.

Ale kim wobec tego, jeśli nie człowiekiem, był on?

140

Dziwna moc, iskrząc, wlewała jej się w ciało, serce waliło jak oszalałe, płuca z trudem chwytaly powietrze. Te fale wywoływały nieznośny ból, przyprawiały o nieludzkie cierpienie, ale choć próbowała krzyczeć, z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Mężczyzna wpatrywał się jej prosto w oczy, jego wzrok przytrzymywał ją oślepiającą, hipnotyczną siłą, ach, taki był piękny i tak przerażający zarazem. Krzyczała i łkała, ale nikt jej nie słyszał, bo jej głos był niemy, jakby on położył na nim swoją pieczęć.

Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób udaje jej się zachować przytomność, bo wszystko nagle stało się mgłą i nieznośnym bólem, słyszała, jak w jej ciele coś kurczy się i prostuje, krew buzuje w żyłach i tętni ogłuszająco, przed oczami latały jej czarne platy, całe ciało bolało tak, jak gdyby zgniatano je między dwoma kamiennymi blokami.

I nagle wszystko ustało. Wrócił spokój, zapadła cisza. Mężczyzna powoli odsunął ręce i nakrył ją kołdrą.

Spod szat wyjął małą flaszkę. Wyciągnął korek i uniósłszy jej głowę, przyłożył

buteleczkę do ust. Dotyk jego dłoni na karku wprowadził ją w oszołomienie, ale posłusznie upiła parę kropel.

- To pożywienie, jakiego w tej chwili potrzebujesz - rzekł łagodnie. Wyprostował się. - Witaj wśród Ludzi Lodu, Marit - powiedział, uśmiechając się ciepło. Szybko podszedł do drzwi i zniknął.

Marit wycieńczona opadła na poduszki. Oddychała, ciężko dysząc, jakby wbiegła na wysoka górę. Ale czuła się wspaniale. Ciało tętniło nową siłą, niespotykaną energią. Była to najbardziej niesamowita, najbardziej nieprawdopodobna kuracja, jaką mogła sobie wyobrazić.

Ale kim był ten człowiek, obdarzony tak niesamowitą mocą?

Czy ośmieli się opowiedzieć o nim Christofferowi? Mówił o Ludziach Lodu. Christoffer i on należeli

do Ludzi Lodu. Co to mogło oznaczać?

Pielęgniarka nie wierzyła własnym oczom, kiedy rano weszła do Marit. Pacjentka spała spokojnie, ale kiedy siostra chciała poprawić jej pościel, chora otworzyła oczy i spojrzała całkiem przytomnie.

- Dzień dobry - powiedziała nieśmiało.

- Co takiego? Masz siłę mówić?

- Tak, mam siłę na więcej - uśmiechnęła się Marit wyciągając ręce. - I jestem głodna!

Okropnie głodna!

- Ale co, na miłość boską...

141

Pielęgniarka wybiegła i powróciła z Christofferem, który właśnie przyszedł do szpitala, i z jeszcze jedną siostrą. Podniecona siostra mówiła tak prędko, że Christoffer nie mógł

zrozumieć, o co jej chodzi. Ale wynikało z tego jedno: Marit ma się lepiej.

Niemożliwe!

Kiedy weszli do chorej, Marit siedziała na łóżku i uśmiechała się nieśmiało na swój charakterystyczny sposób. To ostatnia chwila przed śmiercią, pomyślał Christoffer. Nie wolno mi znów robić sobie płonnych nadziei!

Kiedy jednak osłuchał jej serce i płuca, obejrzał ją dokładnie i zbadał, musiał usiąść, taki był zdumiony.

- Czy Benedikte znów tu była? - spytał.

Marit potrząsnęła głową.

- Czy...

Nie mogła się zdobyć na dokończenie zdania, ale z wyrazu jej twarzy zorientował się, że prosi o rozmowę w cztery oczy. Odprawił pielęgniarki.

- Nie, nie było twej krewniaczki Benedikte. Przyszedł ktoś inny, mężczyzna, który twierdził, że obaj pochodzicie z...

Jak on nazwał ten ród?

- Ludzi Lodu?

- Tak, właśnie tak. I on mnie uzdrowił. To było... to było straszne, kiedy trwało, ale potem napłynął spokój.

Marit wiedziała, że nie potrafi mówić tak ładnie, jak wszyscy inni w szpitalu, ale Christoffer najwyraźniej wcale się tym nie przejmował. Myśli zajęte miał czym innym.

- Nie, to prawda, Benedikte nie mogłaby sobie z tym poradzić - rzekł w roztargnieniu. -

Powiedział, że jest z Ludzi Lodu?

- Tak. Czy ty go znasz?

- Chyba tak. Nie widziałem go od czasu, kiedy byłem dzieckiem, ale... Czy on był ciemny? I przystojny?

- Tak, to najpiękniejszy człowiek, jakiego widziałam. Nie sądziłam, że tacy istnieją.

Powiedział... Powiedział, że... Ludzie Lodu mnie potrzebują!

142

Christoffer w jednej chwili powrócił do rzeczywistości. Podniósł oczy na Marit.

Mój Boże, przecież ona była teraz jego żoną! Poślubił tę kobietę, która wedle wszelkich oznak będzie żyć jeszcze przez wiele, wiele lat! I Marco powiedział, że jest potrzebna Ludziom Lodu?

Ale czy Christoffer jej potrzebował? To kłopotliwe pytanie.

Na razie na pewno nie. Nie jako żonę. Ale nie mógł jej zranić, musiał przyjąć to, co się stało, sam się w to uwikłał z własnej woli, a w jego charakterze nie leżało łamanie raz danych obietnic.

Uśmiechnął się do niej odrobinę wymuszenie i, choć serce w piersi mu zamarło, powiedział:

- To Marco był u ciebie, Marit. Mój daleki krewny. I miał całkowitą rację: potrzebna jesteś Ludziom Lodu, a przede wszystkim mnie. Możesz być tego całkiem pewna. Tak bardzo się cieszę, moja kochana, tak się cieszę! Kiedy nabierzesz sił i będziemy sami, usłyszysz całą historię Ludzi Lodu. Jesteś teraz bowiem jedną z nich.

Ach, Boże, dokąd nas to zaprowadzi? Co ja znów nawyprawiałem? Jak zdołam się wyrwać z tego małżeństwa, nie raniąc biednej dziewczyny? Dzięki Bogu, że nie muszę już myśleć o Lise - Merete, ale i tak przyszłość nie jest wcale przez to mniej skomplikowana. Ani dla mnie, ani dla Marit.

Bo przecież jej nie kochał, a już na pewno nie tak, jak powinno się kochać żonę.

Mijały dni.

Dla pewności postanowiono zatrzymać Marit w szpitalu jeszcze przez jakiś czas, ale przeniesiono ją

znów na ogólną salę. Separatka potrzebna była dla innych pacjentów.

Christoffer odwiedzał ją co dzień i starał się poznać swą żonę bliżej.

Marit okazała się osobą niezwykle prostą i tak nieśmiałą, że było to niemal dokuczliwe.

Christoffer dostrzegał jednak w jej prostocie pewien urok. Czekало ją ogromnie dużo nauki.

Nigdy właściwie nie zrozumiał do końca, co to znaczy żyć w izolacji w małej komorniczej zagrodzie, na pustkowiu, wraz z ojcem tyranem, który nie pozwalał jej otworzyć ust.

Cały czas jednak zwlekał z wypisaniem jej ze szpitala. No, bo co wtedy z nią pocznie?

Sander Brink natomiast opuścił szpital. Rana na dłoni nareszcie zaczęła się goić, mógł wracać do domu z ręką na temblaku.

Odbyli z Christofferem poważną rozmowę, którą Sander zakończył obietnicą, że wkrótce u on także stanie się jednym z członków rodu Ludzi Lodu. Z całego serca bowiem pragnął

poślubić Benedikte, chciał także być ojcem dla swego syna.

143

Sprawa jednak nie przedstawiała się wcale tak prosto. Wiedział teraz, że jego problemy z alkoholem nie są takie dotkliwe, jak przypuszczał, udowodnił mu to długi pobyt w szpitalu.

Tęsknota za mocnymi trunkami minęła szybko i przyrzekł sobie, że od tej chwili będzie okazywał umiar.

Największą przeszkodą do osiągnięcia pełni szczęścia była jego żona. Pomimo że ich małżeństwo funkcjonowało jako tako tylko przez pierwsze miesiące po ślubie, ona nie zgadzała się na rozstanie. O rozwodzie nie chciała nawet słyszeć.

Kiedy powrócił do swego pięknego domu, urządzonego według jej wyszukanego smaku, zatrzymał się przed drzwiami i głęboko odetchnął.

Będzie musiał go opuścić. Miał zamiar pozostawić wszystko żonie, nie miał ochoty tu dłużej mieszkać. Chciał zabrać tylko książki, i tak należące do niego.

Wzruszył ramionami, jak gdyby chcąc zbagatelizować czekające go nieprzyjemności, i wszedł do środka. W drzwiach przystanął. Chłonał atmosferę domu, zapachy, patrzył na meble...

- No, nareszcie jesteś - powitała go żona, która zastanawiała się, któż taki mógł ją odwiedzić, i pospiesznie wybiegła do hallu. - Bardzo nudne jest chodzenie na wszystkie te przyjęcia samotnie, dziś wieczorem także jesteśmy zaproszeni, ale ty fatalnie wyglądasz z tą zabandażowaną ręką. Jeszcze nie zdołali wyleczyć tej rany? Nie możesz tak się pokazać.

Patrzył na swą elegancką żonę i widział ją całkiem nowymi oczyma. Ciemne włosy były równie piękne jak kiedyś, ale twarz rozmiękła, napuchła od zbyt dużej ilości wypitego alkoholu, gdzieś się zatraciła dawna piękna figura. Ale to nie miało takiego znaczenia. Jeśli w młodszej głupocie poślubił najpiękniejszą dziewczynę, jaką spotkał w życiu, powinien dojrzeć na tyle, by kochać ją także, gdy stanęła u progu upadku. Powinien był się nauczyć cenić także jej wewnętrzne zalety. Ale gdzie one się podziały?

Ku swemu przerażeniu odkrył, że nie łączą ich żadne wspólne zainteresowania. Wiedział to naturalnie od dawna, ale prawda nigdy nie objawiła mu się tak jasno i brutalnie.

Tyle zmarnowanych lat...

Ale nie miał przecież do czego odejść. Owszem, prawdę mówiąc, w pierwszych latach małżeństwa zdradzał żonę nie raz i nie dwa (w tym przejawiało się właśnie to, co Benedikte nazwała kiedyś niedojrzałością), ale wszystkie te związki były bardzo przypadkowe.

Uczuciowo nigdy się nie zaangażował.

Czasami zastanawiał się, czy w ogóle potrafi pokochać kogoś naprawdę.

W takich właśnie chwilach jego myśli krążyły wokół Benedikte.

Ona jednak odwróciła się odeń plecami, a to napełniło jego serce kolejną porcją goryczy.

144

- Nie mam zamiaru nigdzie iść dzisiaj wieczorem - oświadczył żonie.

- Ależ musisz, tyle chyba rozumiesz! Jesteś już w domu, nie będę miała żadnej wymówki.

- Hedvig - powiedział spokojnie. - Wielokrotnie rozmawialiśmy o rozwodzie. Tym razem sprawa jest poważna, wyprowadzam się jeszcze dzisiaj.

Ze zdumienia otworzyła szeroko usta, w oczach już zakręciły się łzy. Przedstawienie znów się zaczyna, pomyślał zrezygnowany.

- Nie bądź śmieszny - mówiła Hedvig zduszonym od płaczu głosem. - A może poznałeś tam jakąś prześliczną pielęgniareczkę? Wciągnąłeś ją do łóżka?

- Przestań być wulgarna. Spotkałem moją dawną miłość. I mego syna. Pragnę się nimi zająć.

- Twego syna! - krzyknęła. - Ty przecież nie masz... Nigdy mi o tym nie mówiłeś...

- Nie, ponieważ sam nie wiedziałem o jego istnieniu. Wtedy to Benedikte mnie opuściła, a nie ja ją. Wkrótce poślubiłem ciebie, może był to wyraz sprzeciwu, a może dlatego, że tak bardzo mi się spodobałaś. To pytanie pozostawmy bez odpowiedzi. Ale najprawdopodobniej dlatego, że zostałem odrzucony przez Benedikte. A kiedy ona się zorientowała, że oczekuje dziecka, ja byłem już żonaty.

Dlatego nie mi nie powiedziała, nie chciała niszczyć mojego małżeństwa. Ale z tym sami sobie poradziliśmy.

Hedvig usiadła, mechanicznie zaczęła poszukiwać chusteczki i kieliszka, który zwykle miała w pobliżu. Sander nalał jej sherry z karafki. Wypiła jednym haustem i znów podstawiła kieliszek.

- Rzeczywiście może ci to teraz być potrzebne - rzekł nie bez współczucia. - Hedvig, będziesz mogła zatrzymać prawie wszystko. Zabieram tylko niektóre osobiste rzeczy. I, proszę, uważaj na alkohol! Zawsze mnie to powtarzałaś, a tymczasem problem picia stał się twoim problemem. Jesteś na najlepszej drodze, by stać się alkoholiczką, i w dodatku zaczyna to już być po tobie widać.

- Przestań wygłaszać mi kazania - oświadczyła drżącym głosem. - Nawet jeśli udało ci się sprawić sobie bękarta, mnie to i tak nie obchodzi. Będziesz łaskaw pozostać w małżeństwie, które ze mną zawarłeś. Musisz mieć jakieś poczucie przyzwoitości.

- Nazywasz nasze niby - małżeństwo przyzwoitym? Lepiej chyba, bym nareszcie mógł zająć się moim synem i jedyną kobietą, która mnie kiedykolwiek obchodziła. A poza tym spotkałem ją, zanim poznałem ciebie, nie oskarżaj mnie więc o niewierność i brak moralności! To nieprawda!

Hedvig zaczęła płakać.

145

- Ale przecież nie możesz zostawić mnie samej! Co powiedzą...

- Co powiedzą sąsiedzi? To miałaś na myśli? Na pewno nie zostaniesz całkiem sama.

Odwrócił się, żeby odejść. Jasne było, że Hedvig pragnie jego pocieszenia, kiedy jednak nie zbliżył się do niej, zerwała się z krzykiem i złapała go wpół, potem rzuciła się na kolana i mocno się go uczepiła. Było to tak melodramatyczne, że Sander aż się zawstydził.

- Nie odchodź, Sanderze, nie opuszczaj mnie! Zostań ze mną!

- Hedvig, takie zachowanie nie jest ciębie godne.

- Tylko dziś wieczorem. Proszę, tylko na dzisiaj. Przekonasz się, jaka potrafię być miła, dobra i ciepła. Tylko ten jeden jedyny wieczór.

- Kochana Hedvig - powiedział łagodnie, ale stanowczo. - Nie pozwolę się omotać, jest już na to za późno, czy ty tego nie rozumiesz? O wiele, wiele lat za późno. A poza tym możesz powiedzieć gospodarzom, że jeszcze nie wróciłem.

- Ktoś mógł cię widzieć.

Westchnął zmęczony.

- No, to powiedz, że muszę leżeć w łóżku. Bo pewnie chodzi ci o skandal? Nie potrafisz myśleć dalej

niż jeden wieczór? Jutro udaję się do naszego adwokata.

- Nie! - zawyła niczym zranione dzikie zwierzę. - Nie idź do niego, on jest naszym przyjacielem! A poza tym ja nigdy nie zgodzę się na rozwód, nigdy!

- Ale ja i tak wychodzę powiedział Sander spokojnie. - Nie mam tu nie do roboty, rozdieram tylko swoje serce, i twoje też. Żegnaj, Hedvig. I dziękuję, że tyle ze mną wytrzymałaś!

Zabiorę swoje rzeczy wieczorem, kiedy ciebie nie będzie.

Odszedł. Jej krzyki przez łązy niosły się na podwórze:

- Nigdy nie dostaniesz rozwodu! Do śmierci będziecie żyli w grzechu, aż wreszcie ci się to znudzi! A twój syn przez całe życie pozostanie bękartem!

No cóż, Hedvig nie ma racji, pomyślał Sander. Dostanę rozwód, ale to może potrwać. Nic na to nie poradzę, muszę być wolny.

Sander odszedł. Hedvig, ochrypła od krzyku, miała wrażenie, że nogi nie chcą jej już dłużej nosić. Osunęła się na kolana. Siedziała na podłodze i, zanosząc się od płaczu, szeptała:

- Przecież ja cię kocham, Sanderze, czy ty tego nie rozumiesz? Ale nigdy nie udało mi się do ciebie dotrzeć, zawsze byliśmy sobie obcy. Nigdy nie śmiałam ci powiedzieć, jak bardzo cię

kocham, bo wtedy zyskałbyś nade mną przewagę, a ja tego nie chciałam. Ten, kto bardziej kocha, jest zawsze stroną przegraną. A teraz jest już za późno. Za późno na okazywanie pokory.

Na wpół oślepiąca przez łązy podniosła się do stołu w poszukiwaniu kieliszka. Sięgnęła po niego, ale chybiła, rozbił się na podłodze.

Trzask tłukącego się szkła otrzeźwił ją. Przez chwilę jeszcze siedziała, wpatrując się z przerażeniem w szklane okruchy. Potem wstała i podeszła do lustra.

Drżącymi palcami dotykała twarzy, gładziła, naciskała.

- Mój Boże, jak ja wyglądam - szepnęła przerażona, nie myśląc wcale o śladach pozostawionych przez płacz. Widziała teraz siebie taką, jaką musiał ją widzieć Sander i wszyscy inni. - Boże... - szepnęła.

Tego dnia utraciła bardzo wiele. Ominęła potłuczone szkło, nie patrząc nawet na karafkę z sherry, chwiejnym krokiem przeszła do sypialni i padła na łóżko. Długo leżała, spoglądając w sufit. Nie była pijana, a przynajmniej nie bardziej niż zwykle, lecz po prostu wstrząśnięta tym, co powinna była zrozumieć już bardzo dawno temu: że obrała w życiu złą drogę.

Dwa dni później Sander Brink przybył do Lipowej Alei.

To Benedikte nalegała, by nie zwlekał z przyjazdem. On sam miał wątpliwości, pragnął

najpierw przeprowadzić rozwód, by nie zaszkodzić sławie jej i Andre.

Ale Benedikte opowiedziała już o Sanderze całej rodzinie i wszyscy jej bliscy ciepło go przyjęli. Ojca Benedikte, Henninga, Sander miał okazję spotkać już kiedyś wiele lat temu, gdyż ich ojcowie byli dobrymi przyjaciółmi. Sander poznał teraz Agnetę, która nie była prawdziwą matką Benedikte, i córkę Ulvara i Agnety, Vanję, młodziutką piękność o najdziwniejszym charakterze, z jakim się kiedykolwiek zetknął. Co też ta dziewczyna ukrywa? Taka była jego pierwsza myśl, gdy zobaczył Vanję.

Najwięcej jednak czasu spędzał z Andre. Chłopiec wkrótce się zorientował, że gość szczególnie się nim interesuje, i prędko zostali bliskimi przyjaciółmi. Do Sandera mógł się zwrócić z każdym problemem.

- On jest dla mnie jak ojciec - powiedział pewnego dnia Andre, kiedy stał gotowy do wyjścia do szkoły.

- Bo to jest twój ojciec - spokojnie odparła Benedikte, nie przerywając nakładania synkowi rękawiczek. - Twój prawdziwy ojciec, który do nas wrócił. Do tej pory nie wiedziałam, gdzie on jest. Ale znów się odnaleźliśmy i pobierzemy się, jak tylko będzie to możliwe. A teraz pospiesz się, bo spóźnisz się do szkoły.

147

Tego dnia Andre miał nad czym rozmyślać. Na lekcjach był milczący, nie słuchał, co mówi nauczyciel i bardzo powoli wracał do domu.

Sander, któremu Benedikte powiedziała, że chłopiec wie już o wszystkim, czekał na niego na podwórzu przy pierwszych lipach. Rozłożyste gałęzie nagich drzew czarnym wzorem rysowały się na tle szarego zimowego nieba. Chłopiec nadchodził z drugiego końca alei.

Sander obserwował, jak szedł coraz wolniej, coraz wolniej, aż wreszcie stanął w miejscu.

Sander także nie ruszył się ani o krok.

Wreszcie Andre znów zaczął iść, teraz bardziej zdecydowanie. Kiedy znalazł się już dostatecznie blisko, Sander wyciągnął ręce, zrobił kilka kroków, ale decyzję pozostawił

chłopcu.

Andre był już tuż przy nim. Sander widział, że błyszczą mu oczy. Chłopiec z najwyższym wysiłkiem utrzymywał spokój; widać to było po jego twarzy. Ale potem i on wyciągnął rękę i Sander ruszył w jego stronę. Nic do siebie nie powiedzieli, trzymając się za ręce poszli, by porozmawiać na osobności.

Benedikte obserwująca ich przez kuchenne okno westchnęła głęboko. Otarła oczy i dalej obierała ziemniaki na obiad.

ROZDZIAŁ XIII

- Posłuchaj, Christofferze - powiedział ordynator. - Jak długo właściwie masz zamiar trzymać swą świeżo upieczoną żonę w szpitalu? Prawdę mówiąc, jej łóżko potrzebne nam jest dla nowej pacjentki.

Christoffer drgnął gwałtownie, aż mydło wypadło mu z ręki. Stali tuż obok siebie i myli się po długiej operacji.

- Sam już o tym myślałem - pospieszył z zapewnieniem. - Właściwie miałem zamiar zabrać ją już dzisiaj.

- To doskonale. Naprawdę doszła już do siebie, zaczyna nabierać ciała i rumieńców. Nie ma powodu, by dłużej tu przebywała.

Tylko że ja nie wiem, co z nią zrobić, myślał zdesperowany Christoffer. Zabrać ją do mojego maleńkiego mieszkanca, gdzie nieustannie będziemy sobie deptać po piętach? I gdzie ona będzie spać?

Nic jednak na ten temat nie powiedział, kiwnął tylko głową i obiecał, że wszystko załatwi.

Marit od kilku dni już pozwalano wstawać i chodzić po szpitalu. By była dość silna, kiedy przyjdzie jej się zmierzyć z życiem. To właśnie oświadczył jej Christoffer, a ona tylko potakiwała, wierząc w każde jego słowo. Ale nie dawało się dłużej przeciągać jej pobytu w szpitalu, teraz już musiała go ostatecznie opuścić.

Wiele rozmawiali, ale skrętnie omijali jeden temat - ich dziwne małżeństwo. Christoffer głównie opowiadał o ich domu w Asker, o swych rodzicach i krewnych. Marit słuchała z zachwytem, nie przestając się uśmiechać, odważyła się nawet na pytania o to, jak należy się zachować przy takiej czy innej okazji. Niezwykle chętnie chłoneła wszelką wiedzę, a jej największym zmartwieniem było ubranie, a właściwie łańchmany, w których przybyła do szpitala. Zostały z nich same strzępki. Christoffer poprosił więc młodą pielęgniarkę o to, by kupiła Marit niezbędną bieliznę, ze dwie suknie, płaszcz i inne potrzebne części garderoby.

Dziewczyna dostała na zakupy sporo pieniędzy i razem z koleżanką wybrała się do miasta, gdzie bardzo przyjemnie spędziły czas na chodzeniu po sklepach. Najmilej jednak wspominały chwile, kiedy zachwycona Marit przymierzała zakupioną garderobę.

Christoffer wysłał do władz prośbę o przeniesienie do innego szpitala. Najchętniej podjąłby pracę w Drammen, by być niezbyt daleko od domu.

Odpowiedź przysłało bardzo prędko: serdecznie zapraszano go do pracy, wszak chirurga wszędzie przyjmowano z otwartymi ramionami.

List nadszedł tego samego dnia, kiedy wypisał Marit ze szpitala. Od razu więc skierował się do

ordynatora i wypowiedział pracę, co zresztą wzbudziło wielką sensację, szpital bowiem 149

nie chciał go tracić. Wreszcie jednak uzyskał zgodę, poproszono go tylko, by pozostał

jeszcze przez dwa tygodnie, a później mógł opuścić Lillehammer.

Kiedy wyszedł z gabinetu, Marit czekała na niego w hallu. Choć miała na sobie nowe ubranie i siostry pomogły jej ułożyć włosy, to z oczu wyzierała niepewność, lęk i wiele, wiele ciepła.

Mój Boże, pomyślał. Jaka to piękna kobieta! Ale co ja mam z nią począć?

Wziął jej skromny bagaż i razem wyszli ze szpitala.

- Za dwa tygodnie wyjedziemy stąd - oznajmił z udawaną wesołością. - Dostałem pracę w szpitalu w Drammen, a to znaczy, że będziemy mogli zamieszkać w mojej rodzinnej parafii.

Będę tylko musiał mieć jakiś pokój w pobliżu szpitala, żebym tam mógł nocować.

Wspaniały pomysł, pomyślał. Właściwie mogę tam mieszkać prawie przez cały czas. Ale co ja zrobię przez te dwa tygodnie?

Kiedy weszli do jego mieszkania - Christoffer otworzył jej drzwi i puścił ją przodem, co wprowadziło ją niemalże w popłoch - Marit stanęła w progu.

- Jak tu pięknie!

Pięknie? Omiótł wzrokiem surowy, po męsku zabałaganiony pokój i nie mógł się w nim dopatrzeć niczego szczególnie pięknego. Zaraz jednak przypomniał sobie o jej pochodzeniu.

Niewiele domów miała okazję widzieć w życiu, a już na pewno nie widziała nigdy mieszkania w mieście.

- Dla mnie wystarczy - roześmiał się. - Wejdz do środka, zaraz...

Co wymyślić w tak kłopotliwej sytuacji? Marit dopiero co jadła w szpitalu, gdyby nie to, mogłby przygotować jej kawę, to najlepsze wyjście z sytuacji, kiedy rozmowa się nie klei.

Mówił dalej, lekko spanikowany:

- Myślałem, że mogłabyś rozgościć się w sypialni, a ja będę spał na kanapie... Wiesz przecież, że potrzeba ci jeszcze czasu, by dojść do siebie po chorobie.

Nie odpowiedziała, musiał więc wreszcie na nią popatrzeć. Stała ze spuszczonego wzrokiem, na policzkach wykwitły jej rumieńce wstydu. Uosobienie wiejskiej niewinności. I po prawdzie tym właśnie była.

Christoffer poczuł napływającą czułość. I dla niej ta sytuacja nie była łatwa, właściwie nawet o

wiele trudniejsza.

Wiedziony spontanicznym odruchem podszedł do niej i otoczył ją ramionami. Nie opierała się, ale wyczuł, że ciało jej się naprężyło.

150

I nagle rozjaśniło mu się w głowie, nie miał już wątpliwości, jak powinien postąpić. Był wszak lekarzem, a ona najprawdopodobniej niewiele wiedziała o pożyciu małżeńskim.

- Chodź, usiądź koło mnie na kanapie, Marit, porozmawiamy sobie.

Jak to niemądrze zabrzmiało! Od czasu, kiedy się poznali, nie robili nic innego, tylko rozmawiali.

Zdziwiona pozwoliła podprowadzić się do kanapy, on, nadal po ojcowsku obejmował ją za ramiona.

Christoffer jeszcze chwilę milczał, aż wreszcie zebrał się na odwagę. Słyszał, jak jej serce trzepocze się w piersi.

- Marit, nigdy jeszcze nie byłaś z żadnym mężczyzną, prawda?

Jej serce uderzało coraz szybciej.

- Razem z mężczyzną? - powtórzyła zdziwiona. - Chodzi ci o to, czy miałam starającego?

- Nie, pytam, czy kochałaś się z kimś. Nigdy nie leżałaś z mężczyzną w objęciach?

Że też mówienie o tym jest takie trudne! Ale przecież nie może używać medycznych określeń albo na dodatek jeszcze łacińskich?

Wydawało się jednak, że Marit zrozumiała, o co mu chodzi. Nisko, bardzo nisko opuściła głowę.

- Nie - szepnęła.

Christoffer znów zebrał się na odwagę. Objął ją mocno i kciukiem gładził po policzku.

- Wiesz o tym, że to należy do obowiązków małżeńskich...

- Tak.

- Ale wiesz również, że z tego biorą się dzieci. A tobie na razie nie wolno mieć dziecka. Po tak długiej chorobie jesteś jeszcze za słaba.

Uczyniła drobny ruch jakby w proteście. Jakby chciała powiedzieć: „Ale ja przecież czuję się dostatecznie silna”. Zacisnął szczęki.

- Nie wezmę na siebie takiej odpowiedzialności. Nie mogę cię teraz tknąć, Marit. To mogłoby się naprawdę źle skończyć. Proponuję, byśmy poświęcili te dwa tygodnie na lepsze wzajemne poznanie.

Później opuścimy Lillehammer i zobaczymy, czy nabrałaś sił.

151

Nadal nie podnosząc głowy skinęła nią tylko kilkakrotnie. Było coś w jej postawie, co mówiło mu, że zrobił jej przykrość. Ale nie mogła żądać, by on...

Nagle zrozumiał, czego w tym wszystkim brakuje. Pomimo łagodnego głosu jego wywody brzmiały zbyt trzeźwo.

Powoli, i choć wcale nie niechętnie, to jednak bez zaangażowania, uniósł jej brodę i głęboko popatrzył w oczy. W te piękne, zasmucone i wyrażające bezbronność oczy, które zawsze dotykały w nim jakiejś czulej struny i wyzwalały to, co najlepsze.

Zdołał nawet swoim wzrokiem wyrazić sympatię.

- Z niecierpliwością czekam na ten dzień, kiedy będziesz już dostatecznie silna.

To nie była prawda, wręcz obawiał się tej chwili, lecz nie miał wątpliwości, że bardzo lubi Marit.

Ale ona najwyraźniej znów mu uwierzyła. Uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem, który sprawiał, że jej oczy rozjaśniały się od wewnątrz, i na próbę przysunęła się bliżej niego.

Christoffer mocno ją przytulił i ponad jej ramieniem wyglądał przez okno, obserwując śnieg, który nagle zaczął padać.

Powinienem ją teraz pocałować, pomyślał. Ale nie mogę. A przecież tak namiętnie, tak śmiało całowałem Lise - Merete. Dlaczego teraz nie potrafię zbliżyć się do tej wspaniałej kobiety o gorącym sercu, która ma o wiele więcej do zaoferowania?

Jak się to wszystko ułoży? Tyle ludzi zawiera związki małżeńskie dla korzyści, bez miłości, i jakoś się to plecie. Ale Ludzie Lodu zawsze słuchali głosu uczuć, tego, co podpowiada im serce. Czasami postępowali głupio i nierozważnie, tak jak ja z Lise - Merete. Szczęśliwie wycofałem się w porę. Niestety, na razie nie spotkałem osoby, która byłaby dla mnie właściwa.

Biedna Marit! Moja biedna, krucha żona.

Dwa tygodnie jakoś upłynęły. Christoffer miał sporo pracy w szpitalu, a Marit starała się przyzwyczaić do wszelkich udogodnień, jakie znajdowały się w miejskim mieszkaniu.

Christoffer nauczył ją, że po posiłkach powinno się zmywać, a nie wylizywać talerza do czysta, musiał nauczyć ją także, co się robi ze śmieciami - nie należy wyrzucać ich przez okno, bo poniżej jest ulica, a nie podwórko, gdzie kury i świny uprzątą resztki. Marit nie wiedziała także, co to żelazko - w Grodzisku, jeśli w ogóle już prasowali, używali do tego płaskiego kamienia, z mydła nauczyła się korzystać dopiero w szpitalu, za to piec potrafiła.

Co prawda bez drożdży, ale i co do tego Christoffer potrafił udzielić jej wskazówek. Jego

nowoczesny piec bardzo jej zaimponował i wreszcie, po wielu próbach, nauczyła się wkładać do środka odpowiednią ilość drewna.

152

Raz odeszła od niego i ukryła się w sypialni na tak długo, że wreszcie musiał po nią pójść.

Znalazł ją we łzach, które na próżno starała się powstrzymać.

- Ależ, Marit - rzekł łagodnie, ujmując ją za łokcie. - Co się stało?

Ledwie mogła wydusić słowa.

- Obiecałam sobie... że będę dla ciebie... dobrą żoną - szlochała. - A ja niczego nie potrafię!

Do niczego się nie nadaję! Nawet gotować nie umiem. Umiem tylko przyrządzić owsiankę.

- Och, Marit, Marit - powiedział czule. - Czy nie mówiłem ci, jak bardzo cieszą mnie czyste ubrania, których nie muszę sam prać, albo jak wspaniale jest wracać do domu, gdzie czeka już nakryty stół, i że w mieszkaniu wszystko jest tak czyste i wyszorowane, że czasami aż się boję, że zedrzesz farbę i lakier? Kochana moja, tak chętna jesteś do nauki, słuchasz z taką uwagą, w takim napięciu i tak bardzo się starasz, robiąc coś po raz pierwszy! Że też wcześniej nie powiedziałem ci, jak bardzo to wszystko cenię! Wybacz mi, proszę, wybacz, moja kochana, to nieprawda, że się do niczego nie nadajesz, jesteś wspaniała, wprost zachwycasz mnie zdolnością przystosowania się do nowego życia i tym, jak się zajmujesz moim domem.

„Moim domem”, tak powiedział. Na miłość boską, ile jeszcze ta biedaczka będzie musiała znieść?

- To teraz jest nasz dom - mruknął jej prosto do ucha, bo płakała i szlochała tak gwałtownie, że inaczej wcale by go nie usłyszała. Długo ją obejmował, szepcząc: „Dobrze już, dobrze”, aż wreszcie odetchnęła drżąc i podniosła głowę.

Christoffer wyciągnął z kieszeni chusteczkę i poprosił, by się umyła, a on w tym czasie przygotowuje kolację. Protestowała, ale wreszcie się zgodziła.

- Chcę wrócić do domu - szepnęła żałośnie.

- Do domu? O czym myślisz?

- Nie nadaję się do ludzi. Nie potrafię się zachować. Tak bardzo się ich boję, boję się, że popełnię jakiś błąd. Że ktoś się na mnie rozgniewa. Że... Nie, już nic.

Christoffer domyślał się, że miała zamiar powiedzieć coś o nim, ale był zbyt tchórzliwy, by spytać. Nie potrafił dać jej odpowiedzi, którą tak bardzo chciałaby usłyszeć.

Z udawaną wesołością zaofiarował się, że nauczy ją zachowania między ludźmi, sposobu rozmawiania z nimi. Marit odrobinę się rozjaśniła i choć nadal była zasmucona, podziękowała mu

serdecznie za jego życzliwość i cierpliwość.

- To wcale nie przejaw mojej cierpliwości, Marit, to radość dla mnie móc czegoś cię nauczyć.

Zacniemy od jutra, dzisiaj oboje jesteśmy na to zbyt zmęczeni.

153

Pomysł okazał się bardzo dobry. Wieczorami albo wtedy gdy miał wolne odbywali długie lekcje. Prawdą jednak było, że Christoffer, będąc w domu, przede wszystkim spał. Cały czas czuł się zmęczony, rozumiał, że to reakcja po długim okresie trudnej i odpowiedzialnej pracy, a także po ostatnich, jakże zaskakujących wydarzeniach.

Wreszcie nadszedł dzień odjazdu.

Christoffer nie miał żadnych wieści od rajcy Gustavsena od czasu aresztowania Lise -

Merete, ale kiedy szli z Marit na stację, spotkali pana i panią Gustavsen. Gustavsenowie natychmiast przeszli na drugą stronę ulicy. Tym lepiej dla mnie, pomyślał Christoffer, bo jak miałby wyjaśnić Marit, kim są? Ciągłe jeszcze nie zdradził jej historii Lise - Merete, cały czas to odkładał, nie wiedział, czy kiedykolwiek zdecyduje się jej o tym powiedzieć. Uznał, że nie wolno jeszcze bardziej obciążać Marit, niszczyć tej odrobiny pewności siebie, zbudowanej na tak kruchych podstawach. Sprawiłby jej tylko ból, a i bez tego już było nie najlepiej.

Kiedy pociąg nareszcie ruszył ze stacji, Christoffer mimowolnie odetchnął z ulgą. Skończyła się pewna epoka w jego życiu.

Podróż mijiała spokojnie. Dla Marit wszystko było takie nowe, wszystkim tak bardzo się interesowała, a on obserwował ją z rozbawieniem. Wielką radość sprawiało mu pokazywanie jej i objaśnianie świata. Odkrył, że potrafią się śmiać razem i że nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo przez ten czas udało im się ze sobą zaprzyjaźnić.

Ale myśl o tym, co jeszcze ich czeka, nadal paraliżowała Christoffera.

Wkrótce nadejdzie chwila, kiedy nie da się już dłużej tego odkładać.

Czy w ogóle można iść do łóżka z kobietą, której się nie kocha? Dużo nad tym rozmyślał.

Czy uda się to z osobą, wobec której człowiek czuje się trochę obco? Czy nie zakończy się to kłopotliwym dla obojga fiaskiem?

Jasne było, że nie może odsuwać tego w nieskończoność. Tak głęboko nie może zranić Marit.

Rodzice napisali list, w którym dawali wyraz radości z jego małżeństwa i serdecznie zapraszali synową. Nieco zamieszania sprawiła najwyraźniej wiadomość, że panna młoda zmieniła nagle imię i nie nazywa się już Lise - Merete Gustavsen, lecz Marit z Grodziska.

Przygotowali jednak dla nich tymczasowe mieszkanie i planowali wydać wielki spóźniony obiad weselny dla całego rodu.

Tak, dla całego rodu. Wszyscy będą ich oczekiwać, kiedy przyjadą do domu. Wszyscy, oprócz tajemniczego Marca.

Ludzi Lodu nie było wielu. Rodzina Malin: Per, Christoffer i Marit. Henning i jego druga żona, Agneta. Córka Henninga z pierwszego małżeństwa, Benedikte. Córka Agnety i Ulvara, 154

Vanja. Syn Benedikte, Andre, i jeszcze ojciec chłopca, Sander Brink. Christoffer cieszył się bardzo na spotkanie z Sanderem, polubił bowiem tego sympatycznego człowieka.

Los ciężko doświadczył ród Sagi. Ulvar nie żył, jego córka Vanja miała co prawda troskliwą opiekę, ale działo się z nią coś tajemniczego, rodzina zgodnie twierdziła, że nie wszystko jest tak, jak być powinno. No i gdzie mógł być Marco, ten najdziwniejszy z synów Ludzi Lodu? Wydawało się, że w jakiś sposób wie, kiedy krewniacy go potrzebują. Pomógł już trojgu z nich: Benedikte w Fergeoset, Andre po drodze ze szkoły do domu i złożonej chorobą żonie Christoffera, Marit. Wyrwał ją ze szponów Śmierci.

Christoffer był nieco rozczarowany, że nigdy jako dorosły nie spotkał Marca. Chciał zadać mu tak wiele pytań.

Ale być może na te pytania nie było żadnej odpowiedzi? Może ich zrozumienie wykraczało poza ludzką zdolność pojmowania?

Tego Christoffer nie wiedział.

Im bardziej zbliżali się do rodzinnych okolic Christoffera, tym bardziej milcząca stawała się Marit.

Wreszcie zasiadła sztywno, z dłońmi splecionymi na podołku. Cała jej postawa zdradzała lęk.

Dobry Boże, modliła się w duchu. Spraw, aby mnie polubili. Nie znają mnie, a ja pojawię się tak nagle jako żona ich syna. Jestem im obca, jestem nikim, jak mam się zachować? Co powiedzieć? Boję się o to pytać Christoffera. I tak już zbyt wiele pytań mu zadaję.

Włosy, które pielęgniarki uczyły mnie układać, zaraz opadną, a ja nie potrafię ich uczesać, w każdym razie nie tutaj. A nie mogę o to prosić Christoffera.

Mój mąż.

To takie niezwykle uczucie. Nienaturalne. Przecież ja nie mam prawa mieć męża. Ojciec zawsze powtarzał, że mnie nie wolno nikogo poślubić, muszę zostać w domu i zajmować się nim.

Ale jego już nie ma.

A już na pewno nie mam prawa mieć tak wspaniałego męża, jakim jest Christoffer. Z całkiem innego świata niż mój, ze świata, o dotarciu do którego nigdy mi się nawet nie śniło, ba! nie wiedziałam

nawet, że on istnieje. A teraz jestem żoną Christoffera, doktora Christoffera Voldena... Nie mogę tego zrozumieć.

Ach, jakże trudno jest rozpoznać, co w życiu dobre, a co złe.

155

Marit ukradkiem zerknęła na Christoffera. Wyglądał przez okno pociągu, nie spuszczał wzroku z migających krajobrazów w poszukiwaniu znajomych miejsc. Ten dom... A tam wycięli las. Nowa droga.

Christoffer.

Tak bardzo ją bolało...

Głód.

To uczucie wywoływał w niej od samego początku. Tęsknotę tak silną, że dała się przyrównać do głodu. Dławiące pragnienie, by mogła coś dla niego znaczyć i aby on także jej potrzebował. Chciała być z nim przez cały czas, stale słuchać jego głosu, obserwować gesty, kiedy do niej mówił, być przy nim blisko, bardzo blisko. Wszystkie te uczucia, myśli i instynkty przeobraziły się w rozdzierający ból w brzuchu, który, jeśli potrwa dłużej, niechybnie spowoduje wrzód żołądka.

Niepewność. Strach, że go utraci, że nie spełni jego oczekiwań. A później patrzeć na zawód, na pogardę, na gasnące zainteresowanie, bolesna świadomość, że się nie udało.

Jak ona to zniesie? Co on z nią zrobił?

I znów powróciło pytanie, które zadawała sobie tysiące razy:

Dlaczego on się ze mną ożenił?

Czy wszyscy świeżo upieczeni małżonkowie zadają sobie takie pytanie? Wiecznie doszukują się półtonów w głosie, oznak odwzajemnianej miłości, właściwego sposobu postępowania?

Dlaczego zachowuje się z taką rezerwą?

O, tak, bardzo był życzliwy, okazywał jej tyle troski, niczego nie mogła mu zarzucić, ale...

Nagle Christoffer wstał.

- Niedługo już będziemy na miejscu - oznajmił.

Krew uderzyła jej do głowy. Poderwała się tak gwałtownie, że potknęła się o niego, nie wzięła pod uwagę kołysania posągu. Christoffer, szepcząc coś zabawnego, pomógł jej, pólężącej na twardym drewnianym siedzeniu, podnieść się z tej upokarzającej pozycji.

Na miejscu... Spotkanie z jego rodziną... Jak ja wyglądam, jak się to wszystko potoczy?

myślała przerażona. Wyglądziła granatowy płaszcz, poprawiła kapelusz. Czuła się w nim śmiesznie, ale pielęgniarki twierdziły, że koniecznie musi go założyć, jeśli chce naprawdę porządnie wyglądać. A ona, rzecz jasna, bardzo tego chciała.

156

Nerwowo otarła usta na wypadek, gdyby przylepił się do nich jakiś okruszek po posiłku, który zjedli już dawno temu. Przesunęła językiem po zębach, wszystko najwyraźniej w porządku. Chciała iść do toalety, ale nie miała odwagi wychodzić drugi raz, czuła, że powinna, ale to pewnie tylko nerwy. Odchrząknęła, sprawdziła buty, starła z nich jakiś niewidoczny pyłek. Och, jakże mocno biło jej serce!

Christoffer wyniósł bagaże. Jej pozostała tylko mała torebka, ale i ją zdołała upuścić, nie mogła się bowiem zdecydować, w której ręce powinna ją nieść.

Zdenerwowanie zmąciło jej wzrok, płacz dusił w gardle, dłonie drżały, ale dzielnie dreptała za Christofferem i innymi ludźmi rozciągniętymi w długim rzędzie. Pociąg coraz bardziej zwalniał bieg.

Dławiła ją rozpacz. Ach, gdybym była piękną, pewną siebie, zwyczajną świata młodą damą, a nie Marit z Grodziska, którą przez całe życie traktowano gorzej od parszywego psa!

Ludzie w korytarzu zatrzymali się, a pociąg przystanął z ostrym szarpnięciem. Marit uczepiła się płaszcza Christoffera i tylko dzięki temu zdołała się uratować przed kolejnym ośmieszającym upadkiem. Christoffer odwrócił się i zachichotał. Opętana przerażeniem nie potrafiła ocenić, czy uśmiech ten wyrażał przyjazne zrozumienie, czy też drwinę połączoną z irytacją.

Ale taki Christoffer przecież nie był.

A mimo wszystko nigdy jeszcze do tej pory nie odczuwała tak silnie, że nie powinna znaleźć się w tym miejscu razem z nim.

Wyszli na zaśnieżony zimowy świat, ale powietrze było tu łagodniejsze niż w Lillehammer.

I... znana twarz! Z piersi Marit dobyło się westchnienie ulgi. To ta miła kobieta, która była u niej w szpitalu i uzdrowiła ją dotykem swoich dłoni! Benedikte, tak mówił o niej Christoffer.

I jeszcze mały chłopczyk. Wiedziała, że to syn Benedikte, Christoffer opowiedział jej historię Benedikte i Sandera. Dzięki temu ta rośla kobieta była teraz bliższa Marit, stała się bardziej ludzka. Przepaść, jaka je dzieliła, wyraźnie się zmniejszyła.

- Witaj - powiedziała Benedikte i spontanicznie uściskała Marit. - Uznaliśmy, że Andre i ja powinniśmy wyjść po was na dworzec, żebyś nie czuła się tak obco.

Wszystko nagle stało się takie wspaniałe, takie bezpieczne, to na pewno dziwny wpływ Benedikte. Usadowili się w powozie i ruszyli przez elegancką dzielnicę wspaniałych willi.

- To Asker - wyjaśnił Christoffer.

Po dość długo trwającej podróży, podczas której Andrenie przestawał mówić o przyjęciu, jakie ich czeka w Lipowej Alei, nareszcie dotarli do rodzinnej parafii Christoffera.

157

- Tam na górze leżało Grastensholm - wskazał. - Opowiadałem ci o nim.

Marit kiwnęła głową. Wspaniały dwór przemienił się w zamek duchów.

- A tam jest kościół. Niemal wszyscy nasi przodkowie spoczywają na tym cmentarzu. Władze miały zamiar zrównać cmentarz z ziemią, ale moja matka Malin zdołała temu zapobiec.

Wtedy właśnie spotkała mojego ojca - uśmiechnął się Christoffer.

Benedikte wyciągnęła rękę:

- A tam nad morzem... Widzisz ten stary, zniszczony dom między dwiema olśniewająco nowymi willami? To Elistrand, wymknął się z rąk naszego rodu. Ale jesteśmy już przy domu rodziców Christoffera. Przyjdźcie do nas na ósmą, kiedy już trochę wypoczniecie.

Serdecznie zapraszamy, to na waszą cześć wydajemy przyjęcie.

Powóz pojechał dalej, Christoffer i Marit zostali sami przy furtce do ogrodu zadbanej willi.

Nadbiegł ku nim rozszczekany pies.

- Tufs, chodź się przywitać! To tylko ja, a to Marit. Ona też jest jedną z nas.

Marit została starannie obwąchana i zaakceptowana. Zawsze wiedziała, że ma dobrą rękę do zwierząt. W każdym razie mam tu przynajmniej jednego przyjaciela, pomyślała.

Ale przecież miała ich więcej ! Christoffera i Benedikte, i...

Na schodach stało dwoje ludzi. Rodzice Christoffera.

Serce Marit waliło mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi.

- To wasza synowa, Marit - przedstawił ją Christoffer.

Usłyszała napięcie w jego głosie. I on także niepokoił się, jak wypadnie spotkanie.

Dama zeszła po stopniach na dół i wyciągnęła rękę do Marit.

- Witaj !

Marit dygnęła. Matkę Christoffera gest ten wzruszył niepomiernie i serdecznie uściskała synową.

Malin, matka Christoffera, pomimo niemal całkiem siwych włosów wydawała się osobą młodą. Stanowczą, ale o bardzo łagodnych oczach, tak podobnych do oczu Christoffera, i bardzo, bardzo miłą.

Marit natychmiast ją polubiła. Ojciec, Per Volden, był bardziej surowy, bardziej oficjalny, urzędnik, który zna się na rzeczy. Jego Marit może trochę się przestraszyła, ale uśmiechnął

158

się do niej szeroko i stwierdził, że Christoffer miał wiele szczęścia, że udało mu się ją znaleźć.

Marit pokraśniała, spragniona pochwał chłonęła je tak jak sucha gąbka chłonie wodę.

Bardzo jej teraz były potrzebne.

Dopiero w tym momencie naprawdę dotarło do niej, jak wysoki i szczupły jest Christoffer.

Ojciec nie był wcale niski, a syn przewyższał go o głowę. Jakież on przystojny, jej Christoffer!

Co też ona myśli? Jej? Zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

- Wejdźcie do środka - zapraszała Malin. - Uff, taka jestem zdenerwowana, co będzie, jeśli nie spodoba ci się nasz dom?

- Malin przez cały dzień nie mogła się uspokoić - zdradził im Per Volden. - Obawiała się, że nas nie polubisz.

Marit przystanęła w pół kroku.

- Ale... ale to przecież ja o tym myślałam przez cały dzień! Tylko odwrotnie, rzecz jasna.

Malin wsunęła jej dłoń pod ramię:

- Wobec tego chyba świetnie się rozumiemy.

Ale w hallu Marit zaniemówiła. A więc to jest rodzinny dom Christoffera? Taki piękny, taki przytulny!

Znów przytłoczyło ją poczucie własnej niższości, na nowo poczuła „wrzód żołądka”.

- Teraz napijemy się kawy, a potem zaprowadzę was do waszego nowego domu. To mała willa Nilsena, znasz ją, Christofferze.

- Naturalnie - odparł.

- Przewieźliśmy tam trochę mebli, stąd i z Lipowej Alei, żebyście mieli od czego zacząć.

Później będziecie mogli je uzupełnić albo wymienić. Podarowaliśmy wam też nasze małżeńskie łóżce,

uznaliśmy, że będzie wam odpowiadać. Nie jest zbyt szerokie, ale nowo poślubieni lubią sypiać ciasno.

Czy Christoffer westchnął, czy też Marit tylko tak się zdawało?

Malin ciągnęła:

- To łóżko z tradycjami. Per i ja byliśmy w nim bardzo szczęśliwi.

159

- Ty się na nim urodziłeś, Christofferze - uśmiechnął się Per.

- I prawdopodobnie na nim także zostałeś poczęty - mruknęła Malin, wychodząc do kuchni, by sprawdzić, czy kawa jest już gotowa.

Per dalej pokazywał im dom. Christoffer i Marit nie mieli odwagi spojrzeć na siebie. Marit, wyczulona na nastroje męża, zauważyła, że poczuł się bardzo nieswojo.

Sprawiło jej to ogromną przykrość, miała wrażenie, że w pasie ściskają ją żelazne obcęgi.

A wszystko to przez kilka mimochodem rzuconych zdań o zbyt wąskim małżeńskim łóżu.

Boże, prosiła Marit w duchu, spraw, by on mnie choć odrobinę pokochał. Zdejmij mu z twarzy ten wyraz udręki, tak się tego boję!

160

ROZDZIAŁ XIV

- A to wasze nowe gniazdko - oznajmiła Malin i otworzyła drzwi do domu, od lat niezmiennie nazywanego „małą willą Nilsena”. Nilsen nie żył już od dawna, a mieszkający w Christianii spadkobiercy zwykle wynajmowali posiadłość. Teraz akurat stała pusta, Per i Malin natychmiast skorzystali więc z okazji i wynajęli ją dla Christoffera i jego niedawno poślubionej żony.

Christoffer rozejrzał się dookoła. Rozpoznawał meble i inne domowe sprzęty pościągane z różnych stron. Dla niego były one wspomnieniami z dzieciństwa, dla Marit - absolutną nowością. Ale sądząc po jej zachwyconych westchnieniach, musiały jej się podobać.

Willa wcale nie była duża. A kanapy rodzice nie zdążyli jeszcze wyczarować, więc Christoffer w narastającej panice nie miał innego wyjścia, jak tylko przyznać w duchu, że będzie musiał dzielić z Marit łóże już pierwszej nocy. Nie mógł przecież położyć się na podłodze, zbyt wyraźnie by okazał, że jej nie chce.

Kiedy Marit oglądała poddasze, Malin wykorzystała okazję, by zamienić z synem kilka słów na osobności:

- Sliczna dziewczyna, Christofferze. Czarująca! Per też tak sądzi. Ale nie spodziewaliśmy się po tobie takiego wyboru, myśleliśmy, że ona pochodzi z wyższych sfer. A tymczasem Marit z pewnością się do nich nie zalicza. Dzięki Bogu, o wiele łatwiej jest się porozumieć z ludźmi jej pokroju. Ale muszę ci powiedzieć, że nie do końca rozumiem...

- Ciiicho, później ci to wyjaśnię. Teraz powiem ci tylko, że tamta panna z elity okazała się fatalną omyłką. Na szczęście zorientowałem się na czas.

Malin pokiwała głową.

- Bardzo się z tego cieszę. Benedikte także ciepło wyrażała się o Marit.

- Benedikte ocaliła jej życie. Raz. Pierwszy raz ja ją uratowałem. Potem Benedikte. A w końcu, już naprawdę, Marco. Trzykrotnie Marit była bliska śmierci. Trzykrotnie ocalili ją Ludzie Lodu. Wydaje się, że tkwi w tym jakiś zamysł.

Malin nie słuchała go do końca, zatrzymała się na jednej informacji:

- Marco?

- Tak. Powiedział Marit, że Ludzie Lodu jej potrzebują.

W tym momencie usłyszeli jej kroki dobiegające z wąskich schodów wiodących na strych i zaczęli mówić o czym innym. Ale Malin, przez cały czas gdy przebywała z młodymi, miała na twarzy wyraz zamyślenia.

161

Z wybiciem ósmej stawili się w Lipowej Alei i Marit została przedstawiona pozostałym członkom rodziny.

Dowiedziała się, że rosły, dobroduszny, emanujący spokojem mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat to Henning Lind z Ludzi Lodu. Polubiła go od pierwszego wejrzenia, i nic w tym dziwnego, Henning nie miał na świecie ani jednego nieprzyjaciela. Był ojcem Benedikte.

Prawdę mówiąc Marit miała sporo kłopotów z połapaniem się, jakie więzy pokrewieństwa łączą poszczególnych członków rodziny. Żoną Henninga była przemiła kobieta - córka pastora, Agneta. Benedikte i Andre już znała i bardzo się cieszyła, że znów ich widzi.

I jeszcze Sander Brink z ręką na temblaku. Christoffer obiecał, że po obiedzie obejrzy jego ranę. Sander był niezwykle czarującym mężczyzną, jak stwierdziła Marit, ale w jej oczach Christoffer był po stokroć przystojniejszy. To naturalnie rzecz gustu, a poza tym Marit patrzyła na męża przez pryzmat uczucia, a wówczas trudno jest być obiektywnym.

W Lipowej Alei mieszkała jeszcze jedna osoba, niezwykle piękna młoda dziewczyna,

„młodsza siostra” Christoffera, Vanja. Córka Agnety i jednego z Ludzi Lodu, o którym Christoffer

najwyraźniej nie miał ochoty mówić.

Marit nigdy nie spotkała równie zachwycającego stworzenia jak ta siedemnastolatka, krucha i eteryczna niczym promienie księżycy wśród połyskujących nitek pajęczej sieci w letnią noc.

W jej oczach jednak czaił się nieopisany strach jak u ściganego zwierzęcia. Vanja miała przepiękne, bujne włosy o odcieniu ciemnej miedzi, skórę tak delikatną, że wydawała się prawie przezroczysta, a jej ruchy przywodziły na myśl taniec elfów.

Ale, ach! jakaż ona nieszczęśliwa, pomyślała Marit. Chociaż nie, nie jest nieszczęśliwa.

Zmieszana, a zarazem podniecona, zdenerwowana, jakby czuła się czemuś winna, cały czas czujna. Marit bardzo się tym zdumiała, i zresztą nie ona jedna. Młodziutka Vanja rozsiewała wokół siebie niepokój, tyle Marit potrafiła wyczuć.

Wraz z nimi do Lipowej Alei przyszli także Per i Malin, a także pies Tufts, który, o dziwo, ani na krok nie odstępował krzesła Marit. (A zresztą może to wcale nie takie dziwne, Marit raz po raz podsuwała mu co lepsze kąski. Nie miała pojęcia, że psa nie powinno się karmić przy stole, ale nareszcie znalazła kogoś, komu bez skrępowania mogła okazywać swą sympatię.) Bez względu jednak na to, jak bardzo starali się jej okazać, że traktują ją jak równą sobie, nie mogła się pozbyć wrażenia, że jest jak szary wróbel wśród łabędzi. Oni nic nie wiedzieli o jej dorastaniu, o trudnym życiu na Grodzisku, o resztkach ziarna zmiatanych z podłogi w latach nieurodzaju, o ciosach i kopniakach, jakie wymierzał jej ojciec, ani o strasznej propozycji, którą jej kiedyś uczynił. Burkliwie prosił, by pomogła mu w potrzebie, od dziesięciu lat już nie miał kobiety, byli przecież sami i nikt nie musiał się dowiedzieć o tym, co robią. Tylko ten jeden raz Marit naprawdę mu się sprzeciwiła. Uciekła z domu, całą noc spędziła chodząc po lesie, czuła się chora, myślała, że jest bliska śmierci. Następnego dnia wieczorem wróciła do domu i zapowiedziała, że jeśli jeszcze raz ośmieli się o tym wspomnieć, opuści go na zawsze. A gdy będzie ją chciał powstrzymać, wbije mu nóż w 162

ciało. Stary zrozumiał chyba, że córka mówi poważnie, bo zamknął się jeszcze głębiej w swej skorupie i od tej pory już do końca nie znalazł dla niej dobrego słowa. Nigdy zresztą nie był dla niej miły, ale dotychczas przynajmniej udawał obojętność, natomiast po tym wydarzeniu wypowiedział jej otwartą wojnę i Marit nieustannie musiała się pilnować.

Zastanawiała się, co oni by powiedzieli, gdyby poznali całą prawdę.

Mimo wszystko jednak obiad był cudownym wydarzeniem. Wydano go na cześć Marit i rzeczywiście nie przestawano jej okazywać zainteresowania. Wygłoszono mowy powitalne, w których życzo jej i Christofferowi szczęścia, częstowano winem, a wszyscy byli tacy dobrzy, tacy życzliwi, że Marit w oczach kręciły się łzy.

Byłaby najszczęśliwszą osobą pod słońcem, gdyby nie jeden szczegół: Christoffer wcale nie wyglądał na szczęśliwego. Jego myśli krążyły wokół czegoś nieprzyjemnego, nie miała co do tego żadnych wątpliwości, jej intuicja bowiem, gdy chodziło o niego, była zupełnie wyjątkowa.

Miała wrażenie, że Christoffer myśli o przyszłości. I cierpi.

Marit nie chciała zadawać sobie pytania, dlaczego. Brakowało jej odwagi.

Kiedy już siedzieli przy deserze, a miękka ciemność otuliła stary dom, rozległo się pukanie do drzwi wejściowych.

Wszyscy przerwali jedzenie, popatrzyli po sobie.

- O tej porze? - zdumiał się Henning. - Oby tylko nie żadna zła nowina.

Agneta wstała i wyszła do hallu. Dobiegł ich czyjś głęboki głos i jej zdziwiony okrzyk.

Agneta wróciła do gości.

- Marco - oznajmiła bez tchu.

Kiedy przechodził przez drzwi jadalni, musiał pochylić głowę. Z wyglądu i postawy - młody bóg. Niełatwo było ocenić jego wiek, ale musiał mieć teraz czterdzieści lat. Usłyszawszy jego imię wszyscy poderwali się od stołu, rozmaicie reagując na jego przybycie.

Marit nie posiadała się ze szczęścia, że znów może zobaczyć tego, który ocalił jej życie; i nareszcie mu podziękować.

Christoffer nie widział go od czasów dzieciństwa, a Vanja nigdy go jeszcze nie spotkała.

Wpatrywała się w niego z wypiekami na twarzy.

Marco przemówił głębokim, melodyjnym głosem:

163

- Słyszałem, że zebraliście się tu wszyscy, dlatego przybyłem, by jeszcze raz się z wami zobaczyć. Henningu, mój najdroższy przybrany ojciec, jak wspaniale znów cię widzieć! I Malin, ty przecież wychowywałaś mnie i mego brata razem z Henningiem...

Malin podeszła do gościa i mocno go uściskała. Oparła głowę na jego ramieniu i płakała ze wzruszenia.

- Dlaczego tak długo cię nie było?

Marco tylko uśmiechnął się ze smutkiem. Henning odsunął Malin i dwaj niemal równi sobie wiekiem mężczyźni serdecznie się objęli.

- Bardzo za tobą tęskniliśmy, Marco - powiedział Henning.

- A ja za wami. Widzę, że jest i Andre - ucieszył się Marco. - Poznajesz mnie?

- O, tak. - Andre zaparło dech w piersiach. Od czasu tajemniczego spotkania na drodze ze szkoły

bardzo pragnął spotkać bohatera swoich marzeń.

- Widzę, że Benedikte i Sander nareszcie się odnaleźli - uśmiechnął się Marco. -

Wiedziałem, że tak będzie. Miło widzieć was razem. A tu mamy... moją najbliższą krewną, moją bratanicę, Vanję.

Dziewczyna drżała na całym ciele. Wszyscy mieli wrażenie, że Vanja ucieknie z pokoju, ale z najwyższym trudem udało jej się nad sobą zapanować. Matco ujął jej twarz między ciemne dłonie.

- Jakaś ty piękna - szepnął łagodnie. - Ale też i jesteś wnuczką Sagi i... mego ojca.

Przyglądał jej się długo, badawczo, ale ona nie była w stanie spojrzeć mu prosto w oczy.

Wreszcie ją puścił.

Wszyscy po kolei witali się z Markiem, Marit także podziękowała za ostatnie spotkanie, a on ucieszył się, że widzi ją wśród rodziny. W końcu fala podniecenia opadła, mogli znów usiąść i spokojnie pogawędzić. Agneta pospiesznie przyniosła nakrycie dla Marca, podając mu przystawkę i główne danie, choć i ją także dręczyła ciekawość.

- Ale gdzieś ty się podziewał? - dopytywała się Malin.

Marco dyskretnie otarł usta serwetką, a potem uśmiechnął się ujmująco i odrzekł:

- Bardzo daleko, a jednocześnie bardzo blisko.

Więcej nic nie chciał powiedzieć na ten temat, Henning jednak nie dawał za wygraną.

164

- Pomogłeś już trojgu z nas. Pojawился się jakby znikąd i uratowałeś Benedikte, Andre i Marit.

Skąd wiedziałeś, że oni cię potrzebowali?

Marco spojrział na nich ze smutkiem w oczach.

- Nie zapominajcie, kim jest mój ojciec. Mam swoich pomocników, zwiadowców.

- Czarne anioły? - cicho zapytał Henning.

- W tym przypadku nie. Marit, pamiętasz sikorkę, która przylatywała do twego okna?

- Ach, oczywiście - Marit ożywiła się na to wspomnienie.

- Andre, a ty pamiętasz, że tego dnia, kiedy się spotkaliśmy, krążył wokół ciebie pies?

- Przy bramie szkoły? Tak.

- Ty, Benedikte, pewnie tego nie zauważyłaś, ale w pobliżu Fergeoset biegał łoś...

- Ależ tak, nawet go widzieliśmy - wtrącił Sander.

Marco kiwnął głową.

- To moi pomocnicy, wybrani specjalnie po to, by was strzec. Każde z was ma zwierzę, które przekazuje mi wiadomości.

Malin podniosła głowę.

- Tufs?

- Oczywiście! On jest „strażnikiem” twoim i Pera. Na ogół jednak korzystam z pomocy ptaków, im najłatwiej się przemieszczać.

- Mną opiekuje się kruk - powiedziała zamyślona Vanja. - Prawie codziennie widzę, jak krąży nad domem.

- To prawda, a wy, pozostali, jak się dobrze zastanowicie, na pewno także potraficie powiedzieć, jakie zwierzę troszczy się o was.

- Stary Siwek i ja wyjątkowo dobrze się rozumiemy - powiedział Henning.

- Tak, ty masz konia. Często korzystam z pomocy przypadkowych zwierząt, tak jak na przykład w Fergeoset. Właściwie nie powinienem wam tego mówić, ale być może miło to wiedzieć. Proszę tylko, nie myślcie o tym zbyt wiele, pozwólcie zwierzętom swobodnie się poruszać tak jak przedtem, tak będzie najlepiej. Otrzymacie pomoc, kiedy będziecie jej potrzebować, ale od tej pory to nie ja będę przychodził...

165

- Naprawdę? - zakrzyknęli chórem rozczarowani.

- Niestety, ale i tak możecie czuć się bezpieczni. No, i macie przecież Benedikte. Ona także gwarantuje bezpieczeństwo, potrafi więcej, niż komukolwiek z was się wydaje. Nie wykorzystywaliście jej tak jak mogliście, zastanówcie się teraz nad tym.

Benedikte uśmiechnęła się uradowana.

- Właściwie przychodzisz więc po to, by się pożegnać? - spytała Malin zasmucona.

- Tak.

- A twoje dziedzictwo?

- Przeznaczcie je na utrzymanie Lipowej Alei! Ale przybyłem tu także, by pomówić z jednym z was.

Sądzę, że wszyscy wiedzą, o kogo mi chodzi.

Pokiwali głowami.

- Vanju, idź do swego pokoju - spokojnie rzekł Marco. - Zaraz tam przyjdę.

Kiedy dziewczyna powolnym krokiem opuściła jadalnię, Marco zwrócił się do pozostałych:

- Musicie zostawić ją w spokoju - oznajmił. - Może wam się wydawać, że ona ma jakieś kłopoty, lecz w rzeczywistości toczy bohaterską walkę przeciwko naszemu najzagorzalszemu wrogowi.

- Tengelowi Złemu? - jęknął Henning.

- Tak, ale nie jest to walka bezpośrednia, on nie jest w nią osobiście zaangażowany. Jeśli Vanja będzie dzielna i mądra, może uda jej się odnieść nad nim ogromne zwycięstwo. Nie mieszajcie się więc w to, co robi, możecie tylko pogorszyć sprawę.

- Ale przecież jej trzeba pomóc! - wykrzyknęła Benedikte.

- Niestety, nie możecie. Vanja musi poradzić sobie z tym sama. I sądzę, że da radę. Jest przecież taka piękna...

Trudno im było pojąć, jaki związek ze sprawą ma uroda dziewczyny.

- Pójdę z nią teraz pomówić - oświadczył Marco. - Ja także nie mogę jej pomóc, bo to, w co się wplątała, jest zbyt fundamentalne...

Marco długo rozmawiał z Vanją. Kiedy wreszcie wrócili do jadalni, członkowie rodziny, ku swemu zdumieniu, ujrzeli na ustach Vanji uśmiech szczęścia. Wydawało się także, że wyraża on niemałą ulgę i wielki triumf.

166

Ale oczywiście to była niemożliwe.

Marco pożegnał się z nimi wkrótce potem. Jego odejście wywołało wśród zebranych wrażenie niezmiernej pustki. Andre rozplakał się i chciał go zatrzymać, ale Marco tylko potrząsnął głową i delikatnie uwolnił się z uścisku malca.

Zniknął. Był tylko postacią ze snu, z marzeń, czy też kimś jeszcze?

Rozeszli się do domów. Niedługo później Christoffer i Marit stanęli w swojej sypialni. Sami.

Oszołomieni wydarzeniami wieczoru. Marit onieśmielona, Christoffer zakłopotany, nie potrafiący zapanować nad sytuacją, w jakiej się znaleźli.

Muszę, powtarzał sobie w myśli. Muszę dzielić z nią łóżko, nie mogę już dłużej wymawiać się jej

słabością. Muszę, jak się to pięknie nazywa, spełnić swój małżeński obowiązek. Z

kobietą, która jest bardzo wyjątkowa, bardzo urodziwa na swój subtelny, szczególny sposób, i która jest mi bardzo bliska. Ale od tego do miłości jest tak daleko jak stąd do nieba.

Bo moje uczucia dla niej nie wybiegają poza współczucie i sympatię.

Marit palcami przebierała tasiemki u dekoltu.

Christoffer starał się wziąć w garść.

- Rozbierz się - powiedział z wymuszoną życzliwością. - Ja zaczekam w salonie.

- Christofferze - szepnęła tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

- Tak?

- Dlaczego mnie poślubiłeś?

Drgnął gwałtownie. Tego pytania się nie spodziewał.

- Dlaczego...? Ależ, moja droga, dlaczego właściwie ludzie się żenią?

- Czy to dlatego, że myślałeś, że ja umrę? Czy uczyniłeś to z litości?

- Jak możesz tak myśleć? - odparł nieco zbyt szybko. - Nigdy nic takiego nie przysłoby mi do głowy. Ożeniłem się z tobą, bo chciałem tego. A bardziej niż czegokolwiek innego pragnąłem, abys przeżyła.

Przysiadła na brzegu łóżka. Rozwiązywała tasiemki i z powrotem je zawiązywała.

- Kim jest Lise - Merete? - spytała powoli.

167

Christoffer znów drgnął. A więc usłyszała gdzieś to imię, tak, to było nieuniknione. Ale, doprawdy, dziwna pora na zadanie takiego pytania! A zresztą, może to i nie takie dziwne.

- To pewna zła kobieta, którą znałem w Lillehammer. Próbowwała cię zabić, kiedy powiedziałem, że chcę się z tobą ożenić.

Nie była to do końca prawda. Nie wspominał przecież Lise - Merete o planowanym małżeństwie z Marit. Ale w zasadzie to, co mówił, niewiele odbiegało od prawdy.

Marit pokiwała głową. Siedziała na łóżku zasmucona, z pochyloną głową. Christoffer ostrożnie przysiadł obok i otoczył ją ramionami. Starał się pochwycić jej wzrok.

- Uwierz mi, Marit, naprawdę tego chciałem. Gdybym nie chciał, nie byłabyś teraz moją żoną.

Podniosła głowę, jej twarz ściągnęła się do płaczu.

- Bardzo chciałabym w to uwierzyć - pisnęła żałośnie. - Ale wydajesz się taki... taki... nie umiem tego nazwać.

- Już dobrze, dobrze - uspokajał ją wzruszony. - Czy mogę pomóc ci się rozebrać?

Pozwoliła mu na to, bo doktor Christoffer Volden już wielokrotnie widywał ją rozebraną i wiedział, że jest płaska jak... nie, już nie, zaczęła nabierać kształtów, nieznacznie, ale wyglądała trochę lepiej. Położył ją do łóżka, okrył i zgasił światło. Słyszała, jak po ciemku zrzuca z siebie ubranie i zaraz potem wsuwa się do niej pod kołdrę.

Serce waliło jej jak oszalałe. Boże, spraw, aby nam się udało. Spraw, bym robiła wszystko tak jak trzeba i abym mu się spodobała. I spraw, by było mu ze mną dobrze, tak bardzo tego chcę!

Christoffer ledwie miał śmiałość oddychać, zupełnie nie wiedział, jak powinien się zachować.

Podsunał ramię pod jej kark, sądził bowiem, że tak będzie się czuć bezpieczniej, ale zorientował się, że ta pozycja nie jest wygodna jako punkt wyjścia.

A przecież gra wstępna nie była mu wcale obca. Z Lise - Merete lubili tę zabawę, próbowali, jak daleko potrafią się posunąć, nie przekraczając zakazanej granicy, wiedział więc, co rozpala kobiety i czego one chcą. Rozumiał, rzecz jasna, że każda reaguje inaczej, ale podstawowe reguły nie mogły się zmieniać.

Uf, ależ z niego teoretyk! Ale kiedy brakuje uczuć, trzeba podeprzeć się teorią.

Usłyszał, że Marit śmieje się cichutko.

- Co się stało? - zapytał, uwalniając ramię.

168

- Och, to takie niemądre. Moja starsza siostra zawsze mi mówiła, że mężczyźni są po to, by rozgrzewać kobietom stopy. I coś w tym chyba jest. Mam zlodowaciałe stopy, a ty jesteś taki gorący.

To pomogło. Spletli nogi, by Marit miała jak najwięcej ciepła, a rzeczywiście była zmarznięta.

Leżała teraz na plecach, a on na boku, zwrócony w jej stronę. Westchnąwszy, zdecydowanie uniósł się troszeczkę i pocałował ją. Uczynił to po raz pierwszy, wyczuł, że na moment zeszywniała, ale zaraz się rozluźniła i miękkiem gestem zarzuciła mu rękę na szyję.

Myślał o krótkim przyjacielskim pocałunku, ale kiedy ich wargi się zetknęły, a skóra przylgnęła do skóry, spodobało mu się to. Marit nie miała żadnego doświadczenia i mocno zacisnęła usta, ale jego nagle ogarnęła chęć, by pokazać jej, jak powinno się to robić, rozsunął jej wargi i nagle stał się bardzo namiętny. I... ze zdumienia ciarki przebiegły mu po grzbiecie, bo poczuł, że jest gotów. Mój Boże, pomyślał, czy mężczyzna jest tak prymitywną istotą, że reaguje na wszystko? A gdyby leżała tu

ze mną stara, tłusta, bezzębna baba, czy też tak samo bym się zachowywał?

Och, oczywiście, że nie. Ale nie mógł zaprzeczyć, że ciało mu rozkosznie drży, skóra uwrażliwiona na dotyk wibruje, a jego ogarnia niecierpliwość, jakiej nigdy nie doznał z Lise -

Merete. Ich wspólnie spędzane gorące chwile przynosiły jedynie wyrzuty sumienia. Teraz nie musiał się ich obawiać i już ta myśl oddziaływała na niego podniecająco.

Ale przede wszystkim nie chciał zostawiać Marit samej, nie był brutalnym samcem.

Delikatnie przesunął dłonią po jej skórze, z koniuszków palców strzelały mu niemal elektryczne iskry, musnął jej pierś, której brodawka natychmiast się ściągnęła, słyszał

gwałtowny, przerażony oddech Marit: próbowała go wyrównać, ale nie zdołała. Pochylił się nad nią i ucałował jej pierś, a jego dłoń przesuwała się coraz niżej, kolistym ruchem gładziła jej brzuch z zagojoną już blizną po operacji, krążyła wokół punktu, którego naprawdę poszukiwała, lecz którego jeszcze nie śmiała dotknąć.

Marit jęknęła cicho, paznokcie wbiły się w skórę na jego ramieniu. Ujął jej rękę i poprowadził

ją w dół swego ciała. Dotknąwszy go, krzyknęła wystraszona, cofnęła rękę, ale on mocno ją trzymał. Powoli, powoli wyprostowała rękę i dotknęła go śmieiej, zachłystując się powietrzem. Christoffer był już tak podniecony, że nie mógł czekać dłużej. Kolanem rozsunął

jej nogi, ona objęła go i przytuliła się mocno, bardzo mocno, jakby szukając u niego ratunku.

Christoffer, jak przystało na mądrego mężczyznę, z początku zachowywał dużą delikatność.

Przez cały czas miał na uwadze jej dobro i w jakiś sposób udało się im osiągnąć nową więź, nowe wzajemne zrozumienie.

Nie było to, rzecz jasna, najdoskonalsze ze zbliżeń, jakie można sobie wyobrazić, ale czy ktoś kiedykolwiek uznał swój debiut w tej dziedzinie za udany? Później jednak wszystko wydawało się wspaniałe i Marit czuła, że jemu było z nią dobrze, że wcale nie jest z niej niezadowolony.

169

- Teraz wierzę w to, co powiedziałaś - szepnęła. - Dopiero teraz jestem pewna twojej miłości.

Moja droga, pomyślał. To nie jest wcale takie proste. Ale zgadzał się z nią, że bardzo się do siebie zbliżyli, także duchowo.

Ujął jej dłoń, spoczywającą na jego ramieniu. Podniósł ją do ust i ucałował wszystkie palce po kolei.

- Będzie nam dobrze ze sobą, Marit, wiem o tym. - szepnął. - Bardzo się cieszę, że cię znalazłem.

Teraz bowiem miał większą nadzieję na to, że jego sympatia kiedyś przerodzi się w miłość do tego

stworzenia, które powierzono jego opiece. Do Marit, tak bezlitośnie potraktowanej przez los, wyrwanej ze szponów śmierci i tak samotnej - a teraz on był za nią odpowiedzialny.

Ta myśl spodobała się Christofferowi, nawet bardzo. Uznał, że z czasem dorośnie do tego zadania.

Kłopoty Christoffera, jakie spotkały go w ostatnich miesiącach, należy uznać za nic nie znaczące w porównaniu z problemami innego członka rodziny.

Vanji.

Jej życie bardzo wczesnie zaczęło toczyć się niewłaściwym torem, bo na nią właśnie Tengel Zły przypuścił tym razem atak, chcąc zemścić się na swych zbyt zuchwałych potomkach.

Przy jej pomocy miał zamiar zniszczyć ich dom, Lipową Aleję. Kiedyś, o poranku czasów, zanim Tengel Zły pograżył się we śnie, odwiedził siedzibę koszmarów. I tam właśnie on, który panował nad światem ludzi, a także nad sporymi częściami tego drugiego ze światów, stał się panem władcy siedziby złych snów.

I to ona właśnie, na rozkaz Tengela, wysłała pewną istotę w życie Vanji. Vanji, najsłabszego ogniwa w łańcuchu Ludzi Lodu.

Marco nie miał władzy nad czymś tak fundamentalnym jak złe sny. Poradził Vanji, by przystąpiła do walki na swój sposób. Przeciw koszmarom sennym, Demonom Nocy, walczyć nie mogła. Ale mogła podjąć wyzwanie Tengela Złego.

I Vanja zgodziła się na to.

Dlatego historia Ludzi Lodu cofnie się teraz do straszliwego dzieciństwa Vanji, do momentu, kiedy po raz pierwszy nawiązała kontakt z istotą, która towarzyszyła jej przez cały okres dorastania. Z istotą wysłaną przez samą władczynię Demonów Nocy.